

JP DELANEY

AUTOR BESTSELLEROWEJ LOKATORKI

W
ŻYWE
OCZY



JP DELANEY

**W
ŻYWE
OCZY**

TLUMACZENIE ANNA GRALAK


OTWARTE
KRAKÓW 2018

Michaelowi

Aktor gra swoimi bliźnami.

Shelley Winters

*Nikt nie może przez dłuższy czas
nosić jednej twarzy dla siebie,
a drugiej dla tłumu, nie narażając
się na to, że w końcu sam nie będzie
wiedział, która jest prawdziwa.*

Nathaniel Hawthorne, *Szkarłatna litera*,
tłum. Bronisława Bałutowa

Prolog

W dniu wyjazdu goście powinni zwolnić pokój przed południem.

O jedenastej szóste piętro hotelu Lexington już prawie opustoszało. To środkowa część Manhattanu, nawet turyści mają tu napięty plan dnia, wypełniony zwiedzaniem galerii, zakupami w domach towarowych i innymi atrakcjami. Tych, którzy lubią dłużej pospać, obudziły prowadzone po hiszpańsku rozmowy sprzątaczek kursujących do pralni obok windy, by przygotować pokoje na napływ kolejnych gości po południu.

Stojące tu i tam na korytarzu puste tace po śniadaniu wskazują, które pokoje należy jeszcze posprzątać.

Obok drzwi apartamentu z tarasem nie ma tacy.

Codziennie rano do każdego pokoju dostarcza się złożony numer „New York Timesa” z pozdrowieniami od hotelu.

W przypadku apartamentu z tarasem pozdrowienia zostały zignorowane. Nietknięta gazeta leży na wycieracze. Nad nią na klamce wisi zawieszka z napisem „NIE PRZESZKADZAĆ”.

Consuela Alvarez zostawia sobie ten apartament na koniec. Wreszcie, gdy wszystkie pozostałe pokoje są już posprzątane, nie może dłużej zwlekać. Krzywiąc się z bólu, który utkwiał w krzyżu – tego ranka zmieniła już kilkanaście kompletów pościeli i wyszorowała kilkanaście kabin prysznicowych – puka w drzwi swoim identyfikatorem, woła: „Sprzątanie!” i czeka na reakcję.

Nikt nie otwiera.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważa po wejściu do środka, jest zimno. Przez zasłony wpada lodowate powietrze. Cmokając z dezaprobatą, podchodzi do okna i pociąga za sznurek. Pokój zalewa szare światło.

W pomieszczeniu panuje bałagan. Kobieta głośno zamyka okno, robiąc to trochę ostentacyjnie.

Osoba w łóżku się nie porusza.

– Proszę się obudzić – mówi skrzepowana Consuela.

Ktoś naciągnął sobie kołdrę aż na głowę. Pod gładką pościelą odznaczają się kontury ciała, przywodząc na myśl coś pogrzebanego pod warstwami śniegu.

Gdy Consuela patrzy na walające się wokół rzeczy – przewróconą lampę, stłuczony kieliszek do wina – nagle dopadają ją złe przeczucia. W ubiegłym roku na drugim piętrze ktoś popełnił samobójstwo. Nieciekawa sprawa. Jakiś chłopak przedawkował w łazience. A wszystkie pokoje w hotelu były zarezerwowane. Musiały wysprzątać pokój i przygotować go dla następnego gościa, który miał się zjawić o piątej.

Rozgląda się jeszcze raz i zauważa w apartamencie z tarasem kilka elementów, które wydają się niezwykle, wręcz dziwne. Kto idzie spać, zostawiając na dywanie stłuczony kieliszek, na który mógłby nadepnąć następnego dnia? Kto śpi z głową pod kołdrą? Consuela widziała wiele pokoi hotelowych, z jakiegoś powodu scena malująca się teraz przed jej oczami wydaje się nienaturalna.

Wręcz zainscenizowana.

Kobieta wykonuje znak krzyża. Nerwowo kładzie rękę na kołdrze mniej więcej tam, gdzie powinno być ramię, i potrząsa za nie.

Po chwili w miejscu, gdzie przyłożyła dłoń, na białej pościeli zakwita czerwony kwiat.

Teraz już wie, że stało się coś złego, coś bardzo złego. Jeszcze raz dotyka łóżka, tym razem tylko palcem. Na pościeli znów rozkwitają kwiaty o czerwonych płatkach niczym atrament przebijający przez bibułkę.

Consuela zbiera się na odwagę i lewą ręką odrzuca kołdrę. Jeszcze zanim dociera do niej to, co widzi, jej druga ręka unosi się, żeby ponownie wykonać znak krzyża. Nie kończy tego gestu. Zsuwa się drżąca, by zamiast tego zdusić krzyk.

Część I

(pięć dni wcześniej)

Jej facet jeszcze nie przyszedł.

Właśnie tak byście pomyśleli, gdybyście mnie teraz zobaczyli, siedzącą przy barze w tym przyjemnie urządzonej nowojorskim hotelu, gdzie dokładam starań, żeby moja Virgin Mary starczyła na cały wieczór. Po prostu kolejna młoda kobieta czekająca po pracy na mężczyznę, z którym się umówiła. Być może trochę bardziej wystrojona niż niektóre z obecnych tu kobiet. Nie wyglądam, jakbym właśnie wyszła z biura.

Przy drugim końcu baru grupka młodych mężczyzn pije i przerzuca się żarcikami, akcentując swoje słowa kuksańcami w ramię. Jeden z nich – przystojny, elegancki, wysportowany – chwytając moje spojrzenie. Uśmiecha się. Odwracam wzrok.

Wkrótce zwalnia się stolik w głębi sali, więc biorę drinka i się tam przenoszę. Nagle rozgrywa się mała scena:

BAR W HOTELU DELTON PRZY CZTERDZIESTEJ CZWARTEJ ZACHODNIEJ,
NOWY JORK, WIECZOREM

MEŹCZYŻNA

(agresywnie)

Co to ma znaczyć?

Stoi przede mną biznesmen, na oko czterdziestopięcioletni, ubrany w drogi garnitur, wskazujący, że jest kimś więcej niż zwyczajnym trutniem ze szczebla kierowniczego. Kołnierzyk muskają włosy trochę za długie jak na Wall Street.

Jest wkurzony. Bardzo wkurzony.

JA

Słucham?

MEŹCZYŻNA

To mój stolik. Poszedłem tylko do toalety.

Wskazuje laptopa, drinka i gazetę, które jakimś cudem udało mi się przeoczyć.

MEŹCZYŻNA

To mój drink. Moje rzeczy. Przecież wyraźnie widać, że stolik jest zajęty.

Ludzie wokół odwracają się w naszą stronę. Nie będzie jednak konfrontacji, nie będzie erupcji nowojorskiego stresu. Już wstaję, przewieszając torebkę przez ramię. Rozładowując napięcie.

JA

Przepraszam... nie zauważyłam. Poszukam innego miejsca.

Odsuwam się od stolika i bezradnie rozglądam po sali, ale lokal jest pełny i ktoś już zajął moje miejsce przy barze. Innego nie ma.

Kątem oka widzę, jak mężczyzna mi się przygląda, przesuwając wzrokiem po żakiecie Jess od Donny Karan – tym drogim, w którym chodzi na przesłuchania – po miękkim ciemnym kaszmirze podkreślającym bladość mojej cery i ciemny kolor włosów. Dociera do niego, jak głupio się pomylił.

MEŹCZYŻNA

Zaraz... Chyba możemy usiąść tu razem.

Wskazuje stolik.

MEŹCZYŻNA

Starczy miejsca dla nas obojga... Właśnie próbuję nadrobić zaległości w pracy.

JA

(z uśmiechem wdzięczności)

Och... dziękuję.

Zsuwam torebkę z ramienia i siadam. Na chwilę zapada cisza, której świadomie nie przerywam. To musi wyjść od niego.

I rzeczywiście, gdy znowu się odzywa, w jego głosie słyhać subtelną zmianę – jest bardziej chropowaty, gardłowy. Czy głos kobiet też się tak zmienia? Powinam z tym kiedyś poeksperymentować.

MEŹCZYŻNA

Czeka pani na kogoś? Założę się, że utknął w śniegu. Właśnie dlatego muszę tu spędzić jedną noc więcej. Na LaGuardii rozpełtał się chaos.

Uśmiecham się w głębi ducha, bo to przecież jasne, że próbuje się w ten sposób dowiedzieć, czy umówiłam się z mężczyzną, czy z kobietą, i jednocześnie daje mi znać, że jest tutaj sam.

JA

W takim razie chyba spędzę tu trochę czasu.

Kiwa głową w stronę mojego już pustego kieliszka.

MEŹCZYŻNA

Czy wobec tego mogę postawić pani następnego drinka? Nawiasem mówiąc, mam na imię Rick.

„Ze wszystkich barów we wszystkich miastach na całym świecie...”

JA

Dziękuję, Rick. Chętnie wypiję martini. Mam na imię Claire.

RICK

Miło mi, Claire. I przepraszam za to, jak się zachowałem.

JA

Nie ma za co, naprawdę, to była moja wina.

Mówię to z tak szczerą nonszalancją, z taką wdzięcznością, że nawet ja sama byłabym zdziwiona, gdyby okazało się to kłamstwem.

Ale to przecież nie jest kłamstwo. To „wiarygodne zachowanie w wymyślonej sytuacji”. Które, jak się przekonacie, bardzo różni się od kłamstwa.

Kelnerka przyjmuje od nas zamówienie. Gdy odchodzi, jakiś mężczyzna przy sąsiednim stoliku czepia się jej z powodu zapomnianego drinka. Patrę, jak kobieta ponuro wysuwa długopis zza ucha, prawie jakby wyciągała stamtąd słowa tego klienta z zamiarem rzucenia ich na podłogę.

Może mi się to przydać, myślę. Zapisuję ten gest gdzieś głęboko w rejestrze i ponownie skupiam się na mężczyźnie naprzeciwko.

JA

Co cię sprowadza do Nowego Jorku, Rick?

RICK

Interesy. Jestem prawnikiem.

JA

Nie wierzę.

Rick wydaje się zaskoczony.

RICK

Dlaczego?

JA

Wszyscy prawnicy, których znam, są brzydki i nudni.

Odpowiada na mój uśmiech uśmiechem.

RICK

Specjalizuję się w branży muzycznej. W Seattle. Łudzimy się, że to trochę bardziej interesujące niż prawo karne. A ty?

JA

Pytasz, czym się zajmuję? A może o to, czy uważam, że jestem interesująca?

Ku naszemu obopólnemu zaskoczeniu trochę ze sobą flirtujemy.

RICK

Jedno i drugie.

Skinieniem głowy dziękuję kelnerce za drinka.

JA

Wcześniej robiłam to, co ona.

RICK

Wcześniej?

JA

Zanim zdałam sobie sprawę, że można zarabiać na czynsz w bardziej ekscytujący sposób.

Zawsze poznaję to po oczach – po tym lekkim, ledwie zauważalnym bezruchu, gdy gdzieś w głębi świta pewna myśl. Rick obraca w głowie możliwości wynikające z tego, co właśnie powiedziałam. Dochodzi do wniosku, że zagalopował się w interpretacji moich słów.

RICK

A skąd pochodzisz, Claire? Próbuję skojarzyć ten akcent.

Niech cię szlag, przecież to akcent z Wirginii! Dlatego wymówiłam słowo „prawnik” w ten charakterystyczny sposób.

JA

Jestem... stamtąd, skąd chciałbyś, żebym była.

Uśmiecha się. Drapieżnym, rozochoconym uśmiechem, który mówi: „A więc miałem rację!”.

RICK

Nigdy nie spotkałem dziewczyny, która by stamtąd była.

JA

A spotykasz wiele dziewczyn, prawda?

RICK

Łączę podróże służbowe z pewną dozą przyjemności.

JA

A potem wracasz do żony i dzieci w Seattle.

Rick marszczy brwi.

RICK

Dlaczego myślisz, że jestem żonaty?

JA

(uspokajająco)

Bo właśnie takimi się interesuję. Żonaci umieją się zabawić.

Teraz jest już pewny, ale się nie spieszy. Sączymy drinki, a on opowiada mi o swoich klientach w Seattle – o sławnym idolu nastolatek, który lubi niepełnoletnie dziewczyny, i o heavymetalowym macho, który jest gejem, ale nie ma odwagi się do tego przyznać. Z lekkim naciskiem mówi mi, ile można zarobić, zajmując się tym, czym on się zajmuje – pisząc umowy dla ludzi, którzy są z natury niezdolni do przestrzegania zawartych w nich warunków, co

wymaga usług takich osób jak on na obu etapach: podczas sporządzania umowy i podczas jej ostatecznego rozwiązania. I wreszcie, gdy jawię mu się jako kobieta, na której zrobiło to odpowiednie wrażenie, Rick proponuje, żebyśmy, skoro mój przyjaciel najwidoczniej nie zamierza się zjawić, przenieśli się gdzieś indziej, do jakiejś restauracji albo klubu, gdziekolwiek zechcemy...

RICK

(ściszym głosem)

Albo moglibyśmy po prostu zamówić coś przez room service. Mam pokój na górze.

JA

Room service bywa kosztowny.

RICK

Będziesz mogła zamówić, co tylko zechcesz. Butelkę cristala, kawior...

JA

Miałam na myśli to, że takie usługi jak room service bywają kosztowne... kiedy ja je świadczę.

No i proszę. Wszystkie karty leżą na stole. Tylko nie reaguj na to, co właśnie powiedziałam, nie uśmiechaj się ani nie odwracaj wzroku. To nic wielkiego. Ciągłe to robisz.

Po prostu zignoruj łomotanie serca, ściskanie w żołądku.

Rick z zadowoleniem kiwa głową.

RICK

Nie tylko ja przyszedłem tu w interesach, prawda?

JA

Przylapałeś mnie, Rick.

RICK

Pozwolę sobie powiedzieć, Claire, że nie wyglądasz na taką dziewczynę.

Pora na wyznanie.

JA

To dlatego... że nie jestem taką dziewczyną.

RICK

Więc jaka jesteś?

JA

Jestem z tych dziewczyn, które przyjechały tu pobierać lekcje aktorstwa i zalegają z czesnym. Raz na parę miesięcy wychodzę się zabawić... i problem znika.

Po drugiej stronie hotelowego lobby melduje się jakaś rodzina. Mniej więcej sześciolatka dziewczynka, wystrojona na wycieczkę do miasta w płaszczyk, wełnianą czapkę i szalik, chce zobaczyć, co się dzieje za kontuarem. Ojciec podnosi ją, stawia na jej dziecięcej walizce, a ona podekscytowana kładzie się na blacie i patrzy, jak menedżer wydaje karty do drzwi. Mężczyzna z uśmiechem wręcza jej jedną z nich. Tata opiekuńczo podtrzymuje córkę ręką, uważając, żeby nie spadła. Czuję znajome ukłucie zazdrości i bólu.

Odsuwam od siebie te myśli i wracam do rozmowy z Rickiem, który siedzi pochylony w moją stronę i z błyskiem w oku mówi do mnie ściszym głosem...

RICK

A jak bardzo chciałabyś się dzisiaj zabawić, Claire?

JA

Myślę, że możemy ponegocjować.

Uśmiecha się. Jest prawnikiem. Negocjacje to element jego gry.

RICK

Co powiesz na trzysta?

JA

Tyle biorą w Seattle?

RICK

W Seattle można za to dostać całkiem sporo, wierz mi.

JA

Jak dużo zdarzyło ci się zapłacić za kobietę, Rick?

RICK

Pięćset. Ale to było...

JA

(wchodząc mu w słowo)

Pomnóż to przez dwa.

RICK

(oszołomiony)

Nie mówisz poważnie.

JA

Owszem. Jestem zwyczajną dziewczyną, która wyszła się zabawić – dlatego jestem warta tysiąc dolarów. Ale jeśli się rozmyśliłeś...

Jak gdyby nigdy nic sięgam po torebkę, mając nadzieję, że nie zauważy, jak trzęsie mi się ręka.

RICK

Nie, zaczekaj. Niech będzie... tysiąc.

JA

Jaki jest numer twojego pokoju?

RICK

Osiemset czternaście.

JA

Zapukam do ciebie za pięć minut. Unikaj kontaktu wzrokowego z recepcjonistą.

Rick wstaje.

RICK

(z podziwem)

Ten trik ze stolikiem był całkiem zgrabny. Poderwałaś mnie tuż pod nosem pracowników baru.

JA

Z czasem nabiera się wprawy. Przy dobrej zabawie.

Przed windą Rick odwraca się do mnie. Kiwam głową i posyłam mu lekki, tajemniczy uśmiech.

Który schodzi mi z twarzy, gdy tylko zamykają się za nim drzwi. Sięgam po torebkę i kieruję się w stronę wyjścia na ulicę.

Ściemnienie.

Na zewnątrz w końcu przestało padać, wszystkie stojące wzdłuż chodnika hydranty mają białe peruczki ze śniegu. Kawalek dalej czeka czarna limuzyna z wyłączonymi światłami i pracującym silnikiem. Otwieram tylne drzwi i wsiodam.

Żona Ricka ma około czterdziestu pięciu lat, a jej zmęczony, choć uzyskany za pomocą znacznych środków wygląd sugeruje, że podobnie jak jego klienci, kiedyś też należała do sceny muzycznej – zanim zaczęła wydawać przyjęcia dla współpracowników Ricka i rodzić mu dzieci. Siedzi na tylnym siedzeniu obok Henry'ego, trzęsąc się mimo włączonego ogrzewania.

– Wszystko w porządku? – pyta cicho Henry.

– Tak – mówię, wyjmując z torebki małą kamerę wideo. Porzuciłam już akcent z Wirginii. Swym zwyczajnym brytyjskim głosem mówię do żony Ricka: – Proszę posłuchać, powiem to, co zawsze mówię w takich sytuacjach: naprawdę nie musi pani tego oglądać. Może pani po prostu wrócić do domu i postarać się wszystko przemyśleć.

A żona Ricka mówi to, co mówią one wszystkie:

– Chcę wiedzieć.

Podaję jej kamerę.

– Najważniejsze jest to, że pani mąż regularnie korzysta z usług prostytutek. Nie tylko w podróżach służbowych. Mówił, że zdarzyło mu się zapłacić za to w Seattle aż pięćset dolarów. A mnie właśnie zaproponował tysiąc.

Oczy kobiety wypełniają się łzami.

– O Boże. Boże.

– Bardzo mi przykro – mówię skrępowana. – Jeśli chce pani z nim porozmawiać, czeka na mnie w pokoju osiemset czternaście.

Może i ma łzy w oczach, ale widać w nich także złość. Zapamiętaj to.

– O, na pewno rozmawiam z prawnikiem. Ale to będzie nie on, tylko specjalista od spraw rozwodowych. – Zwraca się do Henry'ego: – Chciałabym już stąd jechać.

– Oczywiście – odpowiada gładko.

Gdy wysiadamy z samochodu – Henry po to, żeby usiąść za kierownicą, a ja, by ruszyć w swoją stronę – dyskretnie podaje mi kopertę.

Czteryście dolarów. Nieźle, jak na jeden wieczór.

Poza tym Rick był gnidą. Przyprawiał mnie o dreszcze. Zdradzał żonę, a do tego zachowywał się arogancko i agresywnie. Zasłużył na wszystko, co ta kobieta zamierzała mu zgotować.

Więc dlaczego, gdy limuzyna odjeżdża po szarym, brudnym śniegu, czuję się tak podle z powodu tego, co przed chwilą zrobiłam?

Teraz pewnie się zastanawiacie, kim tak naprawdę jestem i co robię w Nowym Jorku. Innymi słowy, interesuje was tło tej historii.

Imię i nazwisko: Claire Wright

Wiek: 25 (może grać 20–30)

Wzrost: 168 cm

Narodowość: brytyjska

Kolor oczu: brązowy

Kolor włosów: zmienny

Tak wyglądają fakty. Ale w rzeczywistości to nie one was interesują. Chcecie wiedzieć, czego pragnę. Bo tak brzmi zasada numer jeden, najważniejsza rzecz, pierwsze, czego powinniście się dowiedzieć: „Postać określają jej pragnienia”.

Mówiłam Rickowi prawdę – w każdym razie część prawdy. Chcę być innymi ludźmi. Nigdy nie pragnęłam niczego więcej.

Około połowy z dziesięciu najlepszych szkół aktorskich według dowolnie wybranego rankingu ma siedzibę w Nowym Jorku. Juilliard, Tisch, Neighborhood Playhouse, by wymienić tylko kilka. W każdej z nich naucza się jakiejś odmiany tego samego podejścia zakorzenionego w systemie wielkiego rosyjskiego aktora Konstantina Stanisławskiego. Chodzi o to, by zanurzyć się w prawdziwych emocjach związanych z rolą, aż ta rola stanie się częścią ciebie.

W nowojorskich szkołach aktorskich nie uczą gry. Uczą stawiania się postacią.

Jeśli masz wystarczająco dużo szczęścia, by dotrzeć do końca pierwszej rundy, i przechodzisz do etapu przesłuchań... jeśli masz wystarczająco dużo szczęścia, by dostać się do jednej z tych szkół... jeśli granie było całym twoim życiem, odkąd skończyłaś jedenaście lat i uciekałaś przed monotonią kolejnych rodzin zastępczych, udając, że jesteś kimś innym, gdzieś indziej... to po pierwsze, jesteś jedną z tysięcy, a po drugie, byłabyś szalona, gdybyś nie skorzystała z takiej możliwości.

Zgłosiłam się na kurs w Actors Studio pod wpływem chwili – uczyła się tam Marilyn Monroe, a ona też wychowała się w rodzinie zastępczej – poszłam na przesłuchanie z dziwnym przeświadczeniem, że właśnie tak miało być, i dostałam się w okamgnieniu.

Dali mi nawet stypendium. Pokryło część czesnego. Ale nie starczyło na koszty utrzymania w jednym z najdroższych miast na świecie.

Zgodnie z warunkami mojej wizy studenckiej mogłam zarabiać... tylko jeśli będę pracowała w kampusie. „Kampusem” nazywano Pace University, ciasny, nowoczesny blok sąsiadujący z ratuszem i mostem Brooklyńskim. Niewiele możliwości dla osoby szukającej zatrudnienia w niepełnym wymiarze godzin.

Udało mi się zdobyć posadę kelnerki w barze w Hell’s Kitchen i trzy razy w tygodniu biegałam tam wieczorami po zajęciach. Właściciel miał jednak niewyczerpany dopływ młodych kobiet, w których mógł przebierać, więc nie było sensu zatrzymywać którejś na dłużej. Dzięki temu, gdyby urząd podatkowy albo imigracyjny wpadł z kontrolą, zawsze mógł twierdzić, że ich kwestionariusze osobowe właśnie idą pocztą. Po dwóch miesiącach oznajmił mi, wcale nie niezyczliwie, że przyszła pora, bym poszukała innej pracy.

Jeden z moich nauczycieli, Paul, zaproponował, żebym porozmawiała z jego znajomą agentką. Znalazłam adres – wąskie przejście w przedwojennym budynku poprzecinanym zygzakiem schodów przeciwpożarowych na samym końcu Czterdziestej Trzeciej Ulicy –

i weszłam na trzecie piętro do najmniejszego biura, w jakim kiedykolwiek byłam. Wszędzie piętrzyły się zdjęcia portretowe, scenariusze i kontrakty. W pierwszym pomieszczeniu dwóch asystentów siedziało po obu stronach jednego małego biurka. W sąsiednim pokoju ktoś zawołał mnie po imieniu. Za następnym biurkiem siedziała tam drobna kobieta grzechocząca ogromną plastikową biżuterią. Trzymała w ręku moje CV, które zaczęła czytać na głos, machnąwszy w stronę krzesła po drugiej stronie biurka, żebym usiadła.

BIURO AGENTKI W NOWYM JORKU, W CIĄGU DNIA

MARCIE MATTHEWS, twarda nowojorska agentka, czyta moje CV.

MARCIE

Rok w szkole aktorskiej. London School of Dramatic Art. Rola epizodyczna w telewizji. Dwa europejskie filmy autorskie, które nie weszły na ekrany.

Nieprzekonana odrzuca CV na bok i mierzy mnie krytycznym spojrzeniem.

MARCIE

Ale jesteś całkiem ładna. Nie piękna, choć mogłabyś grać piękną. A Paul Lewis mówi, że masz talent.

JA

(zadowolona, ale siląc się na skromność)

To wspaniały nauczyciel...

MARCIE

(wchodząc mi w słowo)

Mimo to nie mogę cię reprezentować.

JA

Dlaczego?

MARCIE

Przede wszystkim nie masz zielonej karty. A to oznacza, że nie należysz do związku. A to oznacza, że nie możesz pracować.

JA

Na pewno da się temu jakoś zaradzić.

MARCIE

Jasne. Możesz wrócić do Anglii i złożyć wniosek o zieloną kartę.

JA

Tylko że... to niemożliwe.

MARCIE

Dlaczego?

JA

To skomplikowane.

MARCIE

Wcale nie. To przygnębiająco znajome.

Sięga po e-papierosa i włącza go.

MARCIE

Claire, zasięgnęłam języka na twój temat wśród kolegów w Londynie. Wiesz, co napisali?

JA

(smętnie)

Chyba się domyślam.

MARCIE

Najmilszym określeniem, jakie padło, było „trochę zbyt uczuciowa”. Najczęściej powtarzało się „trzymaj się od niej z daleka”. A gdy zaczęłam drażnić, ciągle natykałam się na

słowo „tumul”.

Unosi brwi.

MARCIE

Zechcesz mi to wyjaśnić?

Biorę głęboki oddech.

JA

Tumul... Tak brzmiał tytuł mojego pierwszego filmu studyjnego. Mojego wielkiego debiutu. Grałam w wątku miłosnym u boku... Domyślam się, że już pani wie, u czyjego boku. Jest sławny, przystojny i wszyscy wiedzą, że tworzy z żoną jedno z najszczęśliwszych małżeństw w show-biznesie.

Patrzę na nią wyzywająco.

JA

Więc kiedy się we mnie zakochał, wiedziałam, że to coś poważnego.

MARCIE

(prychając szyderczo)

Jasne.

JA

To było, zanim usłyszałam, co się mówi na planach zdjęciowych. NPSNL, kochanie. Na Planie Się Nie Liczy.

MARCIE

No i?

JA

No i cztery tygodnie później na planie zjawiała się jego sławna, piękna żona z trojgiem sławnych, pięknych dzieci. Nagle producenci zaczęli szukać pretekstu, żeby usunąć mnie z drogi. Utknęłam w kabinie dźwiękowej, poprawiając dialogi, które zrobiłam bez zarzutu za pierwszym razem.

MARCIE

(kiwając głową)

Mów dalej.

JA

Wtedy zaczęły docierać do mnie plotki. Że jestem stukniętą stalkerką. Że groziłam jego żonie. Ta sama machina public relations, która pracowała na sukces jego filmów, zaczęła pracować przeciwko mnie.

Usilnie staram się powstrzymać łzy. Wiem, jak naiwnie to brzmi. Ale prawda wygląda tak, że wcale nie byłam naiwna. Z systemu opieki zastępczej nikt nie wychodzi jako niewiniątko z klapkami na oczach.

Za to każdy, kto stamtąd wychodzi, rozpaczliwie pragnie kochać i być kochany. A on był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam, najbardziej namiętym, najbardziej rozpoetyzowanym. Potrafił recytować wszystkie napisane przez Szekspira fragmenty o miłości, jakby zostały stworzone specjalnie dla niego.

Morał: nigdy nie zakochuj się w kimś, kto woli mówić cudzymi słowami.

Nie wspominałam Marcie o tej drugiej sprawie, choć przypuszczam, że już o niej wie. O tym, że doprowadzona do obłędu rozpaczą wywołaną niesprawiedliwością całej tej sytuacji, poszłam do jego przyczepy i podciąłam sobie żyły na tej samej kozetce, na której kochaliśmy się w przerwach między scenami. O tym, jak chciałam mu pokazać, że nie była to jedynie gra aktorska. Że to było naprawdę.

Przynajmniej dla mnie.

JA

I to wystarczyło. Z dnia na dzień skończyły się przesłuchania. Widzi pani, popełniłam największy grzech. Zachowałam się nieprofesjonalnie. To się stało tydzień przed moimi osiemnastymi urodzinami.

Marcie w zamyśleniu kiwa głową.

MARCIE

Wiesz, Paul ma rację: jesteś całkiem dobra. Przez chwilę prawie było mi cię żal. A powinnam była pomyśleć: co za głupia, autodestrukcyjna kretynka.

Celuje we mnie koniuszkiem e-papierosa.

MARCIE

Producenci mieli rację. Poszukaj sobie innej pracy.

JA

Miałam nadzieję, że w Ameryce dostanę drugą szansę.

MARCIE

To było naiwne z twojej strony. Czasy, w których przyjmowaliśmy stłoczone masy ludzi spragnionych wolności, już dawno minęły.

JA

To jedyna praca, o jakiej kiedykolwiek marzyłam. Ale nie będę mogła dalej studiować, jeśli nie znajdę jakiegoś zatrudnienia.

Marcie krzywi się i jednocześnie wzdycha. Z jej nozdrzy wydobywają się kłęby dymu z e-papierosa. Po chwili, jakby wbrew głosowi rozsądku...

MARCIE

W porządku. Zostaw swoje zamiary w sekretariacie. Szykuje się parę nędznych teledysków. Ale niczego nie obiecuję.

JA

Dziękuję! Bardzo pani dziękuję!

Zrywam się z miejsca i z przesadnym entuzjazmem ściskam jej rękę. Gdy wyplątuje dłoń, zbywając moje podziękowania machnięciem e-papierosem, jej spojrzenie przypadkiem przesuwają się w dół. Coś na stercie kartek na biurku przykuwa jej wzrok.

Sięga po to, czyta ponownie, patrzy na mnie...

MARCIE

Claire, a co byś powiedziała na pracę dla kancelarii prawnej specjalizującej się w sprawach rozwodowych?

JA

W charakterze asystentki?

MARCIE

Niezupełnie... Słuchaj, będę szczerą. To nie jest robota marzeń. Ale potrzebują kogoś takiego jak ty i są gotowi dobrze zapłacić. Bardzo dobrze. Nie wymagają członkostwa w związku. I oferują gotówkę.

Gdy limuzyna z żoną Ricka odjeżdża, odwracam się i ruszam w przeciwną stronę. Ulice pokrywa lodowata breja, a ja jestem bez płaszcza. Śnieg przedostaje się do czubka mojego prawego buta.

Times Square to eksplozja elektryczności i koloru. Samotny mim, stawiając czoło zimnu, zabawia ludzi stojących w kolejce po bilety. Na billboardach migają urywki recenzji: „HIPNOTYZUJĄCY”, „WSPANIAŁY”, „NIEZWYKŁY”. Przechodzę pod znakiem z napisem „TEATROLANDIA”.

Teatrolandia... Gdyby ludzie mogli sami wybierać sobie ojczyznę, moja nazywałaby się właśnie tak.

Potem skręcam z Broadwayu w słabo oświetloną boczną ulicę. Tam, gdzie na zniszczonym, oblażącym z farby szyldzie widnieje napis „THE COMPASS THEATER”. Ludzie – w większości studenci na randkach korzystający z codziennej puli biletów za pół ceny – ospale wchodzą do foyer. Pokonuję jeszcze kilka metrów i wślizguję się do środka wejściem dla aktorów.

Asystenci inspicjentów odpowiedzialni za sprawny przebieg zakulisowej operacji biegają tam i z powrotem z rekwizytami i podkładkami z klipsem. Znajduję pokój dla aktorów. Przedzielono go malowaną dekoracją, tworząc dwie prowizoryczne garderoby: dziewczyny z jednej strony, chłopaki z drugiej. W pierwszej z nich Jess robi sobie makijaż przed lustrem, które dzieli z trzema innymi dziewczynami, a wszystkie próbują zrobić to samo.

– Cześć – mówię wesoło.

– Cześć, Claire. – Szybko spogląda w moją stronę, a potem znowu skupia się na zadaniu. – Jak poszło?

Wyjmuję kopertę od Henry’ego.

– Zarobiłam czterysta dolarów. Teraz jestem ci winna jeszcze tylko trzysta.

Tata Jess, który ma mnóstwo forsy, kupił jej mieszkanie na Manhattanie. Powinam płacić czynsz co miesiąc, ale czasami trochę się spóźniam.

– Super – mówi rozkojarzona. – Ale lepiej daj mi to później, dobrze? Po spektaklu wychodzę na miasto i mogłabym je zgubić.

Chyba wyglądam, jakbym miała nadzieję, że weźmie mnie ze sobą, bo po chwili dodaje:

– Może obejrzysz przedstawienie i wybierzesz się razem ze mną? Powiesz mi, czy udało mi się oddać to kobiece cierpienie, o którym ciągle mówi Jack.

– Jasne, czemu nie – odpowiadam, jak gdyby nigdy nic.

Nawet towarzystwo aktorów w barze jest lepsze niż nic.

– Trzy minuty! – woła inspicjent, uderzając dłonią w malowaną dekorację.

– Życz mi szczęścia – mówi Jess i wstaje, przyglądając sukienkę. Nie odrywa oczu od lustra. – Połamania nóg i tych wszystkich bzdetów.

– Powodzenia. Nie żeby było ci potrzebne. A tę scenę w lesie zagraj wolniej. Bez względu na to, co mówi ten przygłup reżyser.

Pomieszczenie dla aktorów pustoszeje w kilka sekund. Podchodzę z boku do sceny. Gdy gasną światła, podkradam się i spoglądam na widownię przez szczelinę w dekoracji, wciągając mocny, uzależniający zapach teatru: świeżej farby, starego kurzu pokrywającego scenę, zżartych przez mole kostiumów i charyzmy. Tę chwilową moc, gdy nieruchomieje ciemność, a wraz z nią cały hałas i gwar codzienności.

Na moment wszyscy zamieramy w oczekiwaniu. Potem rozbłyskują światła na scenie, pełne barw, i robię krok do tyłu. Zaczyna padać śnieg, połyskliwy i miękki – jest sztuczny, ale na widowni i tak dają się słyszeć stłumione okrzyki zachwytu.

Przełomowy pomysł reżysera polega na tym, żeby *Sen nocy letniej* rozgrywał się zimą. Tani chwyt, pomyślałam, gdy Jess mi o tym powiedziała, ale teraz, widząc grube płatki śniegu, które dryfują w powietrzu i opadają niczym cekiny na włosy aktorów wylegających hałaśliwie na scenę, widzę, że w jednym obrazie uchwycił magiczną, niezmierną atmosferę tej sztuki.

TEZEUSZ

Już wkrótce, moja piękna Hipolito,

Złączy nas ślub*...

Czuję nagłe ukłucie tęsknoty. To zakazane królestwo, marzenie, od którego odgradzają mnie problemy w Wielkiej Brytanii i brak zielonej karty. Mój głód jest wręcz namacalny, to pragnienie tak głębokie, że wypełnia mi żołądek i chwyta za gardło. Łzy napływają mi do oczu.

Ale nawet gdy rozmazana scena kołysze się tam i z powrotem, przez moją głowę przebiega myśl: *Kiedy następnym razem na zajęciach będziesz musiała wzbudzić w sobie emocje, wykorzystaj to. Coś takiego nie przydarza się często.*

* W. Shakespeare, *Sen nocy letniej* [w:] *Komedie w przekładzie Stanisława Barańczaka*, tłum. S. Barańczak, Kraków 2012, s. 415 (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

Cztery godziny później wszyscy jesteśmy w barze Harley. Z jakiegoś powodu zawsze lądujemy właśnie tam – w dusznym piwnicznym lokalu, w którym z sufitu zwisają zabytkowe motocykle, a kelnerki noszą uniformy złożone z czarnych staników i wystrzępionych dżinsowych kamizelek. Z szafy grającej wyje Springsteen, więc musimy krzyczeć – dwadzieścia wyćwiczonych głosów na pospektaklowym haju, a do tego sympatie i takie pijawki jak ja.

Przerzucamy się różnymi opowiadkami. Opowiadkami o aktorstwie, rzecz jasna. O niczym innym nie rozmawiamy.

JESS

A Christian Bale w *Mechaniku*? Zrzucił do tej roli z jedną trzecią masy.

AKTORKA 2

Albo Chloë Sevigny, która naprawdę robiła laskę w *Brązowym króliku*.

AKTOR

Wyjaśnij mi, co w tym kontekście znaczy „naprawdę”. Tak tylko mówię...

AKTORKA 3

Adrien Brody w *Pianiście*. Najpierw zrzucił piętnaście kilo i nauczył się grać na fortepianie. Potem, żeby poczuć to, co jego bohater w chwili, gdy wszystko stracił, Adrien pozbył się samochodu, mieszkania oraz telefonu. Oto prawdziwe poświęcenie, moi drodzy.

AKTORKA 2

Hej, też bym tak mogła! Ale zaraz, jednak nie. Aktualnie gram śpiewającą i tańczącą mysz w musicalu na Broadwayu.

Improwizuje krótki taniec pijanej myszy.

AKTORKA 2

Myszko droga, myszko droga, witaj w moich mysich progach.

Z drugiego końca sali spogląda na mnie barman. Jego wzrok zatrzymuje się trochę dłużej niż to konieczne.

Po raz ostatni widziałam takie spojrzenie, gdy ta gnida prawnik Rick zaproponował, żebym usiadła przy jego stoliku.

Tylko że ten facet jest w moim wieku, ma tatuaże, jest ładny i chudy. Mimo lodowatego powietrza, które wpada do środka za każdym razem, gdy ktoś otwiera drzwi, ma na sobie tylko koszulkę z krótkim rękawem, a ilekroć odwraca się w stronę rzędu butelek za barem, ścierka zatknięta z tyłu za pasek dżinsów muska go po tyłku.

Nagle staję obok niego. Przy barze.

PRZYSTOJNY BARMAN

Cześć!

Mówi z australijskim akcentem. Uwielbiam Australijczyków.

JA

Cześć!

I z jakiegoś powodu wypowiadam to z akcentem z Wirginii – z tym samym, którego używałam wcześniej podczas rozmowy z Rickiem.

PRZYSTOJNY BARMAN

Co podać?

JA

(przekrzykując hałas)

Wypiłabym martini.

PRZYSTOJNY BARMAN

Już się robi.

Napełnia kieliszek po brzegi jackiem daniel'sem i z hukiem stawia go na kontuarze.

JA

Prosiłam o martini.

PRZYSTOJNY BARMAN

W tym barze serwujemy je w ten sposób.

Uśmiecha się do mnie, czekając, aż zaprotestuję. Ma ładny uśmiech.

No więc sięgam po kieliszek i go opróżniam.

JA

W takim razie poproszę piña coladę.

PRZYSTOJNY BARMAN

Piña colada raz...

Wlewa do kieliszka miarkę jacka daniel'sa, dodaje następną miarkę jacka daniel'sa i uzupełnia je trzecią miarką jacka daniel'sa.

Wychylam je wszystkie jednym haustem. Ludzie stłoczeni przy barze spontanicznie nagradzają mnie wesołymi okrzykami i oklaskami.

Oklaski. Dawno ich nie słyszałam.

W każdym razie takich, które byłyby przeznaczone dla mnie.

JA

Skoro już przy tym jesteśmy, nalej mi jeszcze Long Island Iced Tea.

...przez co film, który nieustannie leci w mojej głowie, najprawdopodobniej zakończy się ściemnieniem.

Ale dzieje się inaczej. Następuje cięcie, sekwencja montażowa albo któryś z innych zabiegów technicznych, bo potem wszystko się gmatwa i płacze, aż w końcu ląduję w cudzym mieszkaniu na cudzym cieple i jęczę.

JA

Tak, tak, och taaak...

PRZYPADKOWY FACET

Tak...

A no tak. Zmiana obsady. Przystojny barman, który ma na imię Brian, kończył dopiero o trzeciej. Zamiast niego wyrwałam więc kolegę jednej z koleżanek Jess. Byłam już wtedy zbyt pijana i upojona oklaskami, żeby zadowolić się własnym łóżkiem.

Ale jeśli mam być szczerą, nie sprawił tego jedynie alkohol. Ani zachwyty publiczności.

Dotyk ciepłego ciała i ktoś, kogo można przytulić... Pragnę tego po każdej robocie dla Henry'ego.

Bo jeśli kobieta nie może ufać facetowi, który mówił, że zawsze będzie ją kochał, to komu na tym świecie można ufać?

A świadomość, że to ja – moje umiejętności, moje słowa, moja gra – pomogłam rozbić rodzinę, zawsze wywołuje we mnie dziwne odczucia.

To, co robię dla Henry'ego, nie napawa mnie dumą.

Ale czasami jestem dumna z tego, jak dobrze mi to wychodzi.

Następnego dnia rano wracam metrem do Jess, nadal mając na sobie jej zakiet i niewiele więcej. Ignoruję znaczące spojrzenia współpasażerów. Jedno z ćwiczeń, które każe nam robić Paul, polega na wejściu w rolę, chodzeniu ulicami Nowego Jorku i rozmawianiu z zupełnie obcymi ludźmi. Gdy zrobisz coś takiego kilka razy, stwardnieje ci skóra.

Tak jak wówczas, gdy poprzesiadujesz w hotelowych barach, dając się podrywać żonatym mężczyznom.

W zasadzie między innymi właśnie to skłoniło mnie do przyjęcia propozycji Marcie – myśl, że takie doświadczenie mogłoby dobrze wpłynąć na moje umiejętności aktorskie, a nie tylko na moją sytuację finansową. No więc Marcie skontaktowała mnie z Henrym. Henry lubi przedstawiać się jako asystent prawnika, ale w rzeczywistości jest detektywem zatrudnionym w kancelarii prawnej. Umówił się ze mną w barze, co wydawało mi się dziwnym miejscem na rozmowę kwalifikacyjną, dopóki nie wyjaśnił, na czym będzie polegała moja praca.

– Myślisz, że dasz radę? – spytał.

Wzruszyłam ramionami. Raczej nie miałam innych możliwości.

– Jasne.

– To dobrze. Wyjdź, wejdź z powrotem i spróbuj mnie poderwać. Potraktuj to jak casting.

No więc wyszłam i weszłam z powrotem. A ponieważ dziwnie się czułam, mając poderwać starszego siwego faceta, weszłam w rolę z większą łatwością. Tylko głos i poza – *femme fatale* ze starego filmu noir; na przykład Lauren Bacall w *Wielkim śnie* – ale mogłam się za nimi ukryć.

Usiadłam przy barze i zamówiłam drinka. Nawet nie spojrzałam na mężczyznę siedzącego dwa miejsca dalej.

„Nigdy nie uderzaj do nich od razu – pouczył mnie wcześniej Henry. – Niech będzie jasne, że jesteś chętna, ale to oni muszą wyjść z propozycją, a nie odwrotnie. Niewinni nie mają się czego obawiać”.

Tak, jasne. Jeśli czegokolwiek się dotąd nauczyłam, to tego, że mózgi mężczyzn nie działają w ten sposób.

SŁABO OŚWIETLONY BAR W NOWYM JORKU, W CIĄGU DNIA

W lustrze za barem widzimy odbicie CLAIRE WRIGHT, lat 25, która z lekkim znudzeniem bawi się drinkiem.

HENRY, szczupły były gliniarz tuż po pięćdziesiątce, przesiada się na sąsiedni stół.

HENRY

Jesteś tu sama?

CLAIRE

(*chropawym głosem, powoli przeciągając samogłoski*)

Do tej chwili byłam.

Mężczyzna zerka na jej dłoń.

HENRY

Widzę, że nosisz obrączkę.

CLAIRE

To dobrze czy źle?

HENRY

To zależy.

CLAIRE

Od czego?

HENRY

Od tego, jak łatwo się ją zdejmuje.

Kobieta wytrzeszcza oczy, zaskoczona taką zuchwałością. Po chwili:

CLAIRE

Jeśli się nad tym zastanowić, ostatnio zrobiła się trochę luźna. A ty?

HENRY

Czy jestem luźny?

CLAIRE

Czy jesteś żonaty?

HENRY

Dzisiaj nie.

CLAIRE

W takim razie chyba mam dobry dzień.

Spogląda na niego – otwarcie, pewnie, bezpośrednio. Ta kobieta wie, czego chce. A teraz chce się trochę zabawić.

HENRY

(wychodząc z roli)

Jezu Chryste.

JA

Dobrze mi idzie? Mogłabym spróbować inaczej...

Mężczyzna poluzowuje krawat.

HENRY

Prawie mi szkoda tych drani.

Trzy dni później siedziałam w mało uczęszczanym barze niedaleko Central Parku i słuchałam, jak jakiś biznesmen opowiada mi o tym, że żona już go nie pociąga. Potem wręczyłam tej żonie nagranie, a Henry dał mi czterysta dolarów.

To nie była stała praca – w niektórych miesiącach dostawałam trzy albo cztery zlecenia, w innych żadnego. Właściwie praca Henry’ego polegała głównie na czymś, co nazywał nadzorem małżeńskim: na śledzeniu ludzi, żeby przyłapać ich na gorącym uczynku. „Nasi klienci to przede wszystkim kobiety – powiedział mi kiedyś. – Zwykle ich podejrzenia okazują się słuszne. Może już przyłapały męża, jak wychodzi do pracy w eleganckiej koszuli, a potem przysłał esemesa, że coś go zatrzymało. Czasami wystarczy nowy płyn po goleniu. Albo to, że znalazły obciążające esemesy w jego telefonie i po prostu chcą się dowiedzieć, jak wygląda ta druga kobieta. Za to mężczyźni częściej się mylą”.

Gdy Henry był jeszcze gliniarzem, pracował pod przykrywką, i teraz wyraźnie tęskni za adrenaliną. Tkwiąc godzinami w limuzynach i holach hotelowych, czekając, aż pojawią się nasze obiekty, urozmaica sobie czas opowiadaniem mi o tamtych operacjach.

– Trzeba widzieć szarość. Przestępcy instynktownie wyczuwają, kiedy nimi gardzisz albo się ich boisz. Dlatego musisz uwierzyć w to wszystko, w co wierzą oni. I właśnie to jest niebezpieczne. Nie broń ani bójki. Szarość przejmuje władzę nad niektórymi ludźmi i nie potrafią się od niej uwolnić.

Mówię mu, że stosuje metodę Stanisławskiego, mimo że nie zdaje sobie z tego sprawy, i w zamian opowiadam historie z życia aktorki. Takie jak ta, w której na pierwszych zajęciach Paul kazał nam zagrać scenę z Ibsena. Wydawało mi się, że poszło nam całkiem nieźle. Potem Paul kazał nam to powtórzyć, tyle że tym razem mieliśmy podtrzymywać na dłoniach kije od

szczotek. Pod presją związaną z robieniem dwóch rzeczy jednocześnie wszyscy się pogubiliśmy.

– To, co zrobiliście za pierwszym razem, wcale nie było grą aktorską – oznajmił nam Paul. – To było udawanie. Naśladowaliście to, co widzieliście u innych aktorów, ale nie było to dla was prawdziwe. Dlatego nie udało wam się tego powtórzyć, kiedy musieliście skupić umysł na czymś innym. Powiem wam dzisiaj tylko jedno, ale to najważniejsza rzecz, jaką ode mnie usłyszycie: nie myślcie. Aktorstwo to nie udawanie ani naśladowanie. Wskazówka tkwi w samym słowie. Aktorstwo to działanie.

Henry uważa, że to bzdura. Ale ja widywałam za kulisami aktorów kichających i zasmarkanych z powodu grypy, która ustępowała w chwili, gdy wchodzili na scenę. Widywałam nieśmiałyh introwertyków, którzy stawali się królami i królowymi, brzydali, którzy stawali się piękni, i pięknych, którzy stawali się odpychający. Na scenie coś się dzieje – coś, czego nikt nie potrafi wyjaśnić. Na kilka chwil stajesz się kimś innym.

To najlepsze uczucie na świecie.

Tego ranka Manhattan przypomina plan filmowy. Nad kratkami wentylacyjnymi stopniał śnieg, tworząc dziury, z których w promieniach słońca leniwie unosi się dym. Poprzedni wieczór poważnie uszczuplił zawartość koperty od Henry’ego, ale i tak zachodzę do delikatesów po obwarzanki dla siebie i Jess. Gdy stamtąd wychodzę, widzę, jak zgraja dzieciaków wygłupia się, obrzucając się śnieżkami, więc też lepię kulkę i dołączam do nich. Odruchowo myślę: *Rany, jestem w Nowym Jorku, w tym Nowym Jorku, i uczestniczę w scenie jakby wyjętej prosto z filmu, a na dodatek uczę się w jednej z najlepszych szkół aktorskich na świecie. Ostatecznie ten scenariusz ma szczęśliwe zakończenie.*

Czy tylko ja tak robię? Czy tylko mnie się wydaje, że nieustannie oglądam siebie w filmie o własnym życiu? Gdy pytam o to przyjaciół, większość mówi, że tego nie robi. Ale na pewno kłamią. Bo niby dlaczego chcą być aktorami, jeśli nie po to, żeby zmieniać rzeczywistość?

Nawet jeśli właśnie sobie przypominałam, że scena rozgrywająca się w mojej głowie, ta z bitwą na śnieżki w Nowym Jorku, pochodzi z tego okropnego filmu *Elf*.

Wchodząc do mieszkania, słyszę głosy dobiegające z pokoju Jess. Rozmawia przez Skype’a z Aranem, swoim chłopakiem, który nagrywa w Europie jakąś reklamę. Biorę szybki prysznic, sprawdzam, czy żakiet za bardzo nie ucierpiał, a potem pukam do jej drzwi.

– Śniadanie, czynsz i panna Donna Karan – mówię wesoło. – Jakieś recenzje?

Pierwszą rzeczą, jaką robi Jess codziennie rano, jest sprawdzenie w internecie, czy napisano o niej na jakimś blogu.

– Żadnej. Ale dostałam mejla od agentki. Mam spotkanie z producentem, który widział wczorajszy spektakl.

– Wspaniale – mówię, starając się, żeby nie zabrzmiało w tym zbyt dużo zazdrości.

– Jak ci się udał wieczór? – Jess stara się zadać to pytanie neutralnym tonem. – Szukałam cię mniej więcej o drugiej, ale już wyszłaś.

– A, było miło.

Wzdycha.

– Gówno prawda, Claire. To był pusty, pozbawiony znaczenia seks z zupełnie obcym facetem.

– To też – odpowiadam bez troski.

– Czasami się o ciebie martwię.

– Dlaczego? Zawsze mam przy sobie prezerwatywę.

– Miałam na myśli bezpieczne życie, nie bezpieczny seks. Zresztą doskonale o tym wiesz.

Wruszam ramionami. Nie zamierzam wdawać się w rozmowę o swoim życiu uczuciowym, a raczej o jego braku. W ostatecznym rozrachunku Jess ma rodzinę, a ludzie

mający rodzinę po prostu tego nie rozumieją.

Odwieszam żakiet i przeglądam szufladę z bielizną Jess w poszukiwaniu czystych majtek. Na jej dnie moje palce natrafiają na coś małego, twardego i ciężkiego.

Wyjmuję. To pistolet. Prawdziwy pistolet.

– Jezu, Jess – mówię osłupiała. – Co to, kurwa, jest?

Jess się śmieje.

– Tata mi go wcisnął. Wiesz, na wszelki wypadek. Wielkie, niebezpieczne miasto i tak dalej.

– I ty martwisz się o mnie? – pytam z niedowierzaniem. Mierzę z pistoletu do swojego odbicia w jej lustrze. – „Musisz zadać sobie pytanie, śmieciu, czy do twarzy ci w tym kolorze”.

– Ostrożnie. Chyba jest naładowany.

– Oj. – Uważnie odkładałam pistolet na miejsce i wyjmuję z szuflady czerwone legginsy od Alaii.

– Jeśli się zastanowić – dodaje Jess – chyba będę musiała zastrzelić osobę, która ciągle podkrada mi ubrania.

– W kopercie jest trzysta pięćdziesiąt dolarów. No, co najmniej trzysta dwadzieścia.

– W tej sprawie tata też zachowuje się trochę dziwnie. – Jess mówi to zwyczajnym tonem, ale wyczuwam w jej głosie nutkę napięcia.

– Tak? – odpowiadam równie spokojnie.

– Zmienia pracę, więc chwilowo nie zarabia, i uważa to mieszkanie za swoje źródło dochodu czy coś w tym rodzaju. Chyba chce, żebyś się wyprowadziła.

Niedobrze.

– Co mu powiedziałaś?

– Spytałam: „A gdyby Claire zapłaciła cały zaległy czynsz?”.

– Czyli jeszcze jakieś... czterysta dolarów?

Jess kręci głową.

– Siedemset. W każdym razie nie był zbyt zadowolony. Powiedział, że się zastanowi. Poza tym chce, żebyś od tej pory płaciła z góry.

Wpatruję się w nią.

– Ale to znaczy, że muszę zdobyć tysiąc sto dolarów.

– Wiem. Przykro mi, Claire. Próbowałam go przekonać, ale zaczął narzekać, że jestem nieodpowiedzialna finansowo.

– Ile mam czasu?

– Mogę go jeszcze trochę przetrzymać. Może kilka tygodni.

– Super – mówię z goryczą, ale wiem, że to nie wina Jess. W moim pokoju z łatwością zmieściłyby się dwie osoby, a mieszkanie w East Village byłoby idealne dla młodych pracowników z sektora finansowego. Jej tata mógłby zarobić znacznie więcej.

Zapada długa cisza. Jess sięga po scenariusz i zaczyna przerzucać strony.

– Muszę to przeciwżyć. Jack miał zastrzeżenia. Wygląda na to, że w scenie w lesie nadal czegoś brakuje.

– Mam z tobą poczytać?

– Zrobiłabyś to? – Rzuca mi scenariusz, a ja otwieram go na tej scenie, choć prawdopodobnie znam ją już na pamięć.

Możecie zapomnieć o *Romeo i Julii* – ta scena, jeśli zagra się ją właściwie, jest najseksowniejsza w całym dorobku Szekspira. A Szekspir, mimo że wielu osobom kojarzy się z kulturą przez duże K i z zadęciem niemającym związku z obecną rzeczywistością, stworzył najlepsze postacie wszech czasów.

Jess zaczyna.

JESS

(jako *Hermia*)

Dobrze, Lizandrze. Znajdź sobie gdzieś łóżko,

Bo mnie ta kępa mchu będzie poduszką*.

Kładzie się, jakby szykowała się do snu. Podchodzę i kładę się obok niej.

JA

(jako *Lizander*)

I moja głowa spocząć na niej może:

Skoro dzielimy los, dzielimy i łożo.

Jess jest niewygodnie, wierci się i odsuwa.

JESS

Nie, nie, Lizandrze. Jest przeszkoda drobna:

Moja cześć. Śpijmy więc, byle z osobna.

To klasyczny przykład sytuacji, w której słowa na papierze mówią jedno, a aktor po prostu wie, że postać ma na myśli coś zupełnie innego. Tak naprawdę Lizander ma ochotę pieprzyć Hermię do utraty tchu. I choć przemawia pięknym poetyckim językiem, powie wszystko, byleby zdobyć to, co chce. Przecież jest facetem, no nie? A Hermia, choć wie, że chyba nie powinna pozwalać mu kłaść się tak blisko, też ma na niego ochotę. Po prostu chce, żeby położył się trochę dalej, bo boi się, że sama ulegnie pokusie.

Tekst i podtekst.

Podpieram się na łokciu i patrzę na nią z góry.

JA

O, czemuż mierzysz prośbę, tak niewinną,

Nie miarą serca, ale jakąś inną?

Jednak gdy patrzę tęsknie w oczy Jess, jakaś cząstka mnie krzyczy: „Tysiąc sto dolarów?! Nawet u Henry’ego nie uda mi się zarobić takich pieniędzy!”.

Nagle staję w obliczu perspektywy, że cała ta krucha fantazja runie wokół mnie jak scenografia między scenami. Brak pieniędzy oznacza brak mieszkania. Brak mieszkania oznacza brak szkoły aktorskiej. Brak szkoły aktorskiej oznacza brak wizy. Będę musiała pokuśtykać z powrotem do domu z podwiniętym ogonem – do kraju, w którym nikt nigdy nie zatrudni mnie jako aktorki.

Zbliżam usta do ust Jess. Przez ułamek sekundy kusi ją, żeby to zrobić – widzę zakłopotanie w jej oczach. Potem się odsuwa.

JESS

Leży natomiast, widzę, w twojej naturze

Grą słów usuwać przeszkody za duże.

– Czyli że facet całkiem dobrze całuje – podsumowuje Jess. – Potem próbuje pocałować mnie jeszcze raz, bla, bla, bla, i zaczynamy od nowa.

Zsuwam się z łóżka.

– Jak na mój gust, niczego tej scenie nie brakuje.

– Wiesz – mówi ze smutkiem Jess – grasz o niebo lepiej niż ten palant, który mi partneruje. Przykro mi, Claire. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Powiedz to jeszcze raz, jak mawiają w tych stronach. Co znaczy: „Proszę, nie mów, i tak nikt cię nie słucha”.

* Tamże, s. 438–439.

Jedno muszę przyznać angielskiemu systemowi opieki zastępczej: dzięki niemu człowiek nabiera odporności.

Straciłam rodziców w wieku siedmiu lat. Jednego dnia miałam rodzinę, a następnego, przez kierowcę ciężarówki, który pisał esemesa, siedząc za kółkiem, już nie. Później pielęgniarki powiedziały mi, że mama i tata zginęli natychmiast. Ja siedziałam z tyłu, w dziecięcym foteliku, który prawdopodobnie ocalił mi życie, gdy siła uderzenia wyrzuciła mnie z wraku. Nie pamiętam ani tego, ani niczego innego, co wydarzyło się tego dnia. Zawsze mnie to gryzło. Jeśli masz spędzić z ukochanymi ludźmi ostatnie kilka godzin, powinnaś je zapamiętać.

Już samo oswajanie się ze śmiercią rodziców było okropne. Potem uświadomiłam sobie, że stracę też całą resztę: swój pokój, swoje zabawki, wszystko, co znałam. Brzmi to jak szaleństwo, ale pod pewnymi względami było to równie bolesne. Nie tylko zostałam sierotą. Oderwano mnie od korzeni.

W południowym Londynie, gdzie wtedy mieszkałam, był niedobór rodzin zastępczych, więc po wyjściu ze szpitala wysłano mnie na Ealing, na drugi koniec miasta. A gdy półtora miesiąca później znaleziono dla mnie pierwszą rodzinę zastępczą, okazało się, że ci ludzie mieszkają w Leeds, dwieście siedemdziesiąt kilometrów dalej. Musiałam zmienić szkołę i straciłam także przyjaciół.

Byłam dziewczynką z klasy średniej, londynką, wrzuconą do szkoły, w której wszystkie dzieci znały się od lat. Mówiły jakby innym językiem. Myślały, że jestem nadęta, albo raczej „fiu, fiu”, bo tak to nazywały. Szybko stałam się dwiema osobami: tą, którą byłam wcześniej, i tą, którą chciały, żebym była.

Nauczyłam się mówić dokładnie tak jak one. Okazało się, że potrafię niezłe naśladować głosy.

Moją nową rodziną stali się zawodowi rodzice zastępczy – oprócz dwojga własnych dzieci przeważnie wychowywali jeszcze troje cudzych. Byli dla mnie nienagannie mili, nawet dobrzy. Ale ostatecznie opieka zastępcza to był dla nich interes – sposób na kupno lepszego domu, lepszych wakacji. Byli zawodowcami, podczas gdy ja łaknęłam nieprofesjonalnej, bezwarunkowej miłości.

Mój nowy status prawny określano terminem „pozostająca pod opieką”, co było najśmieszniejsze z tego wszystkiego. A to dlatego, że w rodzinie zastępczej bardzo szybko zdajesz sobie sprawę, że nikt się tobą nie opiekuje. Nikogo nie obchodzi, czy odrobisz lekcje. Nikogo nie obchodzi, czy masz jakichś przyjaciół. Nikogo nie obchodzi, czy zdajesz egzamin najlepiej czy najgorzej z klasy. Bo i czemu miałoby to kogokolwiek obchodzić?

Pamiętam, jak zobaczyłam, że jeden z moich ojców zastępczych, Gary, przytula swojego rodzzonego syna. Nadal cierpiałam po stracie rodziców, więc podeszłam do nich, żeby też się przytulić. Gary powiedział mi delikatnie, że byłoby to niestosowne. Właśnie tak to określił: „niestosowne”. Jakbym chciała go uwieść albo coś.

Wtedy wreszcie zrozumiałam, że odtąd jestem zdana tylko na siebie. Kiedy już to poczujesz, nigdy o tym nie zapomnisz.

W szkole średniej po raz pierwszy zetknęłam się z teatrem. Wcześniej nawet nie zdawałam sobie sprawy, że aktorstwo może być traktowane jak przedmiot szkolny. Wciąż pamiętam, jak nasza nauczycielka, pani Hughes, powiedziała pozostałym, żeby przerwali to, co akurat robili, i spojrzeli na mnie.

– Patrzcie na Claire, ma wrodzony talent – oznajmiła klasie.

Już wkrótce nie myślałam o niczym innym. Gdy grałam, przestawałam być dzieckiem „pozostającym pod opieką”. Byłam Julią, Annie, Nancy, Pukiem. Byłam księżniczkami, morderczyniami, bohaterkami, dziwkami.

Gdy wystawialiśmy jakąś sztukę i rodzice innych dzieci przychodzili za kulisy, żeby im powiedzieć, jak wspaniale wypadły, do mnie nie przychodził nikt. To tylko zwiększyło moją determinację.

Niedaleko szkoły była akademia sztuk widowiskowych i niektórzy z jej absolwentów grali w operach mydlanych w rodzaju *Szpitala Holby City*. Gdy powiedziałam swojej opiekunce społecznej, że chcę się tam zgłosić, zmarszczyła brwi.

– Claire, to prywatna akademia. Rada hrabstwa nie będzie chciała dodatkowo płacić za dziecko przebywające w rodzinie zastępczej.

Gary obiecał, że porozmawia o tym z kimś z rady. Tydzień później spytałam, czego się dowiedział.

– A – odparł. Najwyraźniej już dawno zapomniał o sprawie. – Odmówili.

No więc wróciłam do pani Hughes.

– Skoro zamierzasz walczyć, żeby dostać się do szkoły aktorskiej – powiedziała – to lepiej wybierz jakąś dobrą. Ta, o której mówisz, zrobiłaby z ciebie grającą małpę.

Poszukała lepszych szkół i okazało się, że jedna z nich zaproponowała mi stypendium. Następnie pani Hughes zorganizowała spotkanie z moją opiekunką społeczną. A ona oznajmiła z grubsza, że umieszczono mnie tam, gdzie mnie umieszczono, i dodatkowe zmiany nie leżą w moim interesie.

Typowe, pomyślałam. Wy możecie przenosić mnie cztery razy w ciągu trzech lat, ale gdy ja czegoś chcę, nagle okazuje się, że byłoby to zbyt traumatyczne.

Musiałam toczyć boje przez trzy lata, ale w końcu postawiłam na swoim. W dniu, w którym weszłam do szkoły aktorskiej, poczułam się, jakbym wreszcie znalazła nową rodzinę.

Dzwonię do Marcie i błagam o więcej zleceń. W końcu proponuje mi przesłuchanie do teledysku. Członkostwo w związku nie jest wymagane.

W piwnicy, w której odbywa się przesłuchanie, mówię do kamery na trójnogu, jak się nazywam, ile mam wzrostu i kto mnie reprezentuje. Dwaj producenci, obaj mężczyźni, nie zwracają na mnie uwagi i skupiają się na moim wizerunku na monitorze.

Kierowniczką obsady prosi, żebym oświadczyła do kamery, że nie mam nic przeciwko częściowej nagości.

– Jeśli rola tego wymaga – żartuję nerwowo.

– Skarbie, to jest rola tancerki topless. – Niecierpliwi się.

– Oczywiście. – Spoglądam do kamery i mówię wesoło: – Nazywam się Claire Wright i nie mam nic przeciwko częściowej nagości.

Miejmy nadzieję, że ktoś wyryje to na moim nagrobku.

– Okej, Claire, zacznij, kiedy będziesz gotowa – poleca kierowniczką obsady. Puszczają jakąś muzykę.

Mniej więcej minutę później jeden z producentów coś mówi i muzyka milknie.

– Dzięki, Claire – odzywa się kierowniczką obsady. – Czy wychodząc, mogłabyś poprosić do nas kolejną dziewczynę?

Gdy ruszam w stronę drzwi, drugi producent mówi coś, czego nie udaje mi się dosłyszeć.

– Chwileczkę...! – woła za mną kierowniczką obsady.

Przez moment mamrocą między sobą, a potem rzuca w moją stronę:

– Zostaw swoje zamiary w sekretariacie.

Po południu dostaję esemesa z zaproszeniem do biura producenta na ósmą. Przetrzęsam szafę Jess w poszukiwaniu odpowiednich ciuchów i starannie robię makijaż. Gdy docieram na miejsce, w recepcji nie ma już nikogo, został tylko ochroniarz. Wszyscy oprócz niego poszli do domu.

Idąc korytarzem, w końcu znajduję biuro producenta, który akurat rozmawia przez telefon. Zaprasza mnie gestem do środka. Siadam na obrotowym krześle, a on kontynuuje rozmowę o kimś, kto powinien przestać zachowywać się jak dupek i zamówić wózek kamerowy z Panavision.

W końcu odkłada słuchawkę.

PRZESTRONNE BIURO, WIECZOREM

PRODUCENT

Co za kretyn! Cześć, Claire.

JA

Cześć! I dziękuję, że mnie wybraliście.

PRODUCENT

W zasadzie to jeszcze nie zostałam wybrana, Claire. Kompletuję obsadę do wielu projektów i pomyślałam, że warto się z tobą skontaktować i spytać, czy byłabyś zainteresowana którymś z nich.

JA

Wspaniale! Ale... wiesz, że nie mam zielonej karty?

Producent wzrusza ramionami.

PRODUCENT

Tak, jest to pewien problem. Ale być może uda się go rozwiązać. Jako producent mam dostęp do programu wymiany aktorów Actors' Equity. Może uda mi się zorganizować wymianę z kolegą w Londynie.

JA

Fantastycznie! Co to za projekty?

PRODUCENT

Szczegóły omówimy później. Na razie chciałbym się przekonać, czy masz dość ambicji i determinacji, żeby dołączyć do zespołu.

Okrąża biurko i kładzie rękę na moim ramieniu. Potem lekko popycha, tak że krzesło razem ze mną obraca się w jego stronę. Moja twarz zatrzymuje się na wysokości jego krocza. Producent przyjacielsko ściska mi ramię.

PRODUCENT

Chyba wiesz, co mam na myśli.

Zastygam na dłuższą chwilę. Potem zrywam się z krzesła, odpycham go obiema rękami i krzyczę: „Nie dotykaj mnie!”. Walę go pięścią w nos i producent zatacza się do tyłu.

JA

Wal się, pojebie...

Mężczyzna kuli się, zasłaniając głowę. Z nosa leci mu krew, tworząc czerwony hitlerowski wąsik.

PRODUCENT

Okej! Jezu! Po prostu idź stąd, dobra?

Odsuwam się, żeby mógł wstać z podłogi. Ale po chwili naciera na mnie z zaciśniętymi pięściami.

PRODUCENT

Suko... zapłacisz mi za to.

I wtedy jego spojrzenie zatrzymuje się na lufie pistoletu Jess.

PRODUCENT

Chyba nie zamierzasz go użyć?

Trzęsą mi się ręce, a pistolet razem z nimi. Dobrze. Im bardziej przypominam kogoś, kto stracił panowanie nad sobą, tym szybciej uwierzy, że mogłabym być na tyle stuknięta, by go zastrzelić.

JA

W samoobronie? Jasne, że zamierzam.

Kiwam głową w stronę swojej torebki.

JA

W środku jest kamera. Wszystko nagrałam. Chciałbyś, żeby zobaczyła to twoja żona?

PRODUCENT

Co to ma być, kurwa?

Z pozoru to ja mam teraz władzę, nie on. Ale w głębi ducha czuję paniczny strach. A jeśli się na mnie rzuci? Jeśli zwyczajnie wyrwie mi pistolet i wyceluje we mnie? Jeśli mój palec ześlizgnie się ze spustu?

JA

Za chwilę stąd wyjdę. A ty zostaniesz tu, gdzie jesteś.

Wycofuję się, udając pewność siebie. Gdy wychodzę, facet warczy:

PRODUCENT

Możesz zapomnieć o karierze w tym biznesie, suko. Jesteś pieprzoną wariatką.

Trzymam fason, dopóki nie wychodzę na ulicę. Tam tracę samokontrolę, uciekam

chwiejnym krokiem, zapłakana i roztrzęsiona. Zwątpienie w siebie odbija się rykoszetem w mojej głowie. *Jak mogłam być taka głupia? Czy źle to rozegrałam? Czy na przesłuchaniu zrobiłam coś, co mogło sugerować, że jestem kobietą, która lubi takie rzeczy?*

Czy w jakiś sposób go do tego zachęciłam?

„Nazywam się Claire Wright i nie mam nic przeciwko częściowej nagości”... Przypominam sobie, z jakim uśmiechem wypowiedziałam te słowa. Czy na tym polegał mój błąd? Czy wypadło to ironicznie? Czy brzmiałam nieprofesjonalnie?

Choć inna część mnie, ta racjonalna część, próbuje mnie uspokoić, zapewniając: „Nie, to on zachował się jak padalec. Nie miał prawa nawet tak pomyśleć. To on zrobił coś złego, nie ty”, wiem, że ta dyskusja będzie ciągnęła się w mojej głowie godzinami.

Zresztą padalec czy nie, może zareagowałam przesadnie? Może zwyczajna, pełna godności odmowa zadziałałaby równie dobrze – może nawet doprowadziłaby do przeprosin, do produktywnej rozmowy na temat pracy?

„Możesz zapomnieć o karierze w tym biznesie, suko...”

Prawie zastygam w pół kroku na myśl o implikacjach tego zdania. Czyżby zamierzał zniechęcić do mnie kierowników obsady? Powiedzieć kumplom, że lepiej omijać mnie z daleka? Niewiele trzeba, żeby moja brytyjska reputacja przedostała się na drugą stronę Atlantyku i dołączyła do paru półsłówki i plotek, pozbawiając mnie drugiej szansy.

Boże, czy powinnam była po prostu dać mu to, czego chciał?

Od Jess dzieli mnie około czterdziestu przecznic. Pokonuję tę odległość piechotą, pograżona w rozpacz i pretensjach do samej siebie. Nie stać mnie na metro i nie potrafię zdobyć nawet roli półnagiej laluni, nie narażając się przy tym na molestowanie. Na ulicach nie ma już śniegu, ale nadal jest mokro i zimno. Łzy na moich policzkach najpierw wydają się ciepłe, potem lodowate, później – gdy płyną kolejne – na policzkach znów czuję ciepło.

Gdy od mieszkania dzieli mnie już tylko sto metrów, dzwoni telefon. Spoglądam na ekran, a potem odbieram.

ULICA W NOWYM JORKU, WIECZOREM

HENRY

Cześć, Claire. Masz dziś wolny wieczór?

Patrzę tęsknie na budynek, w którym mieszka Jess. Nie marzę o niczym innym, jak tylko o tym, żeby wczłgać się do łóżka i płakać. Muszę jednak pomyśleć o pieniądzach na czynsz.

JA

Chyba tak.

HENRY

Mam dla ciebie zlecenie. Ale klientka chce cię najpierw zobaczyć.

JA

Po co?

HENRY

Bo ja wiem? Może chce się upewnić, że jesteś w typie jej męża. Nie mam wątpliwości, że będziesz.

JA

W takim razie w porządku.

HENRY

Jak szybko możesz się tu zjawić? Zameldowała się w hotelu Lexington. Spytaj o apartament z tarasem.

Byłam już wystrojona na spotkanie z producentem, więc docieram do hotelu Lexington w niecałe dwadzieścia minut. Idę do damskiej toalety w holu, poprawiam makijaż i robię ćwiczenie oddechowe, żeby się skupić. *Showtime*.

Potem jadę windą prosto na szóste piętro. Pukam do drzwi apartamentu i Henry wpuszcza mnie do środka. Obok okien chodzi nerwowo trzydziestokilkuletnia kobieta. Kim Novak w *Zawrocie głowy*, myślę, obserwując ją: elegancka, perły, doskonale zadbana, krótkawe jasne włosy nienagannie ułożone w stylu rzadko spotykanym w dzisiejszych czasach. W porównaniu z nią czuję się jak dziecko, które splądrowało pudło z kostiumami.

Początkowo mam wrażenie, że ściska w dłoni różaniec, ale po chwili uświadamiam sobie, że to tylko breloczek, który obraca w palcach. Wydaje się zdenerwowana, co nie jest niczym niezwykłym. Dla wielu klientek Henry'ego najtrudniejszy jest właśnie ten etap – etap, na którym wreszcie mają się dowiedzieć, kim naprawdę jest ich mąż.

HOTEL LEXINGTON, APARTAMENT Z TARASEM, WIECZOREM

HENRY

Claire, dzięki, że przyszłaś. To jest Stella Fogler.

(do kobiety, uspokajającym tonem)

Zatrudniam w charakterze przynęty kilka dziewczyn, ale sądząc po tym, co powiedziała mi pani o Patricku, w tym przypadku Claire bez wątpienia spisze się najlepiej.

STELLA

(do mnie, poruszona)

Będzie pani ostrożna, prawda? Niech mi pani obieca, że będzie pani ostrożna.

Siadam.

JA

Może opowie mi pani o swoim mężu?

STELLA

Jest inny niż wszyscy mężczyźni, jakich kiedykolwiek pani znała. Mówię poważnie. Niech pani nie spuszcza go z oka. Niech mu pani nie ufa. Obiecuje pani?

Ufać mu? – myślę. – Małe szanse. Ostatnią rzeczą, jakiej mi teraz trzeba, jest kolejny żonaty padalec.

HENRY

Claire to profesjonalistka w każdym calu. Wie, co robi.

JA

Proszę po prostu pokazać mi jego zdjęcie i powiedzieć, gdzie go znajdę. Resztą zajmę się sama.

HENRY

Więc jak? Decyduje się pani?

Stella Fogler przestaje nerwowo krążyć po pokoju i skupia na mnie spojrzenie szaleńca, nadal obracając w dłoniach breloczek.

STELLA

Tak. Dobrze. Ale proszę... niech pani uważa.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfe1+S35Kag9hG3RCczNHK04gDn4S

BAR FLAHERTY'S, NOWY JORK, WIECZOREM

Stary, wyłożony boazerią bar na Upper West Side, stoliki dobrze rozmieszczone i w większości puste. PATRICK FOGLER siedzi przy jednym z nich, czyta książkę w miękkiej okładce i zapisuje coś w notesie. Dobiega czterdziestki, ma ciemne włosy i pociągłą twarz o ostrych rysach. Jego oczy mają bladozielony odcień. Jest przystojny w powściągliwy, inteligencki sposób.

Całkiem jak młodszy Daniel Day-Lewis, orzekam, przyglądając się jego odbiciu w podłużnym lustrze za barem. A tak się składa, że to jeden z moich ulubionych aktorów. Tyle że Patrick Fogler jest jeszcze bardziej żyłasty. Jeszcze poważniejszy.

Szczerze mówiąc, nie wygląda na niewierną gnidę. Ale niektórzy z nich nie wyglądają. Niekiedy są sympatyczni i czarujący. Zwykle to właśnie oni zdradzają najczęściej.

Dlaczego? Chyba dlatego, że mogą.

„Na razie chciałbym się przekonać, czy masz dość ambicji i determinacji, żeby dołączyć do zespołu”...

Kręcę głową, próbując się skupić, wyrzucić z umysłu wspomnienie tego producenta. *Po prostu wykonaj robotę – powtarzam sobie. – Uśmiechaj się, flirtuj, doprowadź do tego, żeby Patrick Fogler zaczął cię podrywać, a potem wyjdź. Najwyżej godzina. Później wrócisz do domu z czterema słowami w garści, będziesz mogła zwymiotować, rozplakać się i upić.*

I zostanie ci do spłacenia tylko siedemset dolarów.

Jak na zawołanie Patrick Fogler wstaje i rusza w moją stronę. Łatwizna. Odwracam się, witając go ćwierćuśmiechem. Za późno uświadamiam sobie, że nie chodzi mu o mnie. Podaje barmanowi dwudziestodolarowy banknot.

PATRICK

Mógłby pan to rozmienić?

Ma dzwiczny, dobrze wymodulowany głos: poczucie władzy utrzymywane w ryzach. Gdy barman otwiera kasę, oczy Patricka Foglera spotykają się w lustrze z moimi oczami. Znowu posyłam mu maleńki sygnał – moje oczy nabierają łagodniejszego wyrazu i otwierają się nieco szerzej. Wydaje się zaskoczony, nic więcej. Jakby nie był pewny, czy skądś mnie zna.

Gdy dostaje monety, dziękuje barmanowi skinieniem głowy i wychodzi z baru. Ale wróci. Zostawił na stoliku drinka i książkę w miękkiej okładce.

Podchodzę i ją podnoszę. To tomik poezji: sfatygowany egzemplarz *Kwiatów zła* Charles'a Baudelaire'a.

„Przekład i redakcja Patrick Fogler”, zauważam. Więc jest filologiem.

Szybko przerzucam strony, szukając czegoś, co mogłabym wykorzystać. Wtedy on wraca i mnie na tym przyłapuje. Dokładnie tak jak zaplanowałam.

JA

(ze skruchą)

O, przepraszam! To twoje?

PATRICK

Tak.

Wydaje się rozbawiony. Rozgląda się po prawie pustym barze, jakby chciał spytać: „A czyje miałyby być?”.

JA

Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe... Jeszcze nigdy nie czytałam Baudelaire'a. Spogląda na stronę książki, na której jestem.

PATRICK

Od tego wiersza lepiej nie zaczynać.

Bierze ode mnie tomik, przerzuca kilka stron, znajduje właściwe miejsce i czyta na głos:

PATRICK

Więcej mam wspomnień, niż gdybym żył od stuleci...

Wielki grat z szufladami pełnymi rupieci, [...]

Mniej ukrywa sekretów niż mój mózg zgnębiony.*

W jego głosie wyraźnie brzmi pewność, rytm jest cichy i uporczywy niczym puls. Patrick Fogler podaje mi książkę, wciąż otwartą. Spoglądam w dół i błyskawicznie omiatam wzrokiem następny wers, a potem recytuję go, patrząc mężczyźnie w oczy, trzymając rytm, delektując się słowami.

JA

Ta piramida, ten grobowiec niezglębiony [...]

Gdzie długie czerwie niczym wyrzuty się wloką

Tocząc najdroższych zmarłych, co leżą głęboko.

Odpowiada mi z pamięci, ze spojrzeniem utkwionym w moich oczach. Coś mrocznego i dziwnego, za czym nie potrafię nadażyć, o stawianiu się przeciwieństwem ciała.

PATRICK

Jak granit, który straszna pustynia opływa,

Uśpiony wśród zamglonej od żaru Sahary.

Dołączam do niego przy ostatnich wersach, w tym samym rytmie, dopasowując głos do jego głosu.

JA / PATRICK

Zapomniany na mapie, on, co śpiewa co dzień

Przez kaprys dziki tylko o słońca zachodzie.

Na parę sekund zapada cisza.

PATRICK

Dobrze ci to wyszło.

JA

Dziękuję... O czym jest ten wiersz?

PATRICK

Powiedziałbym, że o jego życiu uczuciowym.

JA

Musiało być dość skomplikowane.

Patrick się uśmiecha.

PATRICK

Pisząc to, Baudelaire był związany z dwiema kobietami. Jedną była słynna piękność, bożyszczka dziewiętnastowiecznego Paryża. Nazywał ją *Vénus Blanche*, swoją Białą Wenus. Drugą była tancerka kabaretowa, Mulatka, która sprzedawała swoje ciało na ulicy. Nazywał ją swoją *Vénus Noire*. Czarną Wenus.

JA

Interesujące... Trójkąt miłosny.

PATRICK

Skoro tak to nazywasz.

JA

I jak to się skończyło?

PATRICK

Zaczął pisać wiersze, które posyłał anonimowo Białej Wenus. O tym, co chciałby z nią zrobić, o tym, co robił z Czarną Wenus. Wiersze ocierające się o wszelkiego rodzaju zepsucie. Mówił, że inni poeci napisali już dość o kwiecistych sferach piękna. Chciał być pierwszym, który napisze o pięknie wywodzącym się ze zła.

JA

Les Fleurs du Mal... Kwiaty zła.

Pora na mój ruch.

JA

Chyba wiedział, że niektóre kobiety pociąga to, co zakazane.

Patrick Fogler kręci głową. Jakbym z jakiegoś powodu go rozczarowała.

PATRICK

Muszę już iść.

Slucham?

JA

Naprawdę? Dobrze mi się z tobą... Chciałabym usłyszeć o nim coś więcej...

Próbuję oddać mu książkę. Zbývá to machnięciem ręką.

PATRICK

Zatrzymaj ją. Pamiątka po ciekawym spotkaniu. Podobało mi się, jak czytałaś.

JA

Sluchaj... Zwykle tego nie robię, ale mam za sobą naprawdę gówniany wieczór i przydałoby mi się towarzystwo. Może zostaniesz i pozwolisz zaprosić się na drinka?

Znowu się uśmiecha, zmarszczki w kącikach jego oczu się pogłębiają.

PATRICK

Chciałbym. Ale jestem żonaty.

JA

Wcale nie miałam na myśli...

On jednak już wychodzi. Woła przez ramię.

PATRICK

Wiem! Ale ja miałem! A w przeciwieństwie do Baudelaire'a wolę jedną Wenus naraz...!

Miło było cię poznać!

Potem, prawie jakby mówił do siebie, recytuje coś po francusku.

PATRICK

Ô toi que j'eusse aimée, ô toi qui le savais...

JA

Co to znaczy? Hej, może byśmy...

Brak reakcji, niech to szlag. Odprowadzam go wzrokiem, nadal trzymając w dłoni tomik poezji. I uświadamiając sobie, że po raz pierwszy, odkąd zaczęłam pracować dla Henry'ego, zostałam spławiona.

* Przekłady wszystkich fragmentów wierszy Charles'a Baudelaire'a pochodzą z: Ch. Baudelaire, *Kwiaty zła. Les Fleurs du Mal*, tłum. Z. Bieńkowski i in., Kraków 1994.

– Więc to chyba dobra wiadomość – stwierdzam. – Gratuluję. Pani mąż jest wierny.
W każdym razie to dobra wiadomość dla pani. Ja nadal boleśnie odczuwam porażkę.

Znowu jesteśmy w apartamencie Stelli Fogler. O dziwo moje słowa chyba jeszcze bardziej wytrącają ją z równowagi.

– Wierny! – jęczy, załamując ręce. – Powinnam była wiedzieć, że to się nie uda. O Boże!
 Boże!

– Jak to? – pytam skołowana.

– Myślałam, że coś na niego znajdę – wyrzuca z siebie jednym tchem. – Coś, dzięki czemu zostawi mnie w spokoju – mówi gorączkowo.

Slucham? Zdezorientowana patrzę na Henry'ego, ale on unika mojego spojrzenia.

– Domyślił się, że to podstęp. – Stella zwraca się do Henry'ego: – Ona się do tego nie nadawała. Dziewczyna powinna mieć ciemną skórę. Właśnie takie... – Milknie.

– Czarna Wenus – mówię powoli. – Wspominał coś o tym.

– On nigdy o tym nie wspomina – ucina ostro pani Fogler. Znowu zwraca się do Henry'ego: – Wiedziałam, że to błąd.

Teraz zaczynam się wkurzać. Nie tylko dlatego, że ta kobieta zachowuje się, jakbym to ja wszystko popsukała – właśnie sobie uświadamiam, że cała ta próba podrywu była dokładnym przeciwieństwem tego, czym myślałam, że jest.

– Niech pani posłucha: większość walniętych neurotyczek, dla których to robię, uznałaby się za szczęściary – mówię ze złością. – Pani mąż nie zaczął mnie podrywać. A proszę mi wierzyć, nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Jeśli chciała mnie pani wykorzystać, żeby go potem szantażować, powinna była mi pani powiedzieć. – Wstaję. – Chciałabym dostać zapłatę. Czteryście dolarów.

Stella wyjmuję spod łóżka niewielką torbę i rozpiną zamek. Wydobywa z niej gruby zwitek banknotów i odlicza cztery. Trzęsą jej się ręce.

– Proszę nie myśleć, że nie doceniam tego, co pani zrobiła. Na pewno dała pani z siebie wszystko. I nie zamierzałam go szantażować, niezupełnie. Po prostu chciałam mieć jakieś... zabezpieczenie.

Biorę pieniądze.

– Dzięki – mówię oschle.

– Odprowadzę cię, Claire – mruczy Henry.

Gdy tylko zamykają się za nami drzwi apartamentu, kładzie rękę na moim ramieniu i odwraca mnie w swoją stronę.

– Ej! Co to miało być, Claire? „Walnięte neurotyczki”?

– Bo to jest neurotyczka.

– Oraz klientka – upiera się.

– Henry... Nie wydaje ci się, że to popieprzone? Ona chciała, żeby jej mąż mnie poderwał. A co z zasadą, że „niewinni nie mają się czego obawiać”?

Henry wzrusza ramionami.

– Potrzebowałaś więcej zleceń, prawda?

– Ty o tym wszystkim wiedziałaś. – Właśnie to sobie uświadamiam. – Wiedziałaś, o co jej chodzi. Jezu. Robienie czegoś takiego gnidom, które i tak zdradzają żony, to jedno. Ale jeśli żona sama... – Z niedowierzaniem kręcę głową. – Kończę z tym.

Gdy odchodzę, woła za mną:

– Nie zgrywaj takiej diwy, Claire. Uwielbiasz tę robotę. Dobrze o tym wiesz. Po prostu jesteś zła, bo nie udało ci się go poderwać. Zadzwoń jutro, kiedy ochłoniesz.

HOL W HOTELU LEXINGTON, WIECZOREM

Wychodząc z hotelu, o czymś sobie przypominam. Wyjmuję z torebki tomik *Les fleurs du mal*, który dostałam od Patricka, i zawracam.

KORYTARZ W HOTELU LEXINGTON

Znowu pukam do drzwi apartamentu Stelli.

JA

Proszę pani? Stello? Mam coś, co należy do Patricka. Chyba powinnam to pani oddać.

Nikt nie odpowiada.

JA

Halo?

Nic. Wzruszam ramionami i odchodzę.

Jest takie wspaniałe ćwiczenie stworzone przez legendarnego nauczyciela gry aktorskiej Sanforda Meisnera: dwoje aktorów powtarza nawzajem swoje słowa. Pokazuje ono, że w gruncie rzeczy słowa znaczą to, co chcemy, żeby znaczyły. Że scenariusz nie jest biblią, jest punktem wyjścia. Tekst i podtekst.

Minęły trzy dni. Scott i ja krążymy wokół siebie w sali prób, a pozostali studenci się przyglądają.

– Uśmiechasz się – mówię do Scotta z nadzieją, jakbym była pewna, że chce się ze mną podzielić jakimiś dobrymi wieściami.

– Uśmiechasz się – odpowiada. Tylko że on mówi to tak, jakbyśmy właśnie się kłócili i mój uśmiech świadczył o tym, że nie traktuję go poważnie.

– Uśmiechasz się? – pytam z niedowierzaniem, jakby nie zadał sobie trudu, żeby ukryć to, że właśnie zachował się jak świnia.

– Uśmiechasz się! – wykrzykuje triumfalnie, jakbym starała się powstrzymać uśmiech, a jemu udało się mnie do niego zmusić.

– Uśmiechasz się – szepczę, jakbym widziała go szczęśliwego pierwszy raz od roku.

– Uśmiechasz się – mówi, jakby skrywało się pod tym niewypowiedziane: „Ale ja nie”.

– Dobrze. A teraz improwizujcie – wydaje polecenie Paul.

– Uśmiechasz się – mówi oskarżycielsko Scott.

– Wcale nie!

– No więc o czym myślisz?

– Myślałam o tym, jak turlaliśmy się w śniegu.

– To było wtedy, prawda? Gdy po raz ostatni byliśmy szczęśliwi.

– Doskonale – odzywa się Paul, przerywając nam.

Pozostali studenci nagradzają nas krótkimi oklaskami.

– Pamiętajcie – zwraca się Paul do grupy – najważniejsze to wykorzystać to, co daje nam drugi aktor. Gram działania jest wart kilograma słów.

Rozlega się pukanie do otwartych drzwi. Stoi w nich jedna z sekretarek, która przyprowadziła umundurowaną policjantkę.

– Szukam Claire Wright – mówi.

O cholera.

– To ja – zgłaszam się z uśmiechem. – W czym mogę pomóc?

Funkcjonariuszka zabiera mnie do głównej siedziby nowojorskiej policji, gdzie czekam w małym, zatęchłym pomieszczeniu na ósmym piętrze. Pytałam, o co chodzi, ale nie chce mi powiedzieć. Powtarza tylko, że polecono jej mnie sprowadzić i wkrótce wszystko się wyjaśni. A raczej „lada chwila”, bo tak to ujmuje.

To pewnie przez tego producenta, myślę zdenerwowana. Widocznie złożył skargę. Na pewno nie wyniknie z tego nic dobrego. Wiem, że przepisy dotyczące posiadania broni są tutaj o wiele mniej restrykcyjne niż w Wielkiej Brytanii, ale wątpię, by można było wymachiwać komuś pistoletem przed nosem.

W końcu zjawia się krzepki mężczyzna w cywilu i przedstawia się jako detektyw Frank Durban. Skwapliwie podrywam się z miejsca i ściskam mu dłoń, starając się zrobić dobre wrażenie. Detektyw Durban wydaje się nieco zaskoczony. Wskazuje młodszego, ogolonego na tyso mężczyznę z plikiem dokumentów, który wchodzi do pomieszczenia tuż za nim.

– A to detektyw Davies.

– Potrzebuję adwokata? – pytam z obawą w głosie.

– To zależy. Co zrobiłaś? – odpowiada Durban.

Śmieję się, bo powiedział to uprzejmie, jakby żartował, ale zauważam, że daje mi czas na odpowiedź, a dopiero potem dorzuca:

– Claire, nie jesteś aresztowana i nie stawiamy ci żadnych zarzutów. Chcemy tylko zadać ci kilka pytań. O Stellę Fogler.

– O kogo? – Po chwili sobie przypominam. Jednak nie chodzi o producenta.

– Z tego, co zrozumiałem, pracujesz dorywczo dla kancelarii prawnej Kerr Adler – dodaje Durban, kiedy siadamy. – Zgadza się?

– Tak.

– Opowiedz nam o tym.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie skłamać – może ta praca nie wymaga przynależności do związku, ale jestem pewna, że narusza warunki mojej wizen – ponieważ jednak najwyraźniej wiedzą już całkiem sporo, spełniam prośbę detektywa Durbana i mówię im wszystko: o Marcie, roli przynęty, ukrytej kamerze w torebce. Po chwili Davies odsuwa papiery i zaczyna robić notatki.

– Czy w zleceniu od pani Fogler było coś niezwykłego? – pyta Durban. – Coś, z czym wcześniej się nie zetknęłaś?

– Poproszono mnie, żebym się z nią spotkała. Zwykle coś takiego się nie zdarza.

– Dlaczego tym razem się zdarzyło?

Wzruszam ramionami.

– Henry powiedział, że ta kobieta chce zobaczyć, jak wyglądam. Ocenić, czy się nadaję.

– Jak się zachowywała podczas tego spotkania?

Wracam myślami do tamtego dnia, przypominając sobie Stellę Fogler krążącą nerwowo wzdłuż okien.

– No... była zdenerwowana.

– A konkretniej?

– Jakby się czegoś bała – odpowiadam powoli.

Dwaj mężczyźni nie patrzą na siebie, ale czuję, że zamieniają się w słuch.

– Coś jej się stało? – pytam.

– Po prostu opowiadaj, co się działo, Claire – mówi detektyw Durban. – Dlaczego pomyślałaś, że się boi?

Opowiadam im o Stelli, a potem o tym, jak poznałam jej męża w barze. Gdy docieram do chwili, w której Patrick dał mi tomik poezji i opuścił bar, detektyw Durban wchodzi mi w słowo.

– Myślisz, że wyczuł, co się dzieje?

– Nie wydaje mi się to możliwe.

– Okej. A pani Fogler? Jak zareagowała, kiedy jej powiedziałaś, jak ci poszło? Ucieszyła się? Uspokoiła?

– Niezupełnie. – Mówię, że chciała znaleźć coś na męża.

Z jakiegoś powodu teraz brzmi to bardziej złowieszczo. Ci dwaj maglują mnie w takim skupieniu, że na pewno nie wyniknie z tego nic dobrego.

– Czy Patrickowi albo Stelli coś się stało? – pytam, ale znowu nie odpowiadają.

– Czy kiedy ci płaciła, widziałaś więcej pieniędzy? Na przykład w jej torebce? – pyta Durban.

Przecząco kręcę głową.

– Ale w zwitku, który wyjęła, musiało być co najmniej tysiąc dolarów. Zapłaciła mi setkami.

– Więc wzięłaś cztery banknoty. – Durban kładzie duży nacisk na słowo „cztery”.

– Tak – potwierdzam zdziwiona. – Przecież powiedziałam. Tyle była mi winna.

– Co się stało z resztą?

– Jaką resztą?

– Nie znaleźliśmy przy jej ciele pieniędzy – mówi beznamiętnym tonem. – A tego dnia rano wypłaciła sporą kwotę. Znacznie więcej niż tysiąc dolarów.

Wpatruję się w niego.

– „Przy jej ciele”... Chce pan powiedzieć... że ona nie żyje?

– Zgadza się. – Obserwuje moją reakcję.

– O Boże – mówię wstrząśnięta. – Jak to? Co się stało?

– Traktujemy to jako zabójstwo. Na razie nic więcej nie mogę powiedzieć. – Nadal uważnie mi się przygląda. Jego twarz, która dotąd wydawała się przyjazna, wręcz dobrotliwa, stężała. – Ale mogę powiedzieć, że zginęła w tym apartamencie jakiś czas przed świtem. Tej samej nocy, kiedy ją odwiedziłaś.

– O nie – szepczę. – To okropne. Chyba nie myślicie...?

– Może dokończysz odpowiadać na nasze pytania, Claire.

Znowu pyta mnie o te wszystkie rzeczy, a potem jeszcze raz. Davies ciągle notuje.

– Co się stało z nagraniem? – pyta wreszcie Durban. – Tym z ukrytej kamery. Kto je teraz ma?

Zastanawiam się.

– Dałam je Stelli. Pani Fogler. To standardowa procedura. Przecież za nie zapłaciła.

– A tomik poezji?

– Nadal mam go w torebce. Zwykle nie czytam wierszy, ale te są naprawdę interesujące w pewien dziwny...

– Jest nam potrzebny – przerywa mi.

Wyjmuje torebkę na dowody rzeczowe, wywraca ją na lewą stronę i używa jak rękawiczki, biorąc ode mnie książkę.

– Udało ci się ustalić, co znaczą te słowa po francusku? Te, które powiedział, wychodząc z baru?

– Tak. Jestem prawie pewna, że pochodzą z wiersza *A une passante, Do przechodzącej*.

Wiersz opowiada o ujrzeniu kogoś na ulicy, wymianie spojrzeń, która jednak kończy się tym, że każde idzie w swoją stronę... W dosłownym tłumaczeniu: „O ty, którą pokochałem, o ty, która też to poczułaś”.

Durban prycha.

– Jak ładnie. Powinienem to zapamiętać. Więc wychodzisz z hotelu... i co potem?

– Spotkałam się z przyjaciółmi.

– W barze?

Przytakuję.

– W barze Harley. Mnóstwo osób może potwierdzić, że zjawiłam się tam o wpół do dziesiątej.

– A kiedy wróciłaś do domu?

– Koło siódmej rano. Bo... poznałam tam kogoś.

– Jak się nazywa?

– Ee... Tom.

– Nazwisko?

– Na pewno... mam tu gdzieś jego numer telefonu. – Grzebię w torebce i wydaję świstek papieru. – Tak. To on.

Detektyw Durban bierze ode mnie karteczkę i wpatruje się w nią.

– Jak dla mnie to wygląda jak „i”. Tim, nie Tom. Skontaktujemy się z nim.

– Co zrobiłaś z pieniędzmi, Claire? – pyta detektyw Davies. To pierwsze zdanie, które wypowiada.

– Z tymi czterystoma dolarami? Dałam je współlokatorce. Zalegam z czynszem, więc...

– Nie chodzi mi o czterysta dolarów – przerywa mi w pół słowa. – Mówię o dwudziestu tysiącach, które ukradłaś z pokoju hotelowego Stelli Fogler.

Wpatruję się w niego i kręci mi się w głowie.

– Co? Nie... Chyba nie myślicie, że...?

– Po prostu odpowiedz na pytanie – mówi Durban.

– Nie było żadnych pieniędzy... nie aż tyle. W każdym razie ja ich nie widziałam. Jestem podejrzana?

– Podejrzana? – Davies prycha. – Przyznałaś się już do nagrywania bez zezwolenia, pracy w charakterze śledczego bez licencji, nagabywania mężczyzn i współudziału w szantażu. Musimy tylko dorzucić kradzież, morderstwo i po robocie.

– Morderstwo?

– Henry North twierdzi, że tamtego wieczoru pokłóciłaś się z panią Fogler.

– Już mówiłam... to ona dziwnie się zachowywała...

– Więc wyszłaś, porozmyślałaś o jej nieuprzejmości... – ciągnie Davies – a potem wróciłaś do jej apartamentu, w którym przypadkiem przechowywała akurat dużą ilość gotówki. Henry North powiedział nam o twoich kłopotach finansowych. Na pewno cię zirytowało, że taka kobieta ma tyle forsy.

Zdumiona kręcę głową.

– Już wam mówiłam, wróciłam tam tylko po to, żeby oddać tomik. Poza tym słuchajcie, Henry zaręczał, że wszystko, co robię dla tej kancelarii, jest legalne. „Pod warunkiem, że nagrywasz ich w miejscu publicznym”. Tak powiedział. A skoro to oni robią pierwszy krok, to wcale ich nie nagabuję. – Nagle uderza mnie pewna myśl. – Jego też przesłuchaliście?

– Oczywiście. I bardzo starannie sprawdzimy jego relację. Twoją też. I tego Tima.

– Claire, czy zabiłaś Stellę Fogler? – pyta rzeczowo detektyw Durban, jakby pytał, czy słodzę kawę.

Patrzę mu prosto w oczy, ignorując łomotanie w klatce piersiowej.

– Nie. Nie zabiłam jej.

Zapada pełna napięcia cisza.

– Detektywie, możemy porozmawiać na korytarzu? – odzywa się Durban.

Wychodzą. Zza drzwi dobiegają ich stłumione głosy. Potem Durban wraca sam.

– Będę potrzebował danych co najmniej trzech osób, które mogą potwierdzić, że o wpół do dziesiątej przyszedłeś do baru – mówi. – Potem możesz iść.

Gapię się na niego i czuję taką ulgę, że aż kręci mi się w głowie.

– Więc jednak nie myślicie, że ja to zrobiłam?

– Dokładnie sprawdzimy wszystko, co nam powiedziałaś. Jeśli mówiłaś prawdę, powinniśmy dość szybko wyeliminować cię ze śledztwa. Ale nie wyjeżdżaj z miasta bez naszej wiedzy. I dobrze ci radzę, nie przyjmuj więcej zleceń od tej kancelarii prawnej. To dochodzenie w sprawie morderstwa, Claire, nie kontrola z urzędu imigracyjnego, ale jeśli się dowiemy, że znowu naruszyłaś warunki wizowe, bez wahania przekażę tę informację właściwym organom.

Po tych słowach zaczyna zbierać dokumenty, układając je w stosiki. Uświadamiam sobie, że to wszystko było spektaklem: klasycznym maglowaniem przez dobrego i złego glinę w celu zaszczeplenia mi bojaźni bożej.

I podziałało. Nadal się trzęsę. Gdybym naprawdę zrobiła coś złego, przyznałabym się tym dwóm w okamgnieniu. Mieszanina pewności siebie, przyjacielskości i agresji w kilka chwil zmieniła mnie w wystraszonego wraka.

Ale nawet teraz, gdy już czuję ulgę, zastanawiam się, jak mogłabym to wykorzystać.

Kiedy wracam do domu, Jess w turbanie z ręcznika na głowie skacze po kanałach, przeglądając jednocześnie Facebooka i malując paznokcie u nóg jasnoniebieskim lakierem.

– Udany dzień? – pyta, nie podnosząc głowy.

– Niezupełnie.

Opowiadam jej o policji, o zamordowanej klientce. Już po chwili patrzy na mnie z otwartymi ustami.

– Czuję się okropnie – podsumowuję. – Wygląda na to, że pomijając pracowników hotelu, byliśmy z Henrym ostatnimi osobami, które widziały Stellę Fogler żywą.

– Czy policjanci powiedzieli ci, jak umarła?

Kręcę głową.

– Byli dość oględni. Ale sądząc po pytaniach, jakie mi zadawali, wygląda to na jakiś napad rabunkowy. Prawdopodobnie będę musiała zeznawać w sądzie.

Przez chwilę w mojej głowie rozgrywa się spontanicznie scena:

SALA SĄDOWA W NOWYM JORKU, W CIĄGU DNIA

CLAIRE WRIGHT zajmuje miejsce dla świadka. Jest ubrana jak Vera Miles w *Niewłaściwym człowieku*. Opanowana, wyniosła, ale wyraźnie zdenerwowana.

PROKURATOR

Dziękujemy za przybycie, panno Wright. Pani zeznania będą kluczowe dla wyniku tego procesu...

– Powiedziałaś „Fogler”? – przerywa mi Jess.

– Tak. A co?

– Mówili coś w wiadomościach... – Przełącza program pilotem, którym następnie wskazuje telewizor. – Patrz.

Na ekranie Patrick Fogler o przystojnej twarzy, poszarzałej teraz ze zmęczenia, stoi przed jakimś apartamentowcem i mówi do całej baterii mikrofonów. Jego oblicze rozświetlają stroboskopowe błyski fleszów.

– To on – mówię. – Zrób głośniejsze.

Gdy Jess podgłusnia, słyszymy jego słowa:

– ...wdzięczny za wszelką pomoc, jakąkolwiek pomoc, która mogłaby wesprzeć nowojorską policję.

Milknie, a flesze zaczynają błyskać ze zdwojoną siłą.

– Jak układało się panu z żoną?! – krzyczy ktoś z tyłu.

– Zasadzka dziennikarska – mówi znacząco Jess. – Wiesz, co to oznacza, prawda?

– Że rozmawia z dziennikarzami?

– Nie, matole. Policja myśli, że to on jest sprawcą. – Wzdycha, widząc, że nic z tego nie rozumiem. – Jeśli policja wie, kto to zrobił, ale adwokat uniemożliwia jej zadawanie najtrudniejszych pytań, gliny dają cynk dziennikarzom, żeby ci zadali te pytania zamiast nich. Następnym razem zobaczysz go w kajdankach.

Wracam myślami do spotkania ze Stellą, do jej dziwnych słów.

STELLA

Będzie pani ostrożna, prawda? Niech mi pani obieca, że będzie pani ostrożna.

JA

Może opowie mi pani o swoim mężu?

STELLA

Jest inny niż wszyscy mężczyźni, jakich kiedykolwiek pani znała. Mówię poważnie. Niech pani nie spuszcza go z oka. Niech mu pani nie ufa. Obiecuje pani?

Myślałam, że jej mąż jest jakimś obmacywaczem. Oczywiście zanim go poznałam – nikt nie mógłby mniej przypominać obmacywacza niż Patrick Fogler. Ale czy naprawdę miała na myśli coś zupełnie innego?

Czy bała się jego? Czy właśnie tak zinterpretował to detektyw Durban, kiedy opisałam mu tę scenę?

Znowu patrzę na telewizor, na Patricka Foglera – tak spokojnego, tak inteligentnego, tak sympatycznego – i dochodzę do wniosku, że to zupełnie niemożliwe.

– To nie on – mówię, kręcąc głową. – Nie wierzę, że to on. Pamiętajmy, że on jeden mnie nie podrywał. To naprawdę miły, atrakcyjny, wierny facet.

– Nie chrzań – odpowiada lekko Jess, wycierając włosy ręcznikiem. – Tacy faceci nie istnieją. Przecież sama ciągle to powtarzasz.

Sprawa morderstwa trafia na pierwsze strony gazet. Podchwytyją ją blogerzy i komentatorzy, a każdy z nich ma inną teorię na temat tego, co się wydarzyło. Pierwsza hipoteza dotyczy napadu rabunkowego, podczas którego coś poszło nie tak. Kilka lat temu pewna uzbrojona banda napadała na eleganckie apartamenty w śródmiejskich hotelach i trzymała gości na muszce. Ale wszyscy członkowie tamtego gangu siedzą teraz w więzieniu i od tamtej pory w hotelach na Manhattanie nie było żadnych napadów z bronią w ręku. Mimo to w mediach społecznościowych huczy od domysłów, co to może oznaczać dla branży turystycznej. Gościom doradza się, by przed otwarciem drzwi zamykali je na łańcuszek.

Bardzo szybko uwaga skupia się na samej Stelli. Co kobieta, która mieszkała na drugim końcu Manhattanu, w Morningside Heights, robiła w hotelu położonym tak blisko jej domu? Są dwie teorie: jedna, że pokłóciła się z mężem, a druga, że czekała na kochanka. Poza tym krążą pogłoski, że z jej apartamentu skradziono olbrzymią kwotę w gotówce. Policja nie potwierdza ani nie zaprzecza.

Pokojówka, która znalazła zwłoki, Consuela Alvarez, powiedziała dziennikarzowi, że pokój wyglądał, jakby doszło w nim do jakiejś szamotaniny. Dodała, że ciało Stelli leżało na łóżku, naciągnięto na nie kołdrę. Consuela płakała, opisując głowę „roztrzaskaną... okropnie... mnóstwo krwi”.

Kamery hotelowe najwyraźniej nie zarejestrowały niczego interesującego.

Powoli te dwie teorie zaczynają się łączyć w jedną. Stella czekała na kochanka i chciała odejść od męża. Wniosek: właśnie dlatego ją zabił.

Oczywiście wiem, że to nie może być prawda. Stella zameldowała się w hotelu tylko po to, żeby mogła sprowokować Patricka. I bez względu na to, jakie mieli problemy w małżeństwie, Patrick nie był gotowy zdradzić żony, co sugeruje, że przynajmniej on wierzył w możliwość rozwiązania tych problemów. Ale policja też o tym wie. Cały czas czekam, aż utnie spekulacje, opowiadając dziennikarzom o mnie, ale z jakiegoś powodu tego nie robi. I nie zgłasza się do mnie z kolejnymi pytaniami.

Mówię kilkorgu przyjaciółom, że tamtego wieczoru widziałam się ze Stellą Fogler – ale tylko kilkorgu. Ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba, jest to, żeby moja dorywcza działalność została obsmarowana na czyimś blogu. W każdym razie nie jestem w stanie zaspokoić ciekawości przyjaciół makabrycznymi szczegółami, bo ich nie znam. Wiem równie mało, jak inni.

Przez dwa tygodnie nie mam żadnych wiadomości od policji, więc dzwonię do Henry’ego.

– Claire – odzywa się głos w słuchawce. To raczej stwierdzenie niż pytanie. Jakby był zaskoczony, że się odezwałam.

– Możemy się spotkać? Chciałabym cię o coś spytać.

– Dobrze – mówi po chwili milczenia. – Ale nie w biurze. – Wymienia nazwę hotelu, w którym wykonywaliśmy parę zleceń.

Gdy tam docieram, Henry już siedzi przy barze – na samym końcu, żeby barman nie słyszał, co mówimy. Dosiadam się do niego.

– Pomyślałam, że coś obilo ci się o uszy – mówię. – W związku z dochodzeniem – uściślam.

– Wiem tylko tyle, że niczego nie ustalili. – Wzrusza ramionami. – Ale już nie uważają, że to był napad na tle rabunkowym. Ponoć pewne szczegóły wskazują na męża.

– Jakie szczegóły? – pytam, zdziwiona, że Jess mogła mieć rację.
– Nie mówią. To standardowe działanie. Dzięki temu w razie potrzeby mogą ich użyć bez ostrzeżenia podczas przesłuchania. Ale często pada słowo „brutalność”. – Patrzy na mnie z ukosa. – Bardzo cię wymęczyli?

Kiwam głową.

– A ciebie?

– Nie robili niczego, czego sam nie robiłem kiedyś innym. Po prostu wykonywali swoją robotę.

– Henry... Jest szansa, żebym jeszcze dla ciebie popracowała? Jestem coraz bardziej zdesperowana.

– Nie da rady – mówi. – Kancelaria miała szczęście, że nie dowalili jej grzywny za zatrudnianie pracownika bez papierów. Gdyby nie to, że jestem byłym gliniarzem, nie wiem, czy potraktowaliby nas tak łagodnie. – Waha się. – Szczerze mówiąc, Claire, i tak mieliśmy cię zwolnić.

– Dlatego, że nie mam papierów?

Kręci głową.

– Wpłynęła skarga. Od prawnika. Faceta o imieniu Rick. Pamiętasz go?

Pamiętam. „W Seattle można za to dostać całkiem sporo”. Gdy pokazałam nagranie jego żonie, w jej oczach pełnych łez błysnęła złość.

– Dwa dni po zleceniu złożył u nas pisemne oświadczenie – mówi Henry. – Twierdził, że po spotkaniu w barze poszłaś z nim do pokoju hotelowego, uprawialiście seks, wzięłaś tysiąc dolarów, które wcześniej wynegocjowałaś, i dopiero potem wydałaś go żonie. Co oczywiście byłoby przestępstwem, w którym kancelaria byłaby twoim współnikiem. A poza tym zarejestrowane przez ciebie nagranie nie zostałoby dopuszczone jako dowód w sprawie rozwodowej.

– On kłamie – mówię z wściekłością. – Po prostu obejrzyj nagranie.

– Obejrzelśmy je – odpowiada spokojnie. – Kończy się w chwili, gdy mówisz, żeby poszedł do pokoju, i obiecujesz, że zaraz do niego dołączysz. Potem wyłączyłaś kamerę. Rick przedstawił przebieg całego zdarzenia minuta po minucie, Claire, a do tego przedłożył rachunki z baru i zapis z karty magnetycznej otwierającej drzwi. Spędziłaś w tym hotelu jakieś dwie godziny, prawda? Dość czasu, żeby jego historyjka brzmiała wiarygodnie.

– Nagranie się kończy, bo miałam już to, czego potrzebowaliśmy – przekonuję. – A trwało to dwie godziny, dlatego że przez pierwszą czekałam, aż wstanie od stolika. Jezu, Henry, co to ma być? Przecież wiesz, że właśnie tak pracowałam.

– Wiem, że lubiłaś wchodzić w rolę. Nigdy nie zadawałem zbyt wielu pytań. Wystarczyło mi, że mamy to, czego potrzebujemy.

– Nigdy czegoś takiego nie robiłam – mówię beznamiętnie. – Na litość boską, ten facet był obleśną gnidą. I w dodatku prawnikiem. Dobrze wiedział, co powiedzieć, żeby jego żona nie mogła wykorzystać tego nagrania w sądzie.

– Claire, nie twierdź, że zrobiłaś to, co powiedział. Mówię tylko, że trudno byłoby nam podważyć jego słowa. A wszystko, co zrobiłabyś dla nas później, byłoby wątpliwe jako materiał dowodowy. Dlatego kierownictwo kazało mi poszukać kogoś innego. Gdyby nie to, że zadzwoniłaś i powiedziałaś, że potrzebujesz forsy na czynsz, nigdy nie pozwoliłbym ci wziąć zlecenia od Stelli Fogler. To była ostatnia robota, przez wzgląd na dawne czasy.

Było to tak niesprawiedliwe, że miałam ochotę się rozplakać.

– Okej. Więc nie mogę pracować dla twojej kancelarii. Ale musi być jakiś inny sposób...

Henry kręci głową.

– Nawet o tym nie myśl. Słuchaj, świetna z ciebie dziewczyna i fajnie mi się z tobą pracowało. Naprawdę mam nadzieję, że nasze drogi się jeszcze skrzyżują. Ale to przedstawienie dobiegło już końca. – Macha do barmana. – Ja stawiam, okej?

Mija trochę czasu. Trzy miesiące, może więcej.

Przez pewien okres morderstwo w hotelu Lexington pozostaje sensacją, o której rozprawiają blogerzy, spekulują klienci barów i pracownicy biur. Potem jakaś gwiazda oper mydlanych zostaje sfotografowana w klubie swingersów, zamykają tunel Lincolna z powodu remontu, a prezydent wysyła więcej amerykańskich oddziałów na Bliski Wschód.

Życie toczy się dalej.

Tata Jess odpuszcza mi trochę w sprawie czynszu. Ale po utracie zleceń od kancelarii prawnej i tak muszę robić rzeczy, których obiecywałam sobie nigdy nie robić. Rzeczy, o których nie lubię myśleć i o których nikt inny nie wie.

Wszystko, byleby dalej grać.

Część II

Pomieszczenie jest skąpane w słońcu. Leżymy na podłodze, wpatrując się w sufit. Jest nas ośmioro, tworzymy rozgwiadę, prawie stykając się głowami.

– To bardzo stara gra improwizacyjna – rozbrzmiewa głos Paula po mojej lewej stronie. – Nazywa się „Historia opowiada się sama”. Będziemy wybijali rytm na podłodze. I z każdym uderzeniem kolejna osoba będzie dodawała słowo do historii.

– O czym ma być ta historia? – pyta ktoś.

– Nie wiem. Właśnie o to chodzi. Nikt tego nie wie. Ta historia już istnieje. Musimy ją tylko wydobyć.

Ostatnio ćwiczenia są coraz trudniejsze. Paul każe nam całymi dniami nazywać rzeczy niewłaściwymi nazwami, żebyśmy zobaczyli, jakie to uczucie. Każe nam improwizować, wcielając się w coraz bardziej szalone postacie – sprzedawcę z walizką pełną swetrów z żyrafiej wełny, żołnierza uzbrojonego w niewidzialny karabin maszynowy – a potem, gdy wciąż jeszcze jesteśmy w roli, wysyła nas na ulicę, żebyśmy zaczepiali przechodniów. Ku mojemu zdziwieniu, większość przechodniów słucha z zainteresowaniem. Albo idzie mi coraz lepiej, albo w czasie upałów nowojorczykom bardziej odbija.

Przy każdym nowym ćwiczeniu Paul powtarza nam jedną i jedyną zasadę. „Aktorstwo to nie udawanie. Wskazówka tkwi w samym słowie. Aktorstwo to działanie. Bycie. Stawianie się”.

– Zaczynamy – mówi teraz, uderzając dłonią w podłogę.

Powolny, równy rytm. Wszyscy go podchwytyjemy.

– Dawno – intonuje.

– Dawno – dodaje student po jego lewej stronie, lekko wypadając z rytmu.

– Temu.

– Była.

– Sobie.

Nagle przychodzi moja kolej. *Nie myśl, graj*. Choć prawdę mówiąc, nie ma czasu ani na jedno, ani na drugie, bo rytm zmusza mnie do powiedzenia pierwszego słowa, które przychodzi mi do głowy.

– Królowna.

Historia rozwija się, nabierając rozpędu z każdym kolejnym cyklem. Bajka o księciu, który zakochuje się w rzeźbie w swoim ogrodzie.

Za drugim razem Paul podnosi poprzeczkę. Jeśli się zawahasz, odpadasz. A rytm z każdym cyklem przyspiesza. Chodzi o to, żeby nauczyć się reagować instynktownie w danej chwili, wyjaśnia Paul.

Tym razem nie zaczyna od czegoś tak oczywistego jak „dawno”.

Wylania się dziwna, barwna historia, mroczna fantazja o dziewczynce mieszkającej na cmentarzu wśród kruków i wron.

Kolejne osoby zacinają się, wstają.

Wszystkie oprócz mnie.

I w końcu zostajemy tylko we dwoje, ja i Paul, leżymy pod kątem prostym względem siebie niczym dwie wskazówki zegara, uderzając dłońmi w parkiet w metrum trójdzielnym, a słowa płyną tak gęsto i szybko, jakbyśmy znali je na pamięć.

Jestem opętana, upojona, urzeczona. Jakbym zmieniła się w rzeczniczkę innej osobowości. Jakbym gościła w sobie jakiegoś ducha wudu. Prawdziwa ja została zmieciona,

unicestwiona przez siłę potężniejszą od orgazmu.

Już rozumiem. Nie myśleć.

W końcu Paul przestaje mówić, a ja leżę przez kilka sekund, odzyskując zmysły, delektując się tą chwilą.

Grupa stoi w milczeniu, patrząc na mnie. Zazwyczaj po udanym ćwiczeniu bijemy brawo. Podnoszę głowę, żeby się rozejrzeć.

Obok nich stoi ten gliniarz, detektyw Durban.

– Panno Wright – mówi – Claire. Możemy porozmawiać?

Prowadzę go do stolówki. Otaczają nas tam studenci siedzący parami albo trójkami, rozmawiający albo pracujący na laptopach.

Jest za gorąco na kawę. Detektyw Durban kupuje dwie dietetyczne cole z automatu.

– Ameryka – mrużę zabawnym jankeskim głosem, gdy podaje mi puszkę. – Kraina zera kalorii.

Nie uśmiecha się. Zauważam, że wygląda na bardzo zmęczonego.

– Claire, chciałbym, żebyś nam pomogła – mówi szorstko.

– Oczywiście. Zrobię, co pan zechce. Jeśli będę w stanie. O co chodzi?

– Znowu analizujemy szczegóły tamtego morderstwa. Sprawdzamy zeznania, zastanawiamy się, czy coś nam wtedy nie umknęło.

– Nikogo nie aresztowaliście, prawda? Czytałam w internecie.

Durban marszczy brwi.

– Wyeliminowaliśmy z kręgu podejrzeń wiele osób. Między innymi wszystkich stu dwudziestu sześciu gości, którzy tamtej nocy przebywali w hotelu Lexington. Nie leżeliśmy brzuchami do góry.

– Przepraszam, nie to miałam na myśli...

– Ale większość naszych działań skupiała się na jednej osobie – dodaje.

– Na mężu – mówię. – Na Patricku.

Nie odpowiada.

– Pamiętasz jeszcze swoją rozmowę z panią Fogler?

– Oczywiście.

– Poprosiliśmy kogoś, żeby przyjrzał się tej sprawie. Profilerkę. Chciałbym, żebyś z nią porozmawiała.

– Jasne, skoro pan myśli, że to coś da... Kiedy?

– Najlepiej teraz.

Spoglądam w stronę sali prób.

– Jestem na zajęciach.

– Claire, to ważne – mówi ostrzejszym tonem.

– Po prostu... nie rozumiem, jak mogłabym wam pomóc. Rozmawiałam z Patrickiem Foglerem tylko kilka minut. Nie był mną zainteresowany.

Durban kiwa głową.

– Możliwe. Ale dlaczego wyszedł?

– Co ma pan na myśli?

– Mówiłaś, że kiedy próbowałaś go poderwać, zachowywał się tak, jakby chciał jak najszybciej wyjść z baru. Właśnie to nie daje mi spokoju. Skoro miał tylko wrócić do domu i myślał, że jego żona wyjechała z miasta, dlaczego tak się spieszył? Po co przerywać rozmowę z sympatyczną młodą kobietą gotową dyskutować o francuskiej poezji, jakby te pierdoły naprawdę ją interesowały?

– Może go znudziłam.

– To jedna z możliwości.

– Jest jakaś inna?

Nie odpowiada wprost. Uświadamiam sobie, że w przypadku tego człowieka informacje przepływają tylko w jedną stronę.

– W każdym razie chciałbym, żebyś porozmawiała z tą profilerką. – Pochyliła się nad stolikiem. – Słuchaj, jakoś nie miałem czasu donieść na ciebie kumplom z imigracyjnego. Ale jeszcze nie jest za późno.

– W takim razie wygląda na to, że nie mam wielkiego wyboru – odpowiadam z cierpkim uśmiechem.

– Tak – przyznaje. – Raczej nie masz.

Wsiadamy do żółtej taksówki. Durban podaje adres w Union City. Kierowca wyłączył klimatyzację, żeby zaoszczędzić na paliwie. To pierwszy naprawdę gorący dzień maja, pocimy się na winylowych siedzeniach. Spódnica podjeżdża mi do góry i parę razy zauważam, jak detektyw Durban zerka na moje gołe nogi, a potem odwraca głowę i patrzy przez szybę.

Taksówka zatrzymuje się przed brzydkim, nijakim budynkiem w kwartale pełnym brzydkich biurowców i pustych parkingów. Okien nie myto od dziesięcioleci, a ze ścian złazi farba.

Ochroniarz w recepcji prosi mnie o podpis w książce meldunkowej. Gdy potem idziemy długim, dusznym korytarzem, nie widzę żywego ducha. Wreszcie detektyw Durban puka do drzwi. Na tabliczce widnieje napis: „APARTAMENT 508. DR KATHRYN LATHAM, LICENCJONOWANY PSYCHOLOG SĄDOWY”.

– Proszę wejść – odzywa się kobiecy głos.

W środku jakaś kobieta siedzi przy tanim drewnianym biurku i pracuje na laptopie. Wygląda na sześćdziesiąt lat, może więcej. Ma tak siwe włosy, że wydaje się prawie blondynką. Są obcięte na krótko, a ona jest ubrana szykowniej, niż się spodziewałam, sądząc po tym otoczeniu.

Podnosi głowę i spogląda na mnie niebieskimi przenikliwymi oczami.

– Claire Wright, zgadza się?

– Claire, doktor Latham – przedstawia nas sobie Durban.

– Mów mi „Kathryn”. Usiądź. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że bym nagrywała tę rozmowę?

Kiwa głową w stronę jednej ze ścian i dopiero teraz zauważam ciemne odbijające lustro. Coś w rodzaju lustra weneckiego. Za nim dostrzegam czerwone światło włączonej kamery. Odruchowo prostuję ramiona, jakbym była na castingu, ale po chwili uświadamiam sobie, jakie to głupie.

– W takim razie – zaczyna doktor Latham – opowiedz mi o swoim spotkaniu z Patrickiem Foglerem.

Mówię jej wszystko, co jestem w stanie sobie przypomnieć, podkreślając, że Patrick cały czas zachowywał się nienagannie. Nie trwa to długo. Doktor Latham słucha z przechyloną głową, skupiając na mnie niebieskie oczy i nie odzywając się. Gdy kończę, kiwa głową.

– Dziękuję, Claire. Bardzo nam pomogłaś.

– To wszystko? – pytam zdziwiona.

– Jasne. Możesz już iść.

– Kathryn... – protestuje detektyw Durban, jakby nie to miał nadzieję usłyszeć.

– Frank, ona się do tego nie nadaje – stwierdza kategorycznie Kathryn Latham.

Marszczę brwi.

– Do czego się nie nadaje?

– Claire, mogłabyś nas na chwilę zostawić? – pyta Durban. – Zaczekaj na korytarzu.

Wychodzę i zamykam za sobą drzwi. Słyszę stłumione głosy, ale nawet gdy przykładam ucho do drewna, nie jestem w stanie rozróżnić słów.

Sąsiednie drzwi na pewno prowadzą do pomieszczenia znajdującego się za lustrem weneckim. Otwieram je ostrożnie, w razie gdyby ktoś tam był. Jestem gotowa powiedzieć, że po prostu szukałam toalety, ale w środku jest tylko monitor i mała kamera na trójnogu. Dźwięk jest włączony, słyszę ich doskonale.

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

...na zajęciach. Jest dobra. Umie grać.

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

One wszystkie grają, Frank. Nazywamy je MAC: Modelki, Aktorki i Cotamjeszcze. Ale to nie znaczy, że da radę zrobić coś takiego.

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

Ona studiuje na Pace – w Actors Studio. Słyszałem, że są dość wybredni. Poza tym jest... atrakcyjna.

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

(z naciskiem)

Doprawdy, Frank?

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

Jasne, mamy policjantki, które robią takie rzeczy. Nie chciałbym koleżanek urazić, ale widziałaś, jak one wyglądają? Myślę, że Claire miałyby większe szanse przebić się przez jego system obrony.

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

Ostatnim razem jej się nie udało.

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

Dał jej książkę. Sama powiedziałaś, że jak na niego to poufały gest.

Na chwilę zapada cisza, Kathryn Latham się zastanawia. Gdy odzywa się ponownie, brzmi odrobinę mniej stanowczo.

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

Mimo wszystko nie da się przeskoczyć tego, że jest osobą cywilną. Chodzi o bezpieczeństwo.

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

Jeśli coś się stanie, będziemy w pobliżu. A jej wielką zaletą jest to, że nie figuruje w żadnych rejestrach. Nie ma konta w banku ani numeru ubezpieczenia, który Fogler mógłby sprawdzić. Może być, kimkolwiek chcemy, żeby była.

Usłyszałam wystarczająco dużo. Wycofuję się na korytarz i bez pukania wchodzę do gabinetu doktor Latham.

– Zrobię to – mówię. – Cokolwiek to ma być. Ale musicie mi zapłacić.

To niezłe wejście, ale Kathryn Latham wydaje się nieporuszona.

– Masz pojęcie, o czym tu rozmawiamy?

Wzruszam ramionami.

– Co nieco usłyszałam.

– Nic się nie stanie, jeśli jej powiemy – wtrąca cicho detektyw Durban.

Doktor Latham przygląda mi się przez chwilę, nie mrugając.

– No więc dobrze. Podejrzewamy kogoś o zamordowanie Stelli Fogler...

– Jej męża.

– Proszę, nie przerywaj mi. Podejrzewamy kogoś. To osoba bardzo inteligentna, bardzo zdyscyplinowana. Nie da się jej sprowokować ani podejść, żeby się ujawniła. Zasugerowano, że skoro zawiodły inne metody, skuteczna mogłaby się okazać tajna operacja.

– Masz na myśli... policyjną prowokację?

– Nie taką, jaką sobie wyobrazasz. – Doktor Latham mówi to z miażdżącą pogardą. – To byłaby wysoce wyrafinowana operacja poprzedzona analizą psychologiczną. Skłoniłaby podejrzanego do ujawnienia różnych aspektów osobowości, które następnie porównalibyśmy ze stworzonym przeze mnie profilem mordercy Stelli Fogler. Jeśli zaobserwujemy zgodność... No cóż, będzie to mocna przesłanka, że podejrzany i morderca to jedna i ta sama osoba.

– Czy to byłoby niebezpieczne?

– Oczywiście.

– Nosiłabyś podsłuch – wtrąca uspokajająco Durban. – Nasi ludzie czekali by w pogotowiu, żeby w razie czego przyjść ci z pomocą.

– Ile byście mi zapłacili, gdybym zgodziła się to zrobić?

– Osoba pełniąca funkcję przynęty powinna mieć satysfakcję płynącą z poczucia dobrze spełnionego obowiązku obywatelskiego – odpowiada doktor Latham lodowatym tonem. – Claire, zginęła kobieta.

– Chyba moglibyśmy zapłacić – dorzuca Durban.

– Chcę zieloną kartę – mówię powoli. – Pełną stawkę i zieloną kartę.

Durban kręci głową.

– To niemożliwe.

– Sam pan mówił, że ma pan kumpli w urzędzie imigracyjnym...

– Nie będzie żadnej zielonej karty – wchodzi mi w słowo doktor Latham – dlatego, że nie będzie żadnej operacji. Nie zrobisz tego.

Obydwoje wbijamy w nią wzrok.

– Przynajmniej dopóki ja o tym nie zadecyduję – dodaje.

Podpisuję jakieś formularze, a potem doktor Latham poddaje mnie całemu zestawowi testów psychologicznych. Wechsler. MMPI. Skala obserwacyjna skłonności psychopatycznych Hare'a. Każe mi trzymać w dłoniach elektrody, podczas gdy sama wyświetla na ekranie obrazy. Psy, niemowleta, chmury, a potem nagle nóż, pornografia, znowu chmury.

Ale przede wszystkim rozmawiamy.

– Dlaczego Nowy Jork, Claire?

Wzruszam ramionami.

– A dlaczego nie?

Doktor Latham mierzy mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Z tego, co zrozumiałam, wychowałaś się w rodzinie zastępczej?

– Zgadza się – mówię, zastanawiając się, skąd ona o tym, do diabła, wie.

– Dobrze dogadywałaś się z rodziną zastępczą?

– Z rodzinami zastępczymi. Liczba mnoga. Nie chciano, żebyśmy się za bardzo zadomowili. A odpowiadając na twoje pytanie, nie. Nie za dobrze.

Czeka, aż powiem coś więcej.

– Weźmy na przykład tę, w której byłam najdłużej – mówię w końcu. – U Julie i Gary'ego. Julie była menedżerką w służbie zdrowia. Gary pracował w marketingu. Z pozoru byli szczęśliwą rodziną... przynajmniej wtedy, gdy w pobliżu znajdował się ktoś z opieki społecznej. Kiedy miałam jakieś jedenaście lat, zdałam sobie sprawę, że tych dwoje tak naprawdę za sobą nie przepada. Ale nie mieli wyjścia. Gdyby się rozwiedli, nie mogliby dłużej prowadzić interesów na boku, czyli być rodziną zastępczą. Dziesięć tysięcy funtów na dziecko rocznie, forsa zwolniona z podatku. No więc brnęli dalej, udając, że wszystko jest w porządku. – Milknę.

– Mów dalej – poleca cicho doktor Latham.

– Mniej więcej rok później po raz pierwszy zauważyłam, że Gary zaczął na mnie patrzeć w inny sposób. Jeśli na niego wpadłam, wychodząc z łazienki, uśmiechał się do mnie, jakbyśmy mieli jakiś wspólny sekret. Raz skaleczyłam się w nogę i pamiętam, jak przesuwał po niej dłoń, żeby sprawdzić, czy rana jest poważna. A potem czasami głaskał mnie po plecach... Początkowo to mi się podobało. Lepsze to niż ciągle ignorowanie, prawda? Wreszcie miałam coś, dzięki czemu zwracał na mnie uwagę, coś, czego brakowało jego żonie. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, co to takiego. W zasadzie nigdy niczego nie zrobił. W każdym razie niczego poważnego. Poobmacywał mnie tylko kilka razy, kiedy popełniłam błąd i zostałam z nim sam na sam. Nie zdziwiłam się, kiedy Julie w końcu wyrzuciła go z domu, a potem wyjechał z jakąś kobietą, z którą wcześniej pracował.

Doktor Latham kiwa głową.

– A ta praca w charakterze przynęty, którą wykonywałaś dla kancelarii prawnej?

– Co chciałybyś wiedzieć?

– Jak się w niej czułaś? – pyta i od razu widać, że to dla niej ważne pytanie.

Wzruszam ramionami.

– To była główniana robota, dzięki której mogłam opłacić czynsz.

– Tylko tyle, Claire?

– Słuchaj – mówię, rozdrażniona jej nieustępliwością – te kobiety uważały, że skoro ich mężowie dają się poderwać komuś takiemu jak ja, to nie są godni być ich mężami. Ale prawda wygląda tak, że niemal każdy facet spróbowałby skorzystać z takiej sytuacji. Oni po prostu już

tacy są.

– To dość cyniczne podejście. Może te kobiety chciały móc ufać swoim partnerom.

– W takim razie same powinny spróbować im zaufać. A nie wystawiać swój związek na niszczycielskie próby. – Kręcę głową. – Mężczyźni myślą fiutami. Pora się z tym pogodzić.

– Wszyscy mężczyźni, Claire? – pyta cicho doktor Latham. – Czy tylko tacy jak twój ojciec zastępczy?

Wpatruję się w nią. W końcu zrozumiałam, do czego zmierza.

JA

Ta praca w charakterze przynęty... Odgrywam historię swojego dzieciństwa, prawda?

Czuję, jak do oczu napływają mi łzy.

JA

Rozbijam cudze rodziny, bo moja rodzina została rozbita. Karzę tych mężczyzn, bo w dzieciństwie nie miałam nikogo. Żadnego ojca, który by mnie kochał. Tylko jakiegoś obleśnego zbrojnego lubiącego sobie pomacać.

Po moim policzku spływa łza. Wycieram ją.

Kathryn Latham podnosi ręce i ku mojemu zaskoczeniu, zaczyna bić brawo. Powoli i sardonicznie.

– Bardzo dobrze, Claire. Jasne, to tylko freudowskie głupoty. Ale jestem pod wrażeniem tego, jak twórczo podchwyciłaś moją sugestię. Łzy też były niezłe.

Rzuca mi pudełko chusteczek i odhacza coś w notesie.

– No dobrze. Przejdźmy do twojego życia erotycznego. Domyślam się, że zajmie nam to trochę czasu.

Potem w końcu znowu spotykamy się z detektywem Durbanem, który wyczekująco patrzy na doktor Latham.

– No cóż – zaczyna pani doktor rzeczowym tonem – brak jej pewności siebie, jest impulsywna, delikatna, nie panuje nad swoimi emocjami, nie radzi sobie z odrzuceniem i choć bardzo stara się to ukryć, pragnie akceptacji jak ćpun działki. Cóż mogę dodać, Frank? To aktorka. Poza tym jest bystra, spostrzegawcza, utalentowana i odważna. Poniekąd wbrew temu, co podpowiada mi rozum, myślę, że chyba jednak warto spróbować.

Doktor Latham prowadzi mnie do sali konferencyjnej w tym samym budynku, zagraconej odłączonymi kablami pozostawionymi przez poprzedniego właściciela.

– Dwanaście lat temu przesłuchano Patricka Foglera w związku z zaginięciem prostytutki Constance Jones. – Doktor Latham pokazuje mi na ekranie projekcyjnym zdjęcie młodej czarnoskórej kobiety, która wyzywająco spogląda w obiektyw.

Uświadamiam sobie, że to zdjęcie z kartoteki policyjnej.

– Widziano ją, jak wsiada do samochodu podobnego do samochodu Foglera. Świadek nie zanotował jednak numerów rejestracyjnych, a specjaliści od medycyny sądowej nie znaleźli żadnych śladów. Constance nigdy nie odnaleziono. Patrick zapewniał, że jest niewinny, i nigdy nie postawiono go w stan oskarżenia.

Zmienia zdjęcie. Następną fotka z kartoteki policyjnej.

– Cztery lata później znaleziono zwłoki prostytutki na terenie niezamieszkanego nieruchomości niedaleko uniwersytetu w Massachusetts, na którym wykładał Fogler. Ktoś uciął jej głowę. Głowa i ciało leżały osobno. Ponownie nie znaleziono żadnego konkretnego tropu, który wiązałby go z tą zbrodnią.

– Skoro nie było związku... – zaczynam.

Doktor Latham unosi palec.

– Poza jedną rzecz. Tak drobnym szczegółem, że nie dałoby się go wykorzystać w sądzie.

Podaje mi książkę. Natychmiast poznaję tomik, który dostałam od Patricka. *Les fleurs du mal* w przekładzie Patricka Foglera.

– Strona pięćdziesiąta szósta – mówi doktor Latham. – Mogłabyś przeczytać na głos?

Zdumiona spełniam jej prośbę.

JA

*W atmosferze cieplarni, w głębi parnej komnaty,
Skąd się groza jakowaś wylania,
Gdzie w wazonach jak w trumnach kryształowych mrą kwiaty,
Śląc ostatnie oddechy konania,
Trup bez głowy czerwonym krwi gorącym strumieniem
Na poduszki wezłowia bucha,
Niby rzeka wezbrana. Płótno pije z pragnieniem
Łąki, którą spaliła posucha.*

Gwałtownie milknę. Wiem, dlaczego poprosiła mnie o przeczytanie akurat tego wiersza. *Trup bez głowy...* Słyszę pstryknięcie i podnoszę głowę. Doktor Latham pokazuje na ekranie kolejne zdjęcia – potworne obrazy, tak groteskowe, że muszę odwrócić wzrok. Jeden z nich zdąża jednak odcisnąć się w moim umyśle. Ucięta głowa kobiety ustawiona wśród grubych kościelnych świec. W uszach nadal tkwią duże koła kolczyków. Widać zielone cienie do powiek – oczy są lekko przymknięte. Mają szkliste, zrezygnowane spojrzenie.

– Proszę, czytaj dalej – mówi spokojnie doktor Latham.

Niechętnie podnoszę tomik i kontynuuję.

JA

*Czy ten mściciel, któremu nie umiałaś już, żywa,
Dać dosytno, kochając tak wiele,*

*Niepomiernych żądz swoich ukojenie zdobywał
Na bezwładnym, powolnym twym ciele?
Powiedz, trupie nieczysty! czy za włosów twych sploty
Drżąc w gorączce cię uniósł ku górze?
Powiedz, głowo straszliwa! Czy ostatnie pieszczoty
Kładł na zębów twych chłodnym marmurze?
Milknę, czując suchość w gardle.*

– Ale to jeszcze nie dowodzi, że to był on, prawda? To nie znaczy, że Patrick ją zamordował.

– Właśnie – potwierdza beznamytnie doktor Latham. – To niczego nie dowodzi.

– A Stella? Czy ona... też zginęła w taki sposób?

– Do tego dojdziemy później. Ale tuż przed jej śmiercią Patrick poznał w barze pewną młodą kobietę. Gdy podniosła tomik, zagięła kartkę, zaznaczając miejsce, w którym przerwał lekturę. Pamiętasz je?

– Tak.

– Mogłabyś mi je teraz pokazać?

Pokazuję. Wiersz, w który Patrick Fogler wpatrywał się w takim skupieniu tamtego wieczoru, nosił tytuł *Wino mordercy*.

Jestem wolny, żona ma zabita!

Teraz już mogę pić bez przerwy.

– Przyglądając się przeszłości Patricka – mówi doktor Latham – odkrywasz, że gdziekolwiek mieszkał, znikają młode prostytutki. Niewiele, najwyżej dwie rocznie. Nie aż tyle, żeby rozpisywały się o tym gazety. Bo i kogo obchodzą jakieś zaćpane dziwki, no nie? Ale wystarczająco wiele, żeby dało się zauważyć pewien wzorec. Większość ciał znika. Te, które się znajdują, są okaleczone w sposób korespondujący z różnymi wierszami z *Kwiatów zła*. – Wyświetla kolejne zdjęcia. Okropne, zapadające w pamięć. – Shanice Williams. Dźgnięto ją siedem razy w serce, co przywodzi na myśl wiersz zatytułowany *Do Madonny*, w którym Baudelaire pisze: „Z siedmiu grzechów śmiertelnych zrobię siedem noży [...] Utkwię je wszystkie siedem w twym sercu płaczącym”. Jada Floyd. Rozpłataną jej piersi. Jak w wierszu, w którym Baudelaire opisuje: „Jak ubogi rozpustnik rozpaczliwie pieści i kąsa starej dziewczki udręczone łono, podobnie my chwytny rozkosz ukradzioną, jak w zwiędłej pomarańczy poszukując treści...”. Przerwij, kiedy będziesz miała dość.

– Mam dość.

Ale doktor Latham nie kończy. Następne zdjęcie, potem kolejne.

– Jasmine Dixon, której rozcięto brzuch w sposób kojarzący się z wierszem *Padlina*. Imani Anderson, której brutalnie ogolono głowę, jak w wierszu, w którym Baudelaire przyrównuje pukle swojej kochanki do „tęsknej Azji i wrzącej Afryki”. Precious Coleman dźgnięta w śledzionę. Annie Washington tak samo. Baudelaire napisał kilka wierszy zatytułowanych *Spleen*, czyli śledziona. A pamiętaj, że to tylko te ofiary, które znaleźliśmy. – Pstryka pilotem, wreszcie wyłączając ekran. – Potem, gdy cztery lata temu Patrick ożenił się ze Stellą, morderstwa ustały.

– Dlaczego? – pytam, głównie po to, żeby skupić się na czymś innym niż wspomnienie tego, co właśnie zobaczyłam.

– Być może starał się być dobrym człowiekiem. Może się zakochał. Albo nauczył się lepiej ukrywać zwłoki. W każdym razie brak kolejnych ofiar zbiegł się w czasie z ważnym wydarzeniem w życiu Foglera, a to kolejna cieniutka nić wiążąca go z tymi morderstwami. – Pochyliła się, jej oczy płoną gorączkowym blaskiem. – Claire, tu chodzi o coś znacznie więcej niż schwytywanie mordercy Stelli Fogler. Tu chodzi o przyskrzynienie psychopaty. Właśnie dlatego powtarzam, że to niebezpieczne.

– Co dokładnie będę musiała zrobić?

– Nie wiem... na razie. Mogę ci tylko powiedzieć, kim będziesz musiała być.

– Improwizacja. – Czuję, jak moje tętno przyspiesza.

– Tak. Tylko że w tej sztuce zwłoki nie wstaną, by pokłonić się na zakończenie. Zrozum, Claire: będziesz musiała zaufać mi bardziej niż wszystkim reżyserom i nauczycielom gry aktorskiej, z jakimi kiedykolwiek pracowałaś. Szczerze mówiąc, nadal mam poważne zastrzeżenia co do twojego udziału.

– Przecież to może być zbieg okoliczności. Możliwe, że Patrick naprawdę jest niewinny. – W dalszym ciągu usiłuję pogodzić okropne zdjęcia doktor Latham z rozbawionym, inteligentnym wykładowcą, którego poznałam w barze.

– Tak. Dlatego podczas całej operacji musimy działać tak, jakby był niewinny. Tylko w ten sposób zachowamy obiektywizm. – Świdruje mnie wzrokiem. – Ale coś ci powiem. Analizuję te morderstwa od przeszło sześciu lat, zaczęłam na długo przed śmiercią Stelli. I przez większość tego czasu byłam przekonana, że najbardziej prawdopodobnym sprawcą jest Patrick Fogler.

Po bezsennej nocy wypełnionej strachem i wątpliwościami wracam do gabinetu doktor Latham. Siadam przy jej biurku, wypełniam kolejne papiery. Doktor Latham stoi nade mną i obserwuje.

Pisemne zgody. Dziesiątki pisemnych zgód.

Zrzeczenie się prawa do roszczeń w razie doznań obrażeń ciała. Zgody na prowadzenie obserwacji. Umowy o poufności. Odstąpienie od prawa do prywatności. A do tego formularze dotyczące formularzy. Formularze mówiące, że wiedziałam, co robię, gdy podpisywałam tamte formularze. Formularze zawierające oświadczenia, że wyraziłam zgodę dobrowolnie oraz z pełną świadomością, że praca pod przykrywką może spieprzyć mi życie, karierę i zdrowie psychiczne.

Podpisuję je szybko, prawie nie czytając, parafuję każdą stronę i wpisuję datę w wykropkowanych miejscach.

– Witaj w obozie dla rekrutów, żołnierzu. Teraz twoje dupsko należy do mnie! – warczy na koniec doktor Latham.

To najgorsza parodia Denzela Washingtona, jaką kiedykolwiek słyszałam, ale działa. Nie jestem w stanie się uśmiechnąć.

Dalsza część szkolenia odbywa się w innej sali konferencyjnej, głęboko w trzewiach budynku.

– Przyjrzyjmy się kilku potworom – zaczyna spokojnie doktor Latham. Pstryka pilotem i światło przygasa.

Mówiąc, chodzi tam i z powrotem, raz po raz zasłaniając twarz, która widnieje na ekranie.

– To Peter Kürten. Znany jako Wampir z Düsseldorfu. Jego żona powiedziała psychologowi policyjnemu, że mieli zupełnie normalne życie erotyczne. Za to Kürten wyznał psychiatrze, że ilekroć kocha się z żoną, wyobraża sobie, jak ją dusi. Kobieta nie miała pojęcia, co kryje się w jego głowie. Następne slajdy to niektóre ofiary Kürtena. Tak wyglądały, kiedy je znaleziono.

Gdy nie jestem w stanie patrzeć dłużej, pojawia się inna twarz.

– Béla Kiss przechowywał swoje ofiary w pustych metalowych beczkach... Hans van Zon: jak wielu seryjnych zabójców miał czarującą powierzchowność, był przystojny i niezwykle charyzmatyczny. Zamordował między innymi swoją dziewczynę, a potem uprawiał seks z jej zwłokami. Najwyraźniej ona też nie miała pojęcia, co siedzi w jego głowie.

Ta litania nie ma końca – obezwładniający apel zła.

– Claire, nie opowiadam ci tego wszystkiego po to, żeby cię przestraszyć – mówi łagodnym tonem doktor Latham. – Dzięki badaniu tych wszystkich osób sporo wiemy o tym, jak działa umysł psychopaty. Możemy na przykład obejrzeć scenę zbrodni i sporo wydedukować na temat jego osobowości, inteligencji, związków z innymi ludźmi, a nawet zgadnąć, jakim jeździ samochodem. – Podnosi pękata teczkę. – To wszystko, co wiemy o mężczyźnie, który zamordował te prostytutki. Ostrzegam cię, nie jest to przyjemna lektura. Ale musisz to uważnie obejrzeć. Od tego może zależeć twoje życie.

– To coś w rodzaju profilu psychologicznego? – pytam, biorąc od niej teczkę.

– W pewnym sensie tak. Są tu też kolejne zdjęcia, opisy przypadków, fragmenty z podręczników... Nasza praca trochę przypomina rozbieranie bomby. Zanim zacnie się ciągnąć za kabelki, lepiej wiedzieć, który z nich jest połączony z materiałem wybuchowym.

– O ile Patrick rzeczywiście jest winny.

Przygląda mi się w milczeniu.

– Nie powiedzieliśmy ci jeszcze, jak zginęła Stella Fogler, prawda?

Kręcę głową.

– Pamiętam tylko, że pokojówka, która ją znalazła, mówiła, że to było brutalne morderstwo.

– Policja zataiła szczegóły przed mediami, żeby odsiać fałszywe przyznania się do winy. – Doktor Latham na chwilę milknie. – I szczerze mówiąc, także dlatego, że nie chciała siał niepokoju.

Sięga po *Kwiaty zła* i podaje mi tomik.

– Strona osiemdziesiąta druga.

Wiersz na tej stronie nosi tytuł *Do tej, co zbyt wesola*.

– Na głos, jeśli możesz. Tylko ostatnie trzy strofy.

Mimo że nie ma takiej potrzeby, staram się czytać jak należy, zachowując rytm. Kiedy jednak dociera do mnie znaczenie czytanych słów, nie jestem w stanie zapanować nad głosem. Pod koniec jest już oschły i bezbarwny.

JA

Podobnie którejs nocy chciałbym,

Gdy pora rozkoszy nastanie,

Przypelznąć jak gad niespodzianie

Tam, gdzie swoje ukrywasz skarby,

Poniżyć twe ciało radosne,

Ukarać pierś dotąd oszczędzoną,

Przystroić zdumione twe łono

W zranienie głębokie miłosne!

I, słodycz czując bezgraniczną,

Na wskroś, przez te wargi nieznane,

Piękniejsze i bardziej rumiane,

Swój jad ci, siostró, wstrzyknąć!

– Stella zginęła od ciosu zadanego lampą – mówi doktor Latham rzeczowym tonem. Pokazuje mi kolejne zdjęcia.

Rozpoznaję apartament hotelowy Stelli. Na łóżku leży ciało. Na gołych nogach rozkwitają sińce. Kolejne zdjęcie ukazuje zbliżenie twarzy Stelli otoczonej ciemną aureolą krwi wsiąkającej w pościel. Odruchowo się wzdygam.

– Przedmioty pozostawione na podłodze wskazują, że doszło do szamotaniny – mówi doktor Latham. – W połączeniu ze zniknięciem pieniędzy początkowo skłoniło to nowojorską policję do traktowania sprawy jako napadu rabunkowego, w którym coś poszło nie tak. Ale pewne szczegóły od początku nie pasowały do takiego scenariusza. Przede wszystkim zwłoki zostały przykryte kołdrą. Złodzieje, którzy przed chwilą kogoś zabili, nie robią czegoś takiego. Uciekają najszybciej, jak się da.

– A kto tak robi? – pytam. – I dlaczego?

Doktor Latham wzrusza ramionami.

– Taki gest mógł wyrażać szacunek. A nawet hołd. Ostatnie pożegnanie. Albo po prostu ktoś nie chciał patrzeć na wyrzut malujący się w oczach martwej Stelli. – Pstryka pilotem i na ekranie pojawia się zbliżenie nogi Stelli z krwawą raną o długości kilkunastu centymetrów. – Co ważniejsze, na prawym udzie miała głębokie nacięcia, prawdopodobnie zrobione już po śmierci za pomocą kawałka potłuczonego kieliszka do wina. Zupełnie jak w wierszu, ale wtedy policjanci oczywiście jeszcze o tym nie wiedzieli. – Pstryka ponownie. – Niemniej wydawało się to na tyle

dziwne, że zlecili wymaz. I całe szczęście, bo dzięki temu zdobyliśmy najważniejszy jak dotąd dowód. Badanie wykazało, że wewnątrz rany były ślady nonoxynolu-9, środka nawilżającego, który można znaleźć na kondomach popularnych marek. – Na chwilę milknie. – W barze, w którym poznałaś Patricka, mają w męskiej toalecie automat z prezerwatywami. Powiedziałas nam, a twoje nagranie wideo to potwierdziło, że tuż przed tym, jak próbowałaś go poderwać, Patrick poprosił barmana o rozmienienie pieniędzy.

Jej słowa uderzają we mnie jak fala – makabryczne, potworne, obezwładniające. Wpatruję się w tomik w swojej dłoni. W wiersz, którego toksyczne słowa wyglądają niewinnie jak rymowanka na jakiejś ckiej kartce z życzeniami. A potem w zdjęcia na ekranie, którym towarzyszy przerażająca implikacja wyjaśnienia doktor Latham. Okropna profanacja zwłok, której dopuścił się morderca.

To nie był on. To nie mógł być on. On taki nie jest – uparcie powtarza głos w mojej głowie. – *Spodobał mi się. Na litość boską, był miły!*

Aktorzy uczą się ufać instynktowi. Często instynkt jest wszystkim, co mamy. Po chwili jednak uświadamiam sobie, jaki cel ma ta lekcja doktor Latham. „Jak wielu seryjnych zabójców miał czarującą powierzchowność...” Ona próbuje mi powiedzieć, że w przypadku takich ludzi instynkt może zawieść.

– Ale... dlaczego? – wykrztuszam w końcu. – Stella nie była prostytutką. Dlaczego w ogóle ją zabił?

– Nie wiemy. Może dowiedziała się o tamtych kobietach. Może zdał sobie sprawę, że zamierza od niego odejść, i nie był na to gotowy. A może po prostu nie był w stanie dłużej się powstrzymać.

Znowu przypominają mi się słowa Stelli.

STELLA

Myślałam, że coś na niego znajdę. Coś, dzięki czemu zostawi mnie w spokoju...

Jeśli podejrzewała, że jej mąż jest mordercą, nic dziwnego, że była przerażona. Czyżby obawiała się, że będzie brutalny także wobec mnie? Czy miała nadzieję, że uchwyci to moja ukryta kamera? Myślałam, że po prostu wystawiam na próbę wierność jej męża, ale może Stella Fogler prowadziła tamtego wieczoru jakąś mroczniejszą, bardziej desperacką grę?

– Śmierć Stelli wyłamuje się ze wzorca, dlatego jest szczególnie interesująca – mówi doktor Latham. – Podczas gdy tamte morderstwa noszą znamiona starannego planowania, to wydaje się dokonane w pośpiechu, wręcz spontanicznie. Może to świadczyć o nadmiernej pewności siebie. Albo wskazywać, że w jakimś sensie był pod presją. – Doktor Latham pstryka pilotem i obraz na ekranie gaśnie. – Tak czy inaczej, to dobra wiadomość. Oznacza, że facet zaczyna popełniać błędy.

Patrick Fogler puka do drzwi apartamentu z tarasem.

– Kto tam? – pyta ostrożnie Stella Fogler.

– Room service.

– Niczego nie zamawiałam.

Nikt nie odpowiada. Zniecierpliwiona Stella podchodzi do drzwi i je otwiera.

– Pomyliliście...

Ale Patrick już wpycha się do środka.

– Witaj, kochanie. Czekasz na kogoś?

– Patrick, proszę. To nie to, co myślisz...

Fogler rzuca torbę na podłogę. Wydaje ona złowieszczy, głośny huk. Mężczyzna spogląda na doktor Latham.

– Teraz mam ją uderzyć?

– Chyba tak. Chcesz przejąć kontrolę nad sytuacją.

Frank Durban kiwa głową. Wraca do roli i wysypuje zawartość torby na podłogę. Ze środka wypadają węzowe sploty metalowych łańcuchów, kajdanki i paski materiału na kneble.

– Zaczęłabym krzyczeć – wtrącam.

– Niekoniecznie. Ludziom wydaje się, że w takich sytuacjach stawialiby opór, ale tak naprawdę paraliżuje ich niezdecydowanie połączone z niedowierzaniem. Poza tym gdyby Patrick cię uderzył, byłabyś w szoku. Wykorzystałby ten interwał, żeby cię skępować.

Frank udaje, że uderza mnie w twarz, a potem obraca mnie tyłem i zatrzaskuje kajdanki na moim nadgarstku. Jego dłoń na moim ramieniu jest ciężka, nieprzejejdana. Czuję jego męską siłę i wydaję z siebie okrzyk bólu.

– Przepraszam – mówi, rozluźniając uścisk.

– Żadnych kajdanek – orzeka doktor Latham. – Wyszłyby w autopsji. Powtórzmy tę scenę od początku. Tym razem bez kajdanek.

W pobliskiej restauracji dyskutujemy przy daniu dnia o morderstwach na tle seksualnym.

– Powiedzmy sobie jasno, Claire: nasz morderca nie jest sadomasochistą we współczesnym znaczeniu tego słowa. Ale być może ukrywa się wśród wielbicieli BDSM, dlatego że częściowo podziela ich zainteresowania. Dla nich krępowanie partnera jest drogą na skróty do osiągnięcia rozkoszy seksualnej, a dla niego ta droga na skróty prowadzi do czegoś, co interesuje jego: upokorzenia, poniżenia, kontroli. Do władzy nad życiem i śmiercią drugiej istoty ludzkiej.

Kelner podchodzi, żeby dolać nam wody. Uśmiecha się do mnie. Doktor Latham nie zwraca na niego uwagi i mówi dalej:

– BDSM to bardzo interesujące zjawisko. Dlaczego tak nagle przechodzi do mainstreamu? Dawniej myślano, że fetyszizowanie chłosty jest skutkiem kar cielesnych otrzymywanych w dzieciństwie: *le vice anglais*. O dziwo jednak to właśnie pokolenie Spocka, które nigdy nie dostawało klapsów, w dorosłym życiu pragnie eksperymentować z krępowaniem i dominacją.

Zafascynowany kelner nie może się od nas oderwać.

– Jedna z hipotez brzmi tak, że dewiacja jest po prostu drugą stroną libertynizmu. Gdy przekona się ludzi, że mają prawo dążyć do szczęścia kosztem norm społecznych, w końcu na obrzeżach tworzy się mała, ale wciąż rosnąca grupa, która nie rozumie, dlaczego nie miałyby podążać także za głosem swoich najmroczniejszych, najbardziej drapieżnych instynktów.

Niewykluczone, że nasz morderca uważa się za kogoś w rodzaju romantycznego antybohatera. Zamiast za chorego świra, którego należy powstrzymać.

Sesja popołudniowa. Ja, doktor Latham i Frank Durban stoimy przed białymi tablicami.

– Okej – zaczyna doktor Latham. – Ja jestem mordercą. Ty, Frank, będziesz Foglerem. – Rzuca mu marker, a on pisze na swojej tablicy „FOGLER”. Wcześniej doktor Latham napisała na swojej „MORDERCA”.

– Co mam robić? – pytam.

– Na razie nic. Ale jeśli obydwoje napiszemy to samo słowo, inaczej mówiąc, jeśli te słowa się pokryją, też zapiszesz je na swojej tablicy.

– Po pierwsze – mówi Frank – facet jest bystry. Pisze na swojej tablicy „WYSOKIE IQ”.

– Mój też – mówi doktor Latham. – Claire, to pierwsze cechy, które się pokrywają.

– I interesują go te wszystkie dekadenskie bzdury.

Doktor Latham kiwa głową.

– Tego też.

Posłusznie zapisuję „WYSOKIE IQ” i „BAUDELAIRE”. Wkrótce moja tablica pokrywa się słowami. Doktor Latham podchodzi, żeby zakreślić te najważniejsze.

– I właśnie to jest rdzeń twojej postaci – mówi. – SŁABOŚĆ, która go przyciągnie. NAIWNOŚĆ przemawiająca do jego potrzeby kontroli. URAZ odwołujący się do jego instynktu drapieżcy. SKRYTOŚĆ pobudzająca jego zaciekawienie... – Jej marker popiskuje na lśniąącym plastiku.

– Jeśli tak bardzo lubi kontrolować sytuację, dlaczego miałby się wiązać z Claire? – protestuje Frank.

– Dlatego, że jest samotny. Na pewno dotkliwie odczuwa to, że przekroczył granicę oddzielającą go od innych mężczyzn. Jeśli mam rację, chętnie skorzysta z okazji, żeby związać się z kimś, kto zdaje się podzielać jego upodobania.

– Z towarzyszką zabaw? Czy z potencjalną ofiarą?

– Nie jestem pewna, czy odróżnia jedno od drugiego – mówi doktor Latham.

– Chyba odróżnia – mówię powoli.

Oboje patrzą na mnie.

– Tamtego wieczoru w barze mówił o tym, że Baudelaire dzielił kobiety na dwie kategorie: *Vénus Blanche* i *Vénus Noire* – oznajmiam. – Ponoć poeta lubił opowiadać Białej Wenus o tym, co robił z Czarną Wenus, trochę tak, jakby potrzebował jej aprobaty. Nasz morderca atakuje głównie prostytutki. Może tak naprawdę potrzebuje kogoś, z kim mógłby się tym dzielić: tymi wszystkimi okropnymi rzeczami, które robi innym kobietom. Kogoś, z kim mógłby być szczerzy.

Doktor Latham celuje we mnie końcówką markera.

– Dobrze – mówi. – Bardzo dobrze, Claire.

Zamaszystym gestem pisze na mojej tablicy: „BRATNIA DUSZA”.

Witaj w Nekropolis.com.

To dostępna tylko dla członków naszej społeczności strona dla dorosłych, których fantazje obejmują dominację i uległość. Zawiera ona materiały uznawane przez znaczną większość ludzi za obraźliwe. Nie przepraszamy za to, jacy jesteśmy, więc jeśli nie gustujesz w tego rodzaju treściach, lepiej opuść tę stronę.

Zapisuję się i czekam, aż komputer prześle mój formularz. Kilka minut później rozlega się brzękliwy dźwięk. Moje członkostwo zostało aktywowane.

Wcześniej doktor Latham podała mi karteczkę z adresem strony internetowej.

– To twoje dzisiejsze zadanie. Dowiedz się wszystkiego, co się da, na temat ludzi odwiedzających takie miejsca. Porozmawiaj z nimi. Postaraj się odkryć, co ich kręci.

– Nie będą chcieli dowiedzieć się czegoś o mnie?

– Oczywiście, że będą chcieli. Musisz zacząć tworzyć historię swojej postaci. – Doktor Latham spojrzała na zegarek. – Później wpadnę zobaczyć, jak ci idzie.

Wpisuję hasło na ekranie logowania i dostaję się do środka. Strona jest podzielona na różne sekcje: „zdjęcia”, „fantazje”, „forum”. Po chwili pojawia się wiadomość:

Jesteś tu nowa, więc może stworzysz profil? Poczytaj, co napisali inni nowi członkowie, albo od razu przejdź do forum i przywitaj się z nami.

Co mam napisać? Żałuję, że nie ma przy mnie doktor Latham, która mogłaby mi pomóc. Po chwili uświadamiam sobie jednak, że psycholożka celowo zostawiła mi wolną rękę. Żebym zrobiła pierwsze kroki jako postać, którą razem tworzymy.

>>Cześć. Jestem Claire. Mam dwadzieścia pięć lat, pochodzę z Wielkiej Brytanii i mieszkam w Nowym Jorku.

Biorę głęboki oddech.

>>Nie wiem, czy kiedykolwiek będę miała odwagę urzeczywistnić swoje fantazje. Chciałabym jednak podzielić się z kimś doświadczeniami, marzeniami i przemyśleniami.

Po chwili mam już trzy odpowiedzi.

>>Cześć, Claire. Podoba ci się to zdjęcie?

Krzywiąc się, patrzę na fotkę, która pojawia się na ekranie. Jest odrażająca, ale jednocześnie w tak oczywisty sposób zmontowana, że może mi zrobić nie większą krzywdę niż kreskówka.

>>Raczej nie.

Druga odpowiedź jest bardziej szczegółowa. Jej autor, który podpisuje się nickiem Bestia, daje mi znać, że ma ochotę mnie udusić. Chce słuchać moich błagań o litość. Chce słuchać, jak błagam o więcej. Odpisuję:

>>Jak na kogoś, kto jest duszony, mam dużo do powiedzenia.

Czytam dalej. Trzecia odpowiedź brzmi:

>>Dajcie jej spokój, debile. Claire, może nam powiesz, co cię sprowadza na tę stronę?

Po godzinie mam już nowych przyjaciół: Victora, który przysłał tę trzecią odpowiedź, Carrie, Bachora, Beethovena i Markiza.

>>W BDSM elegancja to podstawa. Nikt nie czerpie satysfakcji ze związania partnera jak wołu opasowego i kopania go w brzuch. Doświadczony top wie, że połowa przyjemności zależy od wyboru pozy albo rodzaju działania, w którym najmniejszy ruch powoduje wyjątkowe cierpienie.

Tak napisał Beethoven. Carrie dodaje:

>>Właśnie. Jedną z moich ulubionych zabawek jest zwykła deska ustawiona w taki sposób, że stojąc nad nią, mój bottom musi wspinać się na czubki palców, bo inaczej jej krawędź boleśnie wżyna mu się w krocze.

Piszę:

>>Mój „bottom”? Przepraszam, nie rozumiem.

Odpowiada Victor:

>> Claire, ona nie ma na myśli części swojej anatomii*. Mówi o uległym partnerze.

To świat równie przesiąknięty żargonem, jak aktorstwo. Powoli go odkrywam. Już od samych akronimów kręci mi się w głowie. CP, CBT, YMMV. Zebrałam się na odwagę i spytałam, co znaczą niektóre z nich, ale pełne nazwy niewiele mi wyjaśniły.

W rozmowach na temat spankingu, ostróg Wartenberga, doświadczeń topów i zabawy w kucyka zupełnie się gubię.

Carrie mówi:

>>Claire, twoja niewinność jest urocza. Jesteś pewna, że nie masz ochoty się spotkać w realu?

Interweniuje Victor.

>>Zostaw ją w spokoju, Carrie. Tego wieczoru Claire jest z nami wyłącznie jako dociekliwa obserwatorka.

Czuję, że polubiłam tego Victora. Wygląda na to, że mianował się moim przewodnikiem po tym nowym dziwnym podziemnym świecie.

>>Coś jak „wypróbuj, zanim kupisz”?

To Carrie – szydzi ze mnie. Odpisuję:

>>Raczej „spójrz, zanim skoczysz”. A tak właściwie to nie do końca jestem nowa w tym temacie. Ktoś, kogo kiedyś znałam i kochałam, siedział w tym głęboko – ale byłam wtedy bardzo młoda. Chyba zbyt młoda.

Już gdy to piszę, czuję, że dobrze to brzmi – że „Claire”, którą pozna Patrick, powinna mieć taką przeszłość.

>>Co się z nim stało, Claire?

>>Niestety zmarł, zanim zdążył mi wiele pokazać.

Tragiczna przeszłość. Przyciąga mnie do tego świata i jednocześnie mnie od niego odpycha.

Doktor Latham miała rację. Powoli postać, w którą powinnam się wcielić, nabiera ostrości. Przestaje być listą cech na białej tablicy i zmienia się w żywą, oddychającą osobę.

Gdy się wylogowuję, jest już po północy. Szczypią mnie oczy, a nadgarstki bolą od pisania na klawiaturze.

Mijając otwarte drzwi gabinetu doktor Latham, słyszę, jak Kathryn woła mnie po imieniu. Siedzi przy biurku otoczona papierami.

– Pracujesz do późna, Claire.

– Ty też.

– Mam coś dla ciebie. – Podnosi kopertę. – Nie płacimy za nadgodziny. Ale tak w ogóle płacimy. Oto twoja pierwsza tygodniówka.

– To czek? Tylko że nie mam amerykańskiego rachunku bankowego...

– Wiemy. Nie przejmuj się, to gotówka.

Biorąc kopertę, zerkam na monitor. Doktor Latham pospiesznie minimalizuje dokument, nad którym właśnie pracuje, ale zdążam przeczytać tytuł.

Claire Wright. Profil psychologiczny.

* *Bottom* (ang.) – też: tyłek.

Kim jesteś?

Nazywam się Claire Wright.

Skąd pochodzisz?

Urodziłam się w Ferry Springs, niedaleko Boise. Mój ojciec zginął w wypadku samochodowym, w którym śmierć poniosły cztery osoby. Miałam wtedy dziesięć lat. To on prowadził. Moja matka nie wyszła powtórnie za mąż. Chyba zawsze miałam słabość do starszych mężczyzn, do interesujących postaci sprawujących władzę, które mogłyby nauczyć mnie czegoś o świecie.

Mów dalej.

W liceum miałam chłopaków, straciłam dziewictwo w wieku piętnastu lat... Potem seks przychodził mi z łatwością. Spotykałam się z ładnymi, lekko postrzelonymi chłopakami. Ale w gruncie rzeczy nie byliśmy aż tak postrzeleni. Potem, w college'u, miałam romans z jednym z wykładowców. Był żonaty.

Jak się nazywał?

Pan Fairbank.

Nie zwracałaś się do kochanka po imieniu?

Przepraszam. Eliot. Eliot Fairbank. Wtedy odkryłam, że mam mroczniejszą stronę, która pragnie przekraczać znane mi dotąd granice. Nie mogliśmy spędzać razem tyle czasu, ile byśmy chcieli, więc pisał dla mnie różne teksty... opisywał swoje fantazje. Zazwyczaj przysyłał mi je mejlem albo zostawiał w skrzynce pocztowej.

Dobrze, Claire. Co się z nim stało?

Żona znalazła jeden z tych mejli w jego komputerze. Zaniosiła go prosto do dziekana.

Jak się wtedy czułaś?

Byłam przeszczęśliwa. Myślałam, że kiedy zostanie wylany z pracy i rozstanie się z żoną, nic nie będzie stało na przeszkodzie, żebyśmy byli razem. Ale on nie potrafił sobie z tym poradzić – ze świadomością, że wszyscy wiedzą o nim i o mnie. I... popełnił samobójstwo. Ale przedtem przesłał mi ostatniego mejla.

Co w nim napisał?

Chciał, żebym do niego dołączyła. Żebyśmy zrobili to razem. To miał być pakt samobójczy.

A jednak tego nie zrobiłaś.

Kusiło mnie. Ale tak naprawdę nigdy nie czułam takiego wstydu jak on. Myślałam, że to on jest silny, że pomoże mi zerwać z małomiasteczkowymi ograniczeniami... Najwidoczniej to ja sprowadziłam go na złą drogę, a nie odwrotnie.

Co było potem?

Podróżowałam. Patrząc na to z perspektywy czasu, chyba uciekałam od sytuacji, która wymknęła się spod kontroli.

Uciekałaś? A może szukałaś?

Chyba jedno i drugie. Nie, prawdopodobnie więcej w tym było szukania.

A czego szukałaś?

Nie wiem. Ale nadal jestem ciekawa... Chyba potrzebuję kogoś w rodzaju przewodnika.

Nie mów tak. To zbyt dosadne. Sam zauważy twój potencjał. No, to jeszcze raz: Kim jesteś?

– Dzisiaj – mówi Kathryn Latham – przeanalizujemy pewną scenę. Mówiąc konkretnie, scenę zbrodni. – Wyświetla na ekranie kolejne obrazy. – Przeprowadzę cię krok po kroku przez szczegóły jednego z morderstw.

– Po co? – pytam.

– Po co? – powtarza zdziwiona. – Oczywiście po to, żebyś zrozumiała, do czego ten człowiek jest zdolny.

– Nie chcę tego wiedzieć.

– To się nazywa briefing, Claire. To dawanie agentowi narzędzi niezbędnych do wykonania zadania...

Wzdycham.

– Wiem, na czym polega moje zadanie. I nosi ono nazwę „aktorstwo”. To coś, na czym się znam. Powinnas przestać traktować mnie jak tajną agentkę i zacząć myśleć o mnie jako o postaci. Nie rozumiesz? Jak mam pójść na randkę z tym człowiekiem, jeśli ciągle będę myślała o tym, że mógł dźgnąć jakąś nieszczęsną kobietę w serce albo coś w tym rodzaju? Moja postać powinna wierzyć, że umówiła się z miłym facetem – z kimś, kto ją intryguje, kto wydaje jej się atrakcyjny, kogo może sobie wyobrazić w związku z taką osobą jak ona.

Doktor Latham się zastanawia.

– A czy Patrick wydaje ci się atrakcyjny, Claire?

– Tak – mówię po krótkim namyśle.

– W takim razie nie będą ci chyba potrzebne wielkie umiejętności aktorskie. – Doktor Latham odwraca się w stronę swoich okropnych fotek. – Na pierwszym zdjęciu widać...

– Muszę widzieć szarość.

Spogląda na mnie z pytającą miną.

– Tak nazywał to Henry, były gliniarz, z którym pracowałam – wyjaśniam. – Powiedział mi, że kiedy pracuje się pod przykrywką, trzeba wierzyć w to, w co wierzą ludzie, których się rozpracowuje. W przeciwnym razie wyczują fałsz.

– Claire, tej operacji nie prowadzi były gliniarz Henry, tylko ja. I wierz mi, chcę, żebyś była ostrożna. Bo ostrożność oznacza bezpieczeństwo.

– No to nic z tego nie wyjdzie. – Po chwili wahania dodaję pospiesznie: – Słuchaj, twierdzisz, że zachowujesz w tej sprawie obiektywizm, ale wszystko wskazuje na to, że jesteś przekonana o winie Patricka. Czy to etyczne? Przypominasz reżysera, który pierwszego dnia prób ogłasza, że ten a ten jest prawdziwym czarnym charakterem albo że tak naprawdę sztuka traktuje o totalitaryzmie. To zła praktyka, przez nią wszystko staje się jednowymiarowe. Nie mogę pracować w ten sposób. Muszę wierzyć w to, kim jestem, a żeby tak było, muszę wierzyć w to, kim jest on. Jeśli to oznacza, że czasami każę ci się zamknąć... No cóż, trudno.

Milknę – trochę dlatego, że wygłosiłam swoją kwestię, a trochę dlatego, że podczas swojego małego wybuchu odnoszę dziwne wrażenie, że doktor Latham właściwie mnie nie słucha. Ona mnie studiuje. Jak kierownik obsady, przyznaje mi punkty na skali od jednego do dziecięciu.

– W porządku. – Kiwa głową. – Zrobimy, jak chcesz. Widz szarość, Claire, skoro myślisz, że to coś da. Koniec ze zdjęciami z miejsc zbrodni. – Jej głos nabiera ostrości. – Ale pod każdym innym względem to ja tu dowodzę. Zrozumiano?

Pstryka pilotem, wyłączając ekran.

– Dziękuję – mówię lekko zaskoczona.

Chcąc nie chcąc, pamiętam, co jeszcze mówił były gliniarz Henry. „Szarość przejmuje władzę nad niektórymi ludźmi i nie potrafią się od niej uwolnić”.

Uczę się wielu rzeczy, między innymi o Baudelaire.

Vénus Blanche i *Vénus Noire* mają już imiona i nazwiska: Apollonie Sabatier i Jeanne Duval. Pierwsza miała białą cerę, wdzięk i była tak dostojna, że wielbiciel nazwali ją „La Presidente”. Druga to tancerka, pół-Kreolka, która prostytuowała się, gdy poeta był zbyt ubogi, by zapewnić im byt. Salon Apollonie był ośrodkiem życia intelektualnego dziewiętnastowiecznego Paryża, do jej wielbicieli zaliczali się Balzac, Flaubert i Hugo. Ale to do Jeanne Baudelaire wracał rok po roku. Zaraził ją syfilisem. Ona uzależniła go od opium. Dwoje zniszczonych ludzi połączonych ze sobą biedą i obsesją.

– Przez lata Apollonie Sabatier dostawała od Baudelaire’a przesyłane anonimowo wiersze – mówi doktor Latham. – Gdy wreszcie wydano *Les Fleurs du Mal* pod jego nazwiskiem, Apollonie oczywiście dowiedziała się, kto je napisał. Nastąpił jednak niespodziewany zwrot akcji. Książkę skonfiskowały władze. Ocenzurowano trzynaście wierszy, w tym sześć, które napisał o niej, a Baudelaire’owi wytoczono proces o obsceniczną. Poeta zwrócił się do Apollonie, prosząc, żeby mu pomogła, używając swoich wpływów. Jeśli to zrobiła, nic nie wskórała: większość zakazanych wierszy pozostała zakazana. Ale po procesie Baudelaire wreszcie przespał się ze swoją Białą Wenus. Nie wiadomo, co dokładnie zaszło tej nocy. Jedynym tropem jest list, w którym ją odrzucił. Wysłał go do niej kilka dni później, pisał, że przeżywa męki namiętności, bo doskonale zna okropieństwa, do jakich mogłoby go to przywieść.

– Myślisz, że Patrick jest taki sam? Że będzie podejrzliwy wobec intymności, bo mogłaby go skłonić do ujawnienia się?

– Jestem tego pewna. Musisz mu pokazać, że nie odpycha cię mrok, który w nim wyczuwasz. Przeciwnie, że jesteś nim zaintrygowana. Że potrafisz mu dorównać, męka za męką.

– Jak mam to zrobić?

Po chwili wahania wskazuje leżący między nami tomik wierszy.

– Wiersze. Najwyraźniej mają w sobie coś, co trafia do Patricka, co przemawia do niego poprzez wieki. Teraz więc przemawiają one także do ciebie. Te wiersze to twoja przepustka, Claire.

Sprowadziła z Wielkiej Brytanii moją kartę pobytu w szpitalu.

– Nieszczególnie się do tego przyłożyłaś – mówi lekceważąco, spoglądając na przefaksowane strony. – Trzy stosunkowo płytkie nacięcia boczne w lewym dole łokciowym. Pewnie wyglądało to dramatycznie. Ale zanim byś się wykrwawiła, musiałyby upłynąć całe godziny. Klasyczne wołanie o pomoc w wykonaniu zdezorientowanej nastolatki zmagającej się z burzą hormonów.

– Wtedy nie wydawało się to takie banalne.

– Z pewnością. – Spogląda na mnie przenikliwym wzrokiem. – Wykorzystaj to, Claire. Oczywiście mówię nie o samookaleczaniu, ale o sile emocji, które do niego doprowadziły. On musi wyczuć za tą ładną buźką rozchwianie, mrok. Musi wiedzieć, że jesteś outsiderem. Takim jak on.

Frank przyjeżdża po mnie rano, tak jak prawie codziennie. Gdy schodzę na dół, zatrzymuje mnie na korytarzu.

– Claire, musisz zabrać kilka rzeczy. Przez jakiś czas nie będziesz tu mieszkała.

– Dokąd mnie zabieracie?

– Kathryn chce zainstalować cię w miejscu, które będzie spójne z historią twojej postaci. Zatrudniliśmy dekoratorkę wnętrz, żeby przygotowała ci lokum.

– Dekoratorkę wnętrz? Zaczyna mi się powodzić.

Budzę Jess, przetrząsając jej szafę w poszukiwaniu awaryjnych zapasów ubrań. Frank wpoił mi potrzebę zachowania całej operacji w tajemnicy, więc Jess wie tylko tyle, że robię coś dla policji. Dałam jej forszę od Kathryn i powiedziałam, żeby nie próbowała się ze mną kontaktować i nie podchodziła do mnie na ulicy.

– Uważaj na siebie – mówi zaniepokojona. – Nie daj im się.

– Nie dam. – Przerzucając jej bieliznę, zauważam pistolet połyskujący wśród koronek i bawełny. Przez chwilę kusi mnie, żeby spytać, czy mogę go wziąć.

Ale oczywiście nie mogę. Zresztą mam Franka i jego ludzi. Zawsze będą w pobliżu, będą wszystko słyszeli.

– Połamania nóg – mówi Jess, wyskakując z łóżka i zamykając mnie w uścisku.

Też ją ściskam i nagle czuję, że nie chcę, by mnie wypuściła.

Frank upiera się, że zanieś moją torbę do samochodu. Jedziemy na północ, do wschodniego Harlemu. Okolica jest wystarczająco tania, żeby było na nią stać kogoś takiego jak ja, i tylko niewielka odległość dzieli ją od miejsca pracy Patricka, czyli Uniwersytetu Columbia.

Zatrzymujemy się przed zniszczonym blokiem z lat sześćdziesiątych. Frank mówi, że ostatnio w części tej dzielnicy podniósł się status.

Nie w tej części.

Mieszkanie wygląda jak nora. Wzdłuż ściany stoją czarne świece, a nad nimi wiszą czaszki zwierząt i ponadrywane heavymetalowe plakaty. W kącie stoi oparta poobijana gitara basowa. W pokoju cuchnie stęchłym dymem marihuany.

– Na litość boską – mówię, rozglądając się. – To jakiś żart?

– Trzeba wydać mnóstwo pieniędzy, żeby mieszkanie wyglądało tak źle – odpowiada Frank łagodnym tonem. Sięga po czaszkę, na której postawiono świeczkę. – Może trochę przesadziła.

Właśnie zauważyłam akwarium w kącie. Po szkle prześlizguje się coś srebrnoszarego.

– To wąż?

Frank kiwa głową.

– Ponoć osoba, którą jesteś, lubi się otaczać takimi rzeczami.

Wzdycham, sięgając po torbę.

– I pamiętaj, Claire, w całym mieszkaniu są kamery. Będziemy włączali system, tylko jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale czasami będziemy go też testować. W łazience zapewniliśmy ci prywatność. Poza tym miej na uwadze, że możemy cię nagrywać.

– A gdzie będziesz ty?

– W mieszkaniu bezpośrednio pod tobą.

– Czy pani Durban nie będzie przeszkadzało, że nie ma cię w domu?

– Nie ma żadnej pani Durban – odpowiada szorstko. – No, może i jest, ale mieszka teraz z facetem, który piecze torty weselne.

– Przykro mi to słyszeć, Frank. Czy to dlatego, że...

– A to jest twój mikrofon – podejmuje, wchodząc mi w słowo i wręczając mi brzydki naszyjnik z ogromnym perforowanym wisiorem. – Noś go zawsze, kiedy wychodzisz z mieszkania. Ma wbudowany geolokator, żebyśmy mogli cię namierzyć.

– Pomożesz mi go zapiąć? – pytam potulnie, odwracając się do niego plecami.

Słyszę jego oddech, rżenie w płucach masywnego faceta, gdy jego palce męczą się z maleńkim zapięciem. Wreszcie naszyjnik jest już na swoim miejscu i Frank Durban odsuwa się

ode mnie.

– Poza tym powinnaś wybrać hasło bezpieczeństwa. Słowo, którego zwykle nie używasz.

– Może... „Konstantynopol”?

– Dlaczego akurat tak?

Wzruszam ramionami.

– W dzieciństwie zawsze marzyłam, żeby tam uciec. Wydawało mi się, że to egzotycznie brzmiąca nazwa.

Kiwa głową.

– „Konstantynopol”... Okej. Ale nie używaj go, dopóki nie będziesz pewna, że musisz. W chwili gdy wypowiesz to słowo, wkroczymy i go zgarniemy. Potem nie będzie już odwrotu.

Czuję ciężar naszyjnika na klatce piersiowej. Nagle zaczynam się bać. *Jestem tylko aktorką. Chciałam stać na scenie i słuchać oklasków. Jak to się stało, że wplątałam się w taką historię?*

Potem jednak myślę o czekającej na mecie zielonej karcie. *To tylko praca. Praca, w której obowiązują inne zasady niż w tej, jaką zazwyczaj wykonujesz. Ale wymaga tych samych umiejętności, proces jest taki sam.*

– Postaraj się nie przejmować. – Frank mówi to cicho, jakby czytał w moich myślach. – I postaraj się nie myśleć za dużo o tych wszystkich okropnych sprawach. Pamiętaj, jesteśmy w pobliżu. Naszym priorytetem jest twoje bezpieczeństwo.

A na koniec ostatni sznyt.

– To naprawdę potrzebne? – pyta Frank, gdy przed moimi oczami połyskują nożyczki stylistki. – Naprawdę musimy ją upodabniać do jego żony?

– Nie wiem, Frank – mówi Kathryn. – Nikt tego nie wie. Mało kto przeprowadzał takie operacje.

– Nie chodzi o Patricka – mówię, gdy na podłogę wokół mnie opadają pasma włosów. – Tak to się odbywa, Frank. Tak przygotowujemy się do roli.

Wpatruję się w kobietę w lustrze. Czuję dreszczyk podniecenia w brzuchu, strach i euforię poprzedzające występ.

Jutro. Jutro mam nawiązać kontakt z Patrickiem. Kathryn uznała, że jestem gotowa.

Showtime!

KUCHNIA W MIESZKANIU, NOCĄ

Minęła północ. Siedzę przy blacie w kuchni i piję. Pół butelki już zniknęło. Mam gołe nogi, włożyłam tylko luźną koszulkę.

Przeczesałam palcami swoją nową, krótszą fryzurę. Czuję się inaczej, jakbym już była kimś innym. Ale może to przez alkohol.

Lekko chwiejnym krokiem podchodzę do jednej z maleńkich kamer i klękam przed nią.

JA

Nie posłuchałam twojej rady, Frank. Zaczęłam o tym myśleć. I coraz bardziej się boję.

MIESZKANIE PIĘTRO NIŻEJ

Frank obserwuje mnie na monitorze. Wiem, że to robi.

JA

Ale wystarczy, że wypowiem swoje magiczne słowo, a ty przybiegniesz z pomocą. Zgadza się? Detektyw Frank przybędzie na ratunek.

Wstaję. Moja głowa znika poza kadrem. Zostają w nim tylko moje gołe nogi.

JA

Wiem, że tam jesteś, Frank. Obserwujesz mnie. Dzięki za zapewnienie, że będziesz to robił tylko w razie konieczności, ale... Chyba pamiętasz, że wiem, jacy są mężczyźni?

Moja koszulka opada na podłogę.

JA

Teraz idę do łóżka, Frank. Jeśli chcesz, możesz mnie pilnować. Mój ty rycerzu w lśniącej zbroi. W zasadzie byłoby mi całkiem miło.

Odwracam się tyłem do kamery i odchodzę. Piętro niżej Frank powoli wypuszcza powietrze.

SALA WYKŁADOWA NA UNIWERSYTECIE COLUMBIA, W CIĄGU DNIA
PATRICK FOGLER

Nie możemy liczyć na to, że uda nam się zrozumieć Baudelaire'a, jeśli będziemy próbowali osądzać jego postawę, a zwłaszcza podejście do kobiet, według współczesnych norm. „*Moi, je dis: la volupté unique et suprême de l'amour gît dans la certitude de faire le mal*” – „Według mnie wyjątkowa i największa przyjemność płynąca z seksu tkwi w możliwości czynienia zła”. Dla Baudelaire'a kobiety nie są wyłącznie jednostkami. To wyidealizowane przedstawicielki swojej płci, symbole zarówno ucieleśnionej doskonałości, jak i niemożliwości osiągnięcia w tym zepsutym świecie takiej doskonałości, która mogłaby się okazać czymś więcej niż tylko chwilowym złudzeniem.

Dyskutowaliśmy o wielu różnych możliwościach nawiązania kontaktu z Patrickiem Foglerem. W końcu jednak Kathryn postawiła na prostotę. Jego cotygodniowe wykłady. Nowojorska policja ma cały wydział zajmujący się tworzeniem fałszywych tożsamości. W dowodzie, który mi dali, znajdują się moje nazwisko i zdjęcie, ale teraz jestem studentką z Columbii.

Siedzę z tyłu, nie robię notatek. Całe moje ciało pochyla się w stronę Patricka Foglera. Jestem zafascynowana.

PATRICK

Ten konflikt był widoczny zarówno w życiu Baudelaire'a, jak i w jego poezji. Być może pamiętacie słynny list, w którym Baudelaire odrzucił *Vénus Blanche*. Napisał w nim...

Po raz pierwszy od początku wykładu trwającego już dwadzieścia minut Fogler zagląda do notatek.

PATRICK

„Widzisz, moja droga, kilka dni temu byłaś boginią: tak szlachetną, tak nieosiągalną. A teraz jesteś kobietą [...] Przeżywam męki namiętności, bo aż zbyt dobrze znam okropieństwa, do jakich może mnie to przywieść”.

Uświadamiam sobie, że nie tylko ja jestem zauroczona. Wszyscy studenci w sali są oczarowani.

PATRICK

Dla Baudelaire'a seks jest fizycznym przymusem. To tęsknota metafizyczna. Nie żadne bezmyślne ćwiczenie aerobowe, lecz łączność, nawet jeśli ulotna, z okropnymi, mrocznymi tajemnicami wszechświata. Podobnie jak wszyscy mistycy, jest oczywiście skazany na rozczarowanie. Jego osiągnięcie – jego heroizm – polega na samym podjęciu próby. Jakieś pytania?

Studentka z przodu podnosi rękę i Patrick Fogler kiwa do niej głową.

PATRICK

Słuchamy, Megan.

MEGAN

Mówi pan, że on traktuje kobiety jak obiekty seksualne, którymi się manipuluje i pogardza. Czy umieszczając kogoś takiego w sylabusie, nie tworzy pan forum dla mizoginii?

Odpowiada jej uprzejmie i rzeczowo – że powinniśmy poznawać nie tylko tych, których aprobujemy, lecz także tych, z którymi się nie zgadzamy, że mimo wszystkich swoich wad Baudelaire był innowatorem, który nadał sztuce nowy wymiar. T. S. Eliot na przykład wymieniał

go wśród twórców, którzy wywarli na niego największy wpływ, a nawet włączył fragmenty *Kwiatów zła do Ziemi jałowej*.

PATRICK

Bez *Kwiatów zła* nie byłoby dekadencji, bez dekadencji nie byłoby modernizmu, a bez modernizmu nie byłoby nas. Uczymy się o Baudelaire nie ze względu na jego zasady moralne, ale ze względu na jego geniusz. Czy są jeszcze jakieś pytania?

Nie ma. Studenci zamykają laptopy i wychodzą, robiąc trochę hałasu i przerzucając się żarcikami. Patrick zbiera swoje notatki.

Jedna ze studentek nieśmiało do niego podchodzi.

JA

Panie profesorze?

Mówię z tym samym środkowozachodnim akcentem, którego używałam podczas naszego pierwszego spotkania. Mam nadzieję.

Jeśli mnie rozpoznaje, nie widać tego po nim. Jego twarz wyraża profesjonalną uprzejmość. Ponownie zaskakuje mnie jednak rozbawienie ukryte głęboko w jego miętowozielonych oczach.

PATRICK

Tak?

JA

Chciałam po prostu bardzo panu podziękować.

Pokazuję mu egzemplarz *Kwiatów zła*.

JA

Pewnie pan nie pamięta, ale pożyczył mi pan ten tomik. Zaczęłam go czytać i... tak mnie zaintrygował, że postanowiłam zapisać się na pana zajęcia.

PATRICK

Zaintrygował panią Baudelaire?

Wymawia to nazwisko z leciutkim akcentem. *Bod'ler*.

JA

Trochę on... a trochę nasza rozmowa. To, co pan wtedy powiedział.

„Bądź bezpośrednia – poleciła mi Kathryn. – Na pewno to doceni. Nie szuka zwyczajnej kobiety. Musisz się wyróżnić”.

PATRICK

Tak się składa, że panią pamiętam. Ale nie przypominam sobie, o czym dokładnie rozmawialiśmy. Byłem wtedy trochę rozkojarzony.

„Dlatego od razu poruszymy kwestię śmierci Stelli. Dowiedziałaś się o tym z telewizji. Nie przeraża cię to. Może nawet trochę cię to podnieca”.

JA

Wiem. Pisali o tym w gazetach. I widziałam pana w telewizji.

PATRICK

Zdaje się, że byłem kimś w rodzaju celebryty.

JA

Ciągle myślę o tym, co mi pan wtedy powiedział – o tym, że Baudelaire wysyłał te wiersze do Białej Wenus. Zastanawiam się, czy myślał, że ją zszokują. Albo czy liczył na to, że Biała Wenus w pewnym sensie chętnie przyjmie intymność, którą jej oferował – to, że krok po kroku wpuszczał ją do świata swoich najmroczniejszych fantazji.

„Wyrazy współczucia i gotowość do dzielenia z nim smutku będą go nudziły. Jeśli rzeczywiście zabił Stellę, potrzebuje teraz innego rodzaju przygody. Czegoś, co pozwoliłoby mu

uczcić niedawne odzyskanie wolności”.

PATRICK

„Co wiedziała Biała Wenus”. W sumie byłby to ciekawy temat pracy dyplomowej. Takiej, jakiej raczej nie mógłby napisać mężczyzna.

JA

Może właśnie ja powinnam ją napisać.

PATRICK

Czemu nie. W każdym razie miło się z panią rozmawiało.

Wewnątrz cała się trzęsę. Powodzenie tej operacji zależy od kilku następnych sekund. Oraz od propozycji, która poprzednim razem doprowadziła do tego, że mnie spławił.

Tylko że wtedy miał żonę. A ja jestem teraz kimś innym.

JA

Moglibyśmy jeszcze o tym porozmawiać? Na przykład przy kawie?

Waha się, spogląda na drzwi. A potem...

PATRICK

Dobrze. Ale nie tutaj. Zanim urządzono tu Maison Française, ten budynek był zakładem dla obłąkanych bogaczy i czasami mam wrażenie, że nadal nim jest. Porozmawiajmy poza kampusem.

STOJĄCY W POBLIŻU VAN ZE SPRZĘTEM DO PROWADZENIA OBSERWACJI,
W CIĄGU DNIA

Frank i Kathryn słuchają przez słuchawki.

FRANK

Uda się. Naprawdę się uda.

KATHRYN LATHAM

Zobaczmy.

BAR W PIWNICY, W CIĄGU DNIA

Jest ciepły, słoneczny wieczór, ale Patrick zabiera mnie do słabo oświetlonego piwnicznego baru przy Amsterdam Avenue. Na stolikach migoczą świece w słoikach. Jesteśmy jedynymi klientami. Może nie chce, żeby ktoś go ze mną zobaczył? Czyżby zacierał ślady, upewniając się, że później nikt nas ze sobą nie skojarzy?

Opędzam się od tych myśli. Teraz jestem postacią – tą drugą, bardziej pewną siebie, bardziej impulsywną Claire, a nie wystraszoną studentką ze szkoły aktorskiej oglądającą potworny pokaz zdjęć, który urządziła Kathryn.

Siedzimy w kącie i rozmawiamy.

JA

...to pragnienie przekraczania granic, wzniesienia się ponad codzienną hipokryzję i samozadowolenie przeciętnego mieszczanina. Jasne, ludzie udają, że jego twórczość ich szokuje. Ale tak naprawdę po prostu się boją – boją się własnej konwencjonalności.

„NAIWNOŚĆ przemawiająca do jego potrzeby kontroli. URAZ odwołujący się do jego instynktu drapieżcy...” Ale poza tym coś jeszcze, coś wyłącznie mojego: przesycony pasją intelektualny zapał, niemal młodzieńcze podekscytowanie ideami, które zdaje się mówić: „Zakochuję się w umysłach, nie w ciałach. W twoim umyśle? Czemu nie?”.

PATRICK

Wiele osób tak mówi. Ale nie traktują tego poważnie.

JA

Nie jestem taka jak większość ludzi.

STOJĄCY W POBLIŻU VAN ZE SPRZĘTEM DO PROWADZENIA OBSERWACJI

Kathryn kiwa głową. Nieźle.
BAR W PIWNICY, PÓŹNIEJ

PATRICK

...ludziom się wydaje, że Baudelaire pisał o dekadencji. A tak naprawdę pisał o zaufaniu.

JA

Jak to?

PATRICK

Pisał o powierzaniu drugiej istocie ludzkiej najgorszych myśli znajdujących się w twojej głowie. Czy istnieje bardziej przerażający skok w ciemność?

JA

Lubię, jak coś mnie przeraża.

Patrick się uśmiecha, jakbym wykazała dziecięcy tupet. Niezrażona wytrzymuję jego spojrzenie. I wreszcie coś pęka...

PATRICK

Przekonajmy się. Podaj mi rękę.

„Niektóre rzeczy możemy przewidzieć, możemy nawet się do nich przygotować. Ale przeważnie będziecie tylko ty i on oraz gra, w którą akurat będzie miał ochotę grać”.

Patrick bierze mnie za rękę i kładzie ją na słoiku, w którym pali się świeczka, tak że moja dłoń znajduje się bezpośrednio nad płomieniem.

PATRICK

Tę grę pokazał mi jeden ze studentów. Cokolwiek będzie się działo, nie wolno ci cofnąć ręki.

JA

Poparzę się.

Już czuję, jak płomień liże moją skórę.

PATRICK

Nie. Płomień zgaśnie z powodu braku tlenu, zanim zdąży zrobić ci krzywdę. Uwierz mi.

Kładzie dłoń na mojej dłoni, dociskając ją lekko – bez przymusu, po prostu po to, żeby poczuć drżenie mojej ręki, gdy staram się utrzymać ją w miejscu, mimo że instynkt i każdy nerw wołają do mnie, żebym ją cofnęła.

PATRICK

Nielatwo jest komuś zaufać, prawda?

Grałam w gry oparte na zaufaniu wiele, wiele razy – to nieodłączny element aktorskich rozgrzewek. Ale w taką jak ta nie grałam jeszcze nigdy. Wpatruję się w płomień. To podłużny, poszarpany pazur, szpon dżgający moją rękę. Ból przestaje być jedynie uciążliwością i zmienia się w coś, co sprawia, że mam ochotę odrzucić głowę do tyłu i zawyc. Krąg igieł wbija się głęboko w moją skórę – crescendo agonii. Do moich oczu napływają łzy. Czuję, jak moje ciało przechodzi w stan ciekły, bulgocze niczym skórka na pieczonej wieprzowinie...

Nagle płomień migocze i słabnie. Po chwili gaśnie.

PATRICK

(zaskoczony)

Zaufałaś mi. Dziękuję.

Gwałtownie cofam rękę. Na mojej dłoni widać okrągły czerwony ślad przypominający malinkę. Ale bąbli nie ma.

Przysuwam to miejsce do ust i zaczynam ssać, żeby złagodzić szczypanie. Uświadamiam sobie, że większość bólu była w mojej głowie.

JA

Prawie cię nie znam.

PATRICK

Właśnie dlatego to jest takie interesujące, prawda? Gdzie mieszkasz?

JA

We wschodnim Harlemie.

PATRICK

Pójdziemy tam?

JA

Po co?

PATRICK

Po to, żeby się pieprzyć, oczywiście. Czy nie o to tu chodzi?

JA

Jeśli masz ochotę.

STOJĄCY W POBLIŻU VAN ZE SPRZĘTEM DO PROWADZENIA OBSERWACJI

Zaniepokojony Frank spogląda na Kathryn.

FRANK

Tego nie było w planie. A jeśli będzie chciał przejść do czynów?

KATHRYN LATHAM

(spokojnie)

Już przeszedł do czynów.

FRANK

Jezu!

Gmera przy kontrolkach.

BAR W PIWNICY

JA

Moglibyśmy zaliczyć – jak ty to wcześniej nazwałeś? – bezmyślny aerobowy seks, a potem zapomnieć, że w ogóle się spotkaliśmy. Albo...

PATRICK

Albo?

JA

Moglibyśmy rozmawiać dalej.

Patrick się uśmiecha.

PATRICK

Doskonale. Rozmawiajmy.

STOJĄCY W POBLIŻU VAN ZE SPRZĘTEM DO PROWADZENIA OBSERWACJI

Frank oddycha z ulgą. Kathryn tylko wzrusza ramionami i z powrotem skupia się na swoim notesie.

BAR W PIWNICY, PÓŹNIEJ

Patrick przynosi dwa kolejne kieliszki wina.

PATRICK

Zawsze podrywasz wykładowców?

JA

Nie. To znaczy raz chyba mi się zdarzyło. Ale nie skończyło się to dobrze.

PATRICK

Jak to?

JA

To był dość ekstremalny związek.

PATRICK

Co masz na myśli, mówiąc „ekstremalny”?

JA

No, wiesz.

PATRICK

Naprawdę nie wiem... Powiedz mi.

JA

Większość ludzi nazywa takie rzeczy perwersją.

PATRICK

Ty i perwersja?

JA

A dlaczego nie?

PATRICK

Nie wydajesz się taka.

JA

Może trudno mnie zaszufłdkować.

PATRICK

Zaintrygowałeś mnie.

„Będzie szukał kogoś takiego jak ty i to dążenie może go skłonić do podejmowania ryzyka. Niewykluczone, że ryzyko jest dla niego elementem tej podniecającej całości. Na pewno to docenisz, Claire – w pewnym sensie on też jest aktorem. Jak wszyscy sprawcy morderstw na tle seksualnym. To dlatego uciekają się do wymyślnych rytuałów albo upozowują ciała z myślą o tych, którzy je znajdują. Tak naprawdę pragną publiczności”.

BAR W PIWNICY, PÓŹNIEJ

JA

...Myślę, że nie chciał mnie skrzywdzić. Po prostu chciał się przekonać, jak daleko jestem gotowa się posunąć...

PATRICK

Był ciekaw, czy mu zaufasz?

JA

To ty ciągle używasz tego słowa.

PATRICK

Claire, niektórzy ludzie sądzą, że zabiłem żonę. Każdy, kto się do mnie zbliży, będzie musiał żyć w cieniu takiego podejrzenia. Dlatego zaufanie jest dla mnie bardzo ważne.

JA

A zabiłeś ją?

STOJĄCY W POBLIŻU VAN ZE SPRZĘTEM DO PROWADZENIA OBSERWACJI

Frank pochyla się w skupieniu. Kathryn nawet nie podnosi głowy – wie, że nie będzie aż tak łatwo.

BAR W PIWNICY

PATRICK

Oczywiście, że nie.

JA

Kochałeś ją?

PATRICK

Bardzo. Ale niestety w sposób, który nie zawsze uważała za miłość. I po jakimś czasie ta moja bezwarunkowa miłość zaczęła stanowić problem. Uwielbienie bywa trudne do zniesienia.

JA

Była twoją *Vénus Blanche*.

PATRICK

Chyba tak.

Przez chwilę mam wrażenie, że zamierza powiedzieć coś więcej.

PATRICK

Chyba powinniśmy się już pożegnać.

AMSTERDAM AVENUE, NOWY JORK, O ZMIERZCHU

PATRICK

Dziękuję. To był udany wieczór.

JA

Mówisz tak, jakbyś się tego nie spodziewał.

PATRICK

Jest bardzo niewielu ludzi, po których spodziewam się dobrego towarzystwa. I jeszcze mniej takich, którzy naprawdę są dobrym towarzystwem.

Gdy odchodzi, wołam za nim.

JA

Spotkamy się jeszcze, prawda?!

PATRICK

Przecież nadal masz mój tomik. Dobranoc, Claire.

W mieszkaniu zastaję uradowaną Kathryn.

– To dobry początek. Otworzył przed tobą drzwi. Tylko je uchylił, ale szczerze mówiąc, nie liczyłam na aż tak dużo. – Chodzi tam i z powrotem przepelniona nerwową energią. Wygląda na to, że stresowała się tym wieczorem bardziej, niż przypuszczałam.

Jeśli o mnie chodzi, padam wyczerpana na krzesło. Dotąd byłam zbyt skupiona, żeby się bać, ale teraz, gdy poziom adrenaliny opada, czuję obezwładniające zmęczenie. Jakbym rozegrała kilka meczów mentalnego tenisa.

Do tego dochodzi coś jeszcze: świadomość, że Patrick Fogler będzie znacznie większym wyzwaniem niż wszyscy mężczyźni, z którymi dotąd flirtowałam w hotelowych barach.

Frank podchodzi i przykuca obok mnie, żeby obejrzeć moją dłoń.

– Jutro wszystko będzie w porządku. Zostanie najwyżej ślad. Jezu. – Wstając, delikatnie ściska moje palce. – Dobra robota – dodaje cicho.

– Jeśli teraz się z tobą skontaktuje, nie odpowiadaj – mówi Kathryn. – Musimy się dobrze zastanowić, jak to rozegramy. Prawdopodobnie przez jakiś czas nie będziemy się odzywali, żeby nie nabrał zbytnej pewności siebie...

– Jesteś pewna, że takie gierki to dobry pomysł? – pytam.

Omiata mnie nieobecny spojrzeniem, jakby dopiero teraz zauważyła, że tu siedzę.

– Dobrze nam idzie, Claire. Powinnaś być z siebie dumna.

– Dumna!

– Tak. A czemu nie?

Wzruszam ramionami.

– Młody wykładowca, niedawno owdowiał, podejmuje niezbyt entuzjastyczną próbę przelecenia studentki, która wyraźnie dała mu do zrozumienia, że się w nim podkochuje. Jeśli to zbrodnia, to założę się, że każdy pedagog powinien siedzieć w więzieniu. Naprawdę, nic nie wskórałam.

– Wszystko, co tego wieczoru powiedział i zrobił, pozostaje spójne z moim profilem mordercy – oznajmia ostro Kathryn. – Frank, pokaż jej nagranie.

Frank włącza pilotem telewizor, po czym wybiera jakieś opcje z menu. Pojawia się niewyraźny obraz. Ja i Patrick siedzimy w słabo oświetlonym piwnicznym barze.

– Udało nam się umieścić kamerę na schodach – mówi. – Pięć po siódmej poszłaś do toalety. Zobacz, co zrobił wtedy Fogler.

Patrzę, jak znikam z kadru. Po chwili Patrick sięga nad stolikiem w stronę mojej torebki i przeszukuje ją, wyjmując po kolei moje rzeczy. Ogląda mój dowód osobisty i dotyka podszewki palcami. Wreszcie z niezmiennym wyrazem twarzy odkłada wszystko na swoje miejsce. Wsuwając do torebki moje perfumy, na chwilę zdejmuje zatyczkę, żeby ją powąchać.

– Chyba chciał mieć pewność, że nie jestem dziennikarką – mówię. – Wspomniał, że po śmierci Stelli wiele dziennikarek próbowało się do niego zbliżyć, żeby wyciągnąć z niego informacje.

– Możliwe – mówi Kathryn. – W każdym razie nie na darmo zadaliśmy sobie tyle trudu.

Moja legitymacja studencka ma znak wodny Columbii i prawdziwy numer.

– Teraz Fogler przypomina drapieżnika, który krąży wokół samotnej antylopy, zanim zadecyduje, czy warto za nią gonić – dodaje. – Nie trać czujności, Claire. Ani na chwilę.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfe1+S35Kag9hG3RCczNHK04gDn4S

A potem... nic.

Czekamy dwa tygodnie. A Patrick Fogler nie wykonuje żadnego ruchu.

– Domyślił się, że to pułapka. – Frank się martwi.

– Nie domyślił się – mówię. – Zauważyłabym.

– No więc dlaczego się nie odzywa?

– Może się rozmyślił. Albo może nie spodobałam mu się aż tak bardzo.

Frank spogląda na Kathryn.

– Powinniśmy zmienić plan? Może Claire powinna znowu nawiązać z nim kontakt?

Kathryn kręci głową.

– Czekamy. Zobaczymy, co się wydarzy.

– Przecież nic by się nie stało, gdybym znów zjawiała się na jego zajęciach – przekonuję. –

W końcu jestem zafascynowana Baudelaire'em.

– To absolutnie wykluczone. Grasz nieprzystępną, pamiętasz? Trzymajmy się planu.

Kathryn pozwala mi jednak dalej chodzić na lekcje gry aktorskiej. Przyznaje, że dzięki nim będę miała co robić.

Na następnych zajęciach Paul zapoznaje nas z maskami. Są to maski japońskie, tylko odrobina okrucieństwa odróżnia ich malowane rysy od karykatury. Ja dostaję maskę bezdomnego dziecka – zagubionej istotki o uśmiechu, który, choć przecież się nie zmienia, wydaje się to skwapliwy, to znów kokietyjny.

Paul mówi o maskach, jakby to one, a nie my, aktorzy, były prawdziwymi ludźmi. Gdy jeden ze studentów, włożywszy maskę starca, podchodzi od tyłu do studentki i trąca ją laską, Paul mówi:

– Ten stary drań zawsze tak robi.

Zamiast odgrywać razem scenę – nie ma otworów na oczy, więc ciągle wpadalibyśmy na siebie nawzajem – mamy ustawić się w szeregu naprzeciwko Paula. Historia opowiada o właścicielu ziemskim, który przychodzi na pole ryżowe i gwałci kobietę, bo jej rodziny nie stać na czynsz. Bogacz puka do wymagowanych drzwi – otwiera je stojące dalej w szeregu bezdomne dziecko. Gdy bogacz mnie atakuje, musi pokazać na migi swoją agresję, a ja, bezdomne dziecko stojące jakieś dwa metry od niego, muszę pokazać swój strach. Żadne z nas nie jest w stanie zobaczyć, co robi to drugie.

Nagle uświadamiam sobie, że płaczę. Nie wiem dlaczego – to równie gwałtowne i niewytłumaczalne jak krwotok z nosa. Przywykłam do tego, że włączam i wyłączam łzy na zawołanie, więc taki brak kontroli jest równie niepokojący, jak sam płacz.

Gdy scena dobiega końca, siadam, zdejmuję maskę i z trudem łapię powietrze. Paul podchodzi do mnie i przykuca, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Wszystko w porządku, Claire?

Kiwam głową, nie ufając swojemu głosowi.

– Czasami tak się dzieje – mówi cicho. – Kiedy za długo nosisz maskę, okazuje się, że przywarła do twojej skóry.

Mówi to z taką powagą, że znowu kiwam głową, nie będąc w stanie mu powiedzieć, że prawdziwa maska, prawdziwa scena, są gdzieś daleko od tej sali.

W czwartek czuję, że nie zniosę kolejnego dnia czekania.

Jadę metrem z centrum w stronę dworca przy Sto Szesnastej Ulicy. Uwielbiam tę część

Nowego Jorku – od zgiełku Times Square dzieli ją cały świat. Zieleń i klasycystyczne budynki kojarzą mi się z Anglią. Oraz oczywiście z dziesiątkami wspaniałych filmów, od *Pogromców duchów* po *Motyla Still Alice*.

Razem z innymi studentami wchodzę po schodach do Low Library, a potem odbijam w prawo do Buell Hall. Tam przebiegam wzrokiem po tablicy ogłoszeń. „Zajęcia Patricka J. Foglera *Estetyka dekadencji od de Sade’a do Baudelaire’a* odbywają się w południe”. Obok wisi napisana odręcznie notka: „W dniu dzisiejszym zajęcia poprowadzi dr Anne Ramane”.

– Przepraszam – mówię do kobiety, która wygląda na pracownicę uczelni. – Wie pani może, dlaczego profesor Fogler nie prowadzi dzisiejszych zajęć?

– Oczywiście. Pojechał do Europy na konferencję – mówi ta kobieta.

– Aha. Dziękuję.

A więc Patricka nie ma w mieście. Nic wielkiego się nie stało.

Zastanawiam się tylko, jak to możliwe, że detektyw Durban i doktor Latham o tym nie wiedzą.

– Przeoczenie – stwierdza lekceważąco Kathryn. – Wkrótce byśmy go namierzyli. Ważniejsze pytanie, Claire, brzmi: dlaczego postąpiłaś wbrew wyraźnym instrukcjom i poszłaś na jego wykład?

– Ktoś z nas powinien był w końcu coś zrobić – zauważam.

– Chcemy móc ci ufać...

– To dziwne, ale mówisz dokładnie tak jak on – wchodzę jej w słowo. – Jak ten twój „psychopata”. Poza tym zaufanie powinno działać w obie strony. Ja też muszę wiedzieć, że mogę na was polegać i że nie nawalicie.

Słyszając mój ton, Kathryn marszczy brwi.

– Claire ma rację – mówi Frank. – W końcu oczekujemy od niej, że będzie wykazywała inicjatywę w kontaktach z Patrickiem.

– Ktoś musi tu dowodzić – stwierdza chłodno Kathryn. – I z całą pewnością nie może to być Claire. Chyba zapomniała, jakie to niebezpieczne.

Albo może mam mniejszą obsesję niż ty – odpowiadam jej w myślach. – *Mniejszego fioła na punkcie kontroli.*

I właśnie zaczynam się nad czymś zastanawiać: skoro Kathryn popełniła błąd w sprawie tak błahej jak rozkład zajęć Patricka Foglera, to w czym jeszcze mogła się pomylić?

Ostatecznie Kathryn uznaje, że nieobecność Patricka można wykorzystać.

– Skoro jest daleko od ciebie, może będzie czuł potrzebę podzielenia się z tobą swoimi fantazjami.

– Niby dlaczego?

– Po pierwsze dlatego, że jeśli rzeczywiście jest mordercą, fantazje są dla niego niezwykle ważne: tylko nimi karmi się między jednym a drugim morderstwem. Po drugie dlatego, że będzie czerpał przyjemność z samego procesu poznawania cię: grania z tobą w gierki, droczenia się, wybierania tego, co ujawni i kiedy. Jeśli mam rację, to w miarę jak wasza zażyłość będzie się zwiększać, elementy jego fantazji będą coraz bardziej przypominały prawdziwe szczegóły morderstw. Czyli obrazy z poezji Baudelaire’a. Wyślemy do niego mejla. A raczej ty wyślesz. Tylko pamiętaj: bez zbytnej gorliwości.

Do: Patrick.Fogler@columbia.edu

Od: strangegirl667@gmail.com

Nasze spotkanie

Cześć, Patricku.

Chciałam tylko napisać, że brakowało mi Cię na wczorajszych zajęciach. Dr Ramane była świetna, ale nie może się z Tobą równać... Poza tym nie zaprosiła mnie potem na drinka.

Przepraszam, jeśli tamtego wieczoru zamęczałam cię zwierzeniami. Chyba po prostu po tej Twojej zabawie w zaufanie podniósł mi się poziom adrenaliny. Miło było Cię poznać. Może nasze drogi jeszcze się kiedyś skrzyżują.

Pozdrowienia

Claire

– Nie odpisze – prognozuje Frank.

– Jeśli jest mordercą, odpisze – mówi spokojnie Kathryn. – Jeśli jest mordercą, jej bezbronność zwabi go tak, jak zapach krwi zwabia rekina.

Do: strangegirl667@gmail.com

Od: Patrick.Fogler@columbia.edu

Re: Nasze spotkanie

Claire,

fajnie, że się odezwałaś. Może spotkamy się kiedyś po moim powrocie.

Patrick Fogler

Do: Patrick.Fogler@columbia.edu

Od: strangegirl667@gmail.com

Re: Nasze spotkanie

Poważnie?

Szczerze mówiąc, odniosłam wrażenie, że nie bardzo Ci się podobam.

Claire x

Do: strangegirl667@gmail.com

Od: Patrick.Fogler@columbia.edu

Re: Nasze spotkanie

Nie wiem, skąd przyszło Ci to do głowy. Skontaktowałbym się z Tobą wcześniej, ale nie miałoby to chyba wielkiego sensu, skoro byłem poza miastem.

Do: Patrick.Fogler@columbia.edu

Od: strangegirl667@gmail.com

Re: Nasze spotkanie

To bardzo konwencjonalne z Twojej strony... Jak postąpiłby Baudelaire?

Uwielbiam sobie wyobrazać, że jestem jego Białą Wenus i dostaję te wszystkie niezwykle wiersze. Ciekawe, czy wiedział, że podnieci ją to, co odważył się wymyślić.

Mówię „wyobrażać sobie”, ale w rzeczywistości byłam kiedyś w podobnej sytuacji i wiem, jakie to uczucie, gdy ktoś wpuszcza Cię do swojego umysłu. Cudowna sprawa.

To, co pisał dla mnie tamten mężczyzna, niektórzy pewnie nazwaliby pornografią. Ale dla mnie to piękne, szczere wiersze.

x

Długie oczekiwanie – trzy dni bez odpowiedzi. A potem bez ostrzeżenia:

Do: strangegirl667@gmail.com

Od: Patrick.Fogler@columbia.edu

Re: Nasze spotkanie

W takim razie być może załączony tekst uprzyjemni Ci czas, jaki pozostał do mojego powrotu.

<<dlaclaire.doc>>

– Tu jest wszystko. – Gdy Frank po raz trzeci czyta o fantazjach Foglera, po jego zazwyczaj pozbawionej wyrazu twarzy przemyka cień podekscytowania. – Jezu Chryste, tu jest wszystko.

Doktor Latham milczy. Słysząc tylko, jak stuka długopisem w usta.

– Dokładnie jak się spodziewałaś, prawda? – zwracam się do niej. – Napisał o tym wszystkim, o czym mówiłaś. O przemocy, bólu, kontroli...

Frank czyta na głos:

– „Piżmowy zapach twego podniecenia wypełnia pokój jak mdłe perfumy rzadkiego kwiatu, orchidei uwalniającej niebiańskie wonie, dopiero gdy zaczyna więdnąć i umierać...”. Ale to popieprzone, Kathryn.

Odgłos stukania ustaje.

– Mógł zajrzeć do księgarni i przepisać to z którejś z całej masy książek w dziale z beletrystyką dla dorosłych – stwierdza z ociąganiem Kathryn. – Jasne, trochę trąci to dewiacją, ale nie mogę powiedzieć z ręką na sercu, że coś takiego byłby w stanie napisać tylko morderca.

– Ale nie oczyścił się z podejrzeń.

Kathryn kręci głową.

– Nie.

– Więc co teraz zrobimy?

Doktor Latham odwraca się do mnie.

– Hamuje się. Musisz mu pokazać, że te klimaty są ci bliższe, niż mu się wydaje. Odpisz mu. Daj mu coś w podobnym guście, ale niech będzie mocniejsze.

– Chcesz, żebym napisała to sama? A nie mogłabyś...?

– Myślisz, że po co kazałam ci przeglądać te strony internetowe? Musisz to wyrazić własnymi słowami.

Siedząc przy laptopie, powtarzam sobie, że robiłam w życiu trudniejsze rzeczy, że kiedyś wyszłam na nowojorską ulicę i sprzedawałam przechodniom swetry z żyrafiej wełny.

Do: Patrick.Fogler@columbia.edu

Od: strangegirl667@gmail.com

Re: Nasze spotkanie

Drogi Patricku,

dziękuję za to, że podzieliłeś się ze mną swoimi fantazjami – podobały mi się, ale to, o czym piszesz, wydaje mi się dość ugrzecznione. Rzeczy, które lubię, czasami przerażają mnie swoją ekstremalnością – Boże, dlaczego piszę o tym zupełnie obcemu człowiekowi? Czasami patrzę na rzeczy, które mnie podniecają – na rzeczy, które budzą we mnie poczucie bezsilności, bezbronności i strach – i zastanawiam się, czy coś jest ze mną nie tak.

Piszę Ci o tym, bo myślę, że możesz mnie zrozumieć... ale teraz trochę się boję, że zrozumiesz mnie źle. Może lepiej byłoby się pożegnać, zanim popchnie nas to dalej.

Sama też coś napisałam. Daj znać, czy Ci się podoba.

Claire xx

<<dlaPatricka.doc>>

Do: strangegirl667@gmail.com

Od: Patrick.Fogler@columbia.edu

Re: Nasze spotkanie

Okazujesz się niezwykłą osobą, Claire.

Podobało mi się to, co dla mnie napisałaś, i nie mogę się doczekać, kiedy znów się spotkamy. Tymczasem być może znajdziesz w załączniku coś bardziej w swoim guście.

<<dlaclaire2.doc>>

W drugim pliku Patrick opisuje, jak zawiązałby mi przepaskę na oczy i zbił mnie pasem.

W trzecim tekście, który przychodzi zaledwie kilka godzin później, leżę na łóżku w świeżo wypranej pościeli otoczona świecami niczym ciało złożone na ołtarzu. „Sięgam po dwie świece, trzymam po jednej w każdej dłoni. Są grube i ciężkie jak gromnice. Płomienie przypominają ostrza włócznie: rozgrzane do białości, zwieńczone czarnym dymem, knoty otaczają coraz większe okrągłe kałuże przejrzystego stopionego wosku. Unoszę nad tobą pierwszą z tych świec i przechylam ją. Wzdrygasz się, ale nie krzyczysz. Wosk twardnieje na twojej skórze, nabierając mlecznej barwy, która przywodzi na myśl bliznę”.

W czwartym tekście opisuje, jak w pokoju hotelowym zaskakuje mnie bezwzględny tajemniczy незнаjomy, który przywiązuje mnie do łóżka, a potem dusi.

– Dobra robota – mówi doktor Latham, czytając mi przez ramię najnowszy tekst Patricka. – Zbieramy sporo materiału.

– Co dokładnie masz na myśli? – Frank marszczy brwi.

– Świece, krępowanie... I umieszczenie akcji w pokoju hotelowym. To wszystko w bardzo istotny sposób pokrywa się z morderstwem Stelli.

– Ale nie tylko morderca o tym wie – protestuje Frank. – Fogler nie wspomina na przykład o nożu. A adwokat powie, że wybrał pokój hotelowy być może dlatego, że pisał to właśnie w takim pokoju.

– Daj mu trochę czasu, Frank. Sądząc po sile tego przekazu, już teraz mogę powiedzieć, że Patrick Fogler ma upodobania seksualne podzielane jedynie przez część populacji. Pozwólmy, żeby się zaciskała się powoli. Kiedy w końcu się zamknie, będzie go trzymać jeszcze mocniej.

Do: Patrick.Fogler@columbia.edu

Od: strangegirl667@gmail.com

Re: Nasze spotkanie

Bardzo ładnie, Patricku. Zastanawiam się jednak, czy jesteś gotów posunąć się dalej.

Co do ponownego spotkania – cóż, zobaczymy. Przeżyłam już tyle zawodów. A raz... Raz, jak Ci wspomniałam, mężczyzna mnie nie zawiódł, ale ostatecznie było to jeszcze gorsze.

Pisz do mnie dalej, Patricku. Proszę.

Claire X

– Dzisiaj – mówi Kathryn – nauczymy się słuchać.

– Co?

– Powiedziała, że dzisiaj... – Urywa. – Aha. Ha, ha. Zabawne.

Minęło dziesięć dni, odkąd Patrick wyjechał do Europy – pięć od jego ostatniego mejla. Wiemy, że wrócił na Manhattan, ale odkąd poprosiłam, żeby pisał dalej, już się nie odezwał. Kathryn stara się znaleźć dla mnie jakieś zajęcie, lecz czuję, że robi to z nie większym przekonaniem niż ja. Wszyscy drepczemy w miejscu, czekając, aż Patrick znowu się ze mną skontaktuje.

– Tym razem – ciągnie Kathryn – pokażę ci podstawowe techniki neurolingwistyczne.

Wyświetla jakąś tabelę. Tabela jest podzielona na dwie kolumny: „ŹLE” i „DOBRZE”.

– Po pierwsze, oceny. Staraj się powstrzymać od formułowania ich. Mówienie „to obrzydliwe” albo nawet „to wspaniałe” jest mniej przydatne niż neutralna reakcja w rodzaju „rozumiem” albo „mów dalej”. I pamiętaj, że najskuteczniejszym przesłuchującym jest milczenie. – Milknie na chwilę. – Claire, jesteś jakaś rozkojarzona. Coś się stało?

Jęczę.

– Przerabialiśmy to wszystko w pierwszym tygodniu zajęć z aktorstwa. Tylko że my nazywamy to blokowaniem i przyjmowaniem.

Patrzy na mnie, marszcząc brwi.

– Claire, moja edukacja trwała siedem lat. Nie wydaje mi się, żeby kilka dni...

– Nie wydaje mi się, żeby kilka dni... – powtarzam, naśladowując ją tak dobrze, że Kathryn się rumieni.

– A tak przy okazji – mówi lodowatym tonem – musisz mi powiedzieć, kiedy będziesz miała okres. W tych dniach chyba nie powinniśmy planować żadnych działań operacyjnych. Jesteś wtedy zbyt humorzasta.

No, no. Nawet jak na Kathryn było to dość podłe. A w dodatku cyniczne. Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– No dobrze – mówi, wyrzucając ręce w górę. – Napisz do niego mejla. Poproś o spotkanie. Dłużej tak nie pociągniemy.

Jej facet jeszcze nie przyszedł.

Właśnie tak byście pomyśleli, gdybyście mnie teraz zobaczyli, siedzącą w tym pustawym barze w West Village, gdzie dokładam starań, żeby moja Virgin Mary starczyła na cały wieczór. Po prostu kolejna studentka czekająca na chłopaka, z którym się umówiła. Być może trochę bardziej wystrojona niż niektóre z obecnych tu kobiet.

– Witaj, Claire.

Zaskakuje mnie, wyłaniając się z mroku. Muszę się postarać, żeby odruchowo się nie wzdrygnąć. Pochyla się, żeby pocałować mnie w policzek, i przez chwilę, gdy jego bladezielone oczy przesuwają się po moich, jestem pewna, że widzą wszystko, wiedzą wszystko – że Patrick wyczuwa przewody przyklejone taśmą do mojej skóry i zdradę tkwiącą w moim sercu.

– Co pijesz? – pyta, opadając jak gdyby nigdy nic na siedzenie obok. Daje znak barmanowi.

– W zasadzie to nie będziemy tu dłużej siedzieli. Idziemy gdzieś indziej. Do innego baru. Marszczy brwi.

– Więc dlaczego nie umówiliśmy się w tamtym barze?

– To nie jest miejsce, w którym można się umawiać. Idziemy?

Niczego więcej nie wyjaśniam, dopóki nie jesteśmy już prawie u celu. Kathryn powiedziała, że to jedno z ostatnich tego typu miejsc z dawnych czasów, kiedy takie lokale jak Mineshaft i The Vault zrobiły z Nowego Jorku synonim erotycznych eksploracji.

W końcu się zatrzymuję.

– To tutaj.

Nie ma szyldu, jest tylko dzwonek. Schodzimy po schodach do małego holu, w którym nie ma niczego oprócz osoby witającej gości, mównicy i drzwi zasłoniętych kotarą. Hostessa z kolczykami w nosie patrzy na mnie z góry. Mam na sobie nowiutki żakiet od Prady, kupiony za drugą miesięczną wypłatę, więc trochę mnie to denerwuje.

Po dopełnieniu formalności związanych z członkostwem, podpisaniu kopii regulaminu i przejściu przez drzwi zaczynam rozumieć, dlaczego nie zrobiłam na niej wrażenia. Tutaj Prada znaczy niewiele.

W zasadzie wszystko, co zostało uszyte z tkaniny, znaczy tu niewiele. Do ulubionych materiałów bywalców tego lokalu należą: skóra, PVC, guma i folia spożywcza. A, i jeszcze ciało. Ciało cieszy się tu dużym powodzeniem. Zwłaszcza jeśli jest poprzebijane kolczykami, popisane albo wytatuowane.

Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, jest irracjonalna: *Jak, do diabła, wracają w tym potem do domu?*

Mija nas jakiś mężczyzna. Ma na sobie tylko skórzane spodnie i trzyma łańcuch. Łańcuch prowadzi do kółka osadzonego w sutku oszalałymi pięknej dziewczyny. Na jej piersiach ktoś napisał markerem słowo „NIEWOLNICA”.

Rozglądając się, zauważam skórzane maski, uprząże, dziwne kneble z piłkami golfowymi. Inny mężczyzna ma na głowie kaptur zakrywający całą twarz i oddycha przez rurkę. W tłumie pulsuje muzyka o tak głębokich, niskich tonach, że czuję ją w splocie słonecznym.

Na scenie dwaj mężczyźni z packami wymierzają klapsy kobiecie przywiązanej do ramy. Zebrała się niewielka grupka widzów. Ścianę za ramą pokrywają narzędzia starannie powieszona na kółkach jak w warsztacie stolarskim: zwoje sznura i skórzane pasy, kajdanki i zaciski,

wymyślne kańczugi i laski w stylu Charliego Chaplina.

Przyglądamy się temu przez chwilę. Wreszcie na jakiś ustalony wcześniej sygnał mężczyźni przestają wymierzać razy. Jeden z nich zmusza kobietę, żeby pocałowała packę, którą była bita, a drugi ją odwiązuje. Ludzie się rozchodzą, niektórzy z nich kierują się w stronę zaciemnionych bocznych pomieszczeń.

– Co chcesz teraz robić? – pytam Patricka. Muszę przekrzykiwać muzykę.

– Dowiedzieć się, gdzie sprzedają alkohol – mówi. – Najchętniej dobrego burgunda. I najchętniej gdzieś, gdzie będziemy się słyszeli.

– Jak ci się podobało? Tylko szczerze.

– Szczerze? – Patrick przygląda mi się znad krawędzi kieliszka. – Chyba byłem trochę zaskoczony, że się tam znalazłem. Potem zaintrygowany. A na koniec musiałem się powstrzymać od śmiechu.

– Od śmiechu? – powtarzam zdziwiona.

Wzrusza ramionami i się uśmiecha.

– To wszystko jest tak bardzo poważne, prawda? I jednocześnie absurdalne. Te nedorzeczne zasady dotyczące przyzwoleń i hasel bezpieczeństwa. A tak naprawdę jest tam nie bardziej niebezpiecznie niż podczas przejażdżki w Disney Worldzie.

– Aha.

– Ale doceniam szczerść, z jaką podzieliłaś się ze mną swoimi pragnieniami, Claire – dodaje. – Wprawdzie zabawy w uległość i kontrolę nie są w moim guście, ale potrafię zrozumieć, dlaczego inni je lubią.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie są w twoim guście? – pytam. – Przecież opisywałeś swoje fantazje.

Kręci głową.

– Jestem tłumaczem cudzych dzieł, kopistą. Potrafię wślizgnąć się w styl Baudelaire’a, Prousta albo nawet w styl pornosu z drogerii. Dla mnie nie ma między nimi różnicy. Tak naprawdę połowę przyjemności czerpię z przybierania nowej tożsamości, z wniknięcia w umysł drugiego człowieka. To nie znaczy, że naprawdę taki jestem.

– Więc nie... – Marszczę brwi. – Nie kręci cię sadomaso?

– Tylko w takim stopniu, w jakim sprawia przyjemność mojej partnerce. Sam nie jestem tym szczególnie zainteresowany.

– Więc dlaczego w ogóle zgodziłeś się pisać te teksty?

Uśmiecha się.

– Dlatego, że mnie o to poprosiłaś. A ja bardzo chciałem dać ci coś, co ci się spodoba. Poza tym lubię wiedzieć, co rajcuje ludzi. Pewnie dlatego, że jestem sierotą.

Wbijam w niego wzrok.

– Jesteś sierotą?

– Tak. – Wydaje się zaskoczony moją reakcją. – Ale należę do tych, którym się poszczęściło. Dobrze rozumiałem się z rodziną, w której mnie umieszczono. Czemu pytasz?

– Bo... – Mózg mi się lasuje. Pamiętam, że moja postać straciła rodzica, ale tylko jednego. Nie mogę zatem powiedzieć Patrickowi, że też byłam w rodzinie zastępczej. – Mój tata zmarł, kiedy miałam dziesięć lat – bąkam. – Z mamą nie jestem blisko. Ale wiem, że to nie to samo.

Kiwa głową.

– Może i nie. Ale wydawało mi się, że coś w tobie wyczuwam... rodzaj twardości połączonej z kruchością. Wyobcowanie... Trudno to wytłumaczyć. Ale kiedy czujesz to w sobie, uczysz się dostrzegać to w innych. W ludziach, którzy pragną kochać i być bezwarunkowo

kochani, ale kiedy już znajdą taką miłość, trudno im ją zaakceptować. W wyrzutkach marzących o intymności, szukających substytutu rodziny... Czasami wydaje mi się, że znajdujemy to w jakimś klubie albo w grupie. Może właśnie to przyciągnęło cię do fetyszystów, Claire. Może po prostu szukałaś innego zestawu wyrzutków, do którego mogłabyś należeć.

– Może – mówię, ale w myślach jeszcze raz analizuję jego słowa, zastępując „fetyszystów” „aktorami”.

Rozgryź mnie, Patricku.

– Sierotom towarzyszy uczucie, do którego z czasem przywykają – dodaje. – Jakbyś pływała nocą w oceanie i nagle zaczęła się zastanawiać, co jest pod tobą. Uświadamiasz sobie, że jeśli przestaniesz się poruszać, utoniesz... dlatego, że nic cię nie podtrzymuje. Jedyne ciemność i głęboka woda. Jesteś sama, zupełnie sama. Ich jest mnóstwo, a ty tylko jedna.

Wiem, Patricku. Wiem.

Mam wrażenie, że rozmawiamy godzinami. Już samo w sobie jest to dość dziwne. Zwykle, gdy rozmawiam z mężczyznami, zaczynają mnie podrywać – albo ja podrywam ich. W każdym razie rozmowa trwa najwyżej pół godziny. Zwykle gawędzenie o różnych sprawach – o poezji, Nowym Jorku, jego wycieczkach do Europy – to dla mnie nowość.

I mimo że staram się zachować zawodowy dystans, czuję do tego faceta sympatię. Jest inteligentny i oczytany, a choć wie o literaturze i sztuce zdecydowanie więcej niż ja, ani przez chwilę nie traktuje mnie z góry. Wydaje się szczerze zainteresowany tym, co mam do powiedzenia.

Muszę się bardzo starać, żeby nie zapomnieć o wplataniu w naszą rozmowę werbalnych przynęt Kathryn, oględnych odniesień do mojej mrocznej przeszłości, które rzekomo mają nakłonić Patricka do zwierzeń.

Oczywiście nie nakłaniają. Nie reaguje na żadne z nich, więc szybko daję sobie z nimi spokój.

Po wyjściu z baru Patrick nalega, żebyśmy wzięli razem taksówkę. Po drodze ma mnie zostawić przed moim blokiem. Mówi, że wschodni Harlem to nieprzyjemna okolica.

Odprowadza mnie do drzwi, a tam przyciąga do siebie i po raz pierwszy całuje. Wiedziałam, że to zrobi. I oczywiście też muszę go pocałować.

Tłumaczę sobie, że to tylko sceniczny pocałunek. Coś, co robiłam już setki razy. Że to nic nie znaczy. Twojej postaci jest dobrze w jego ramionach, podoba jej się ciężar jego klatki piersiowej, nacisk jego ust, świadomość, że wreszcie udało jej się przebić przez warstwy jego rezerwy i odkryła, że mu się podoba, tak jak on podoba się jej. Twojej postaci.

Nie tobie.

– Musimy być bardziej subtelni – mówi Kathryn.

Zjawili się kilka minut po tym, jak weszłam do mieszkania. Ale tym razem momentalnie rzuca się w oczy ich brak euforii.

– Na pewno będzie bardzo ostrożny – dodaje. – Skrytość stała się jego sposobem na życie.

– Niedawno twierdziłaś, że samotność skłoni go do podejmowania ryzyka – protestuję.

– To nie jest nauka ścisła, Claire.

– To w ogóle nie kojarzy się z nauką – mamroczę.

– Stawiamy hipotezę, a potem ją testujemy – mówi lakonicznie Kathryn. – Jeśli nie uda się jej potwierdzić, przechodzimy dalej.

– Ale nadal nie zrobił nic, co by go obciążało. – Po raz pierwszy słyszę w głosie Franka nutę frustracji.

– Zawsze mówiłam, że może się ukrywać w społeczności BDSM, ale było mało prawdopodobne, że do niej należy. Ostatnie wydarzenia w pewnym sensie to potwierdzają...

– Nie możemy zwrócić się do sędziego o nakaz, uzasadniając to tym, że nasz podejrzany wydaje się całkiem zwyczajnym gościem – mówi cierpko Frank. – Nic na niego nie mamy.

– To prawda – przyznaje Kathryn. – Jak na razie nie mamy nic.

Dlatego, że nie ma nic do znalezienia.

Ta świadomość uderza w mój mózg jak piorun.

Patrick jest niewinny.

Nie mówię tego na głos. Trochę dlatego, że Kathryn na pewno odparłaby, że nie jestem uprawniona do formułowania takich ocen. Ale trochę dlatego, że dopóki zachowuję tę świadomość dla siebie, jest moim sekretem, czymś, co mogę ścisnąć jak dziecięcy kocyk.

Tak jak chciałabym ścisnąć Patricka.

Zastanawiam się, czego będzie trzeba, żeby Kathryn i Frank zrozumieli, że to nie jest człowiek, którego szukają. I co zrobią, gdy wreszcie nadejdzie ta chwila. Czy zwyczajnie znikną z jego życia i będą oczekiwali, że ja zrobię to samo?

Uświadamiam sobie, że nie chcę, żeby ten dzień nadszedł. W każdym razie jeszcze nie teraz.

A może jest szansa, że ta historia rozegra się inaczej? Może tego dnia ja i Patrick będziemy mogli... Nie mam odwagi ubrać tej myśli w słowa.

Czy moglibyśmy zostać parą?

Wydaje się to prawie niemożliwe. Ale tak naprawdę żaden aspekt tej dziwnej sytuacji nie podlega normalnej logice.

Frank i Kathryn wychodzą, nadal się spierając. Ale ja mogę się już odprężyć. Tyle tylko, że to mieszkanie przyprawia mnie o klaustrofobię. Patrząc na jego ponury wystrój, uświadamiam sobie, jaki jest tandetny, jaki jednowymiarowy. Jak scenografia okropnej studenckiej produkcji, rodzaj przejaskrawionego monodramu, który obejmuje wydzieranie się na publiczność.

To nie jestem ja. I to nie jest Patrick.

Wąż, który jest chyba gatunkiem nocnym, zwija się w skomplikowane supły, pełząc wzdłuż ściany terrarium. Nie mam pojęcia, czy to samiec, czy samica, ale ostatnio zaczęłam nazywać go „Kathryn”.

Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Skoro już jestem wystrojona, wybieram się do klubu dla samego poczucia wolności towarzyszącego wejściu na parkiet i oddaniu się we władanie muzyki. Przy drzwiach przeciwpożarowych stoi dealer, który zgadza się sprzedać mi dwie piguły w cenie jednej, dlatego że jest dzień powszedni.

O trzeciej moje ciało jest zmęczone, ale umysł wciąż buzuje. Właśnie wtedy myślę o barze Harley, tym z motocyklami zawieszonymi pod sufitem. I o Brianie, barmanie z Australii, który zatyka ścierkę za pasek dżinsów i kończy pracę o trzeciej.

I rzeczywiście, gdy tam docieram, Brian właśnie zamyka. Nie muszę z nim długo flirtować, żeby zaprosił mnie do siebie.

Jednak z jakiegoś powodu tym razem cały ten „seks z nowo poznaną osobą” nie ma tej czarodziejskiej mocy co zwykle. Zamiast dać mi poczucie, że jestem śmiałą ryzykantką, wydaje się po prostu trochę bezsensowny.

Bo choć Brian mówi mi, że jestem piękna, fascynująca, przerażająca albo szalona, tak naprawdę pragnę słuchać takich słów od osoby, której teraz przy mnie nie ma.

Wracam do mieszkania tuż przed południem. Szczypią mnie oczy, a w ustach czuję coś przypominającego gąbkę, w jaką kwiaciarze wbijają łądygi kwiatów. Wchodzę do środka i stoję jak wryta, nie wierząc własnym oczom.

W ciągu nocy mieszkanie przeszło przemianę. Ściany mają delikatny kremowy kolor. Czaszki zwierząt i rekwizyty ze sklepu z artykułami używanymi zniknęły. Teraz stoją tu szwedzkie meble, sofy west elm, na ścianach wiszą tureckie kilimy. Nie ma też gitary i wzmacniacza, w wysokiej klasy głośnikach Sonos szepcze muzyka klasyczna. Zamiast heavymetalowych plakatów na ścianach wiszą reprodukcje w pobielonych drewnianych ramach. Na szklanym stoliku kawowym leży sterta albumów z reprodukcjami obrazów Georgii O’Keeffe i Toulouse-Lautreca.

I jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki wąż zmienił się w szylkretowego kota, który leniwie spogląda na mnie z sofy.

– Wabi się Augusta – mówi Kathryn, wychodząc z drugiego pokoju i widząc, jak drapie kota za uszami.

– Naprawdę?

– A co... myślisz, że kot potrzebuje fałszywego imienia? Oczywiście, że wabi się Augusta. Gdzie się podziewałaś?

– Potrzebowałam małej przerwy. – Wskazuję nowy wystrój. – Po co to wszystko?

Patrzy na mnie, zaciskając usta. Przez chwilę myślę, że zaraz na mnie nawrzeszczy, ale mówi tylko:

– Następnym razem nie zapomnij zabrać naszyjnika, dobrze? Musimy pilnować, żeby nic ci się nie stało.

– Wierz mi, wczoraj wieczorem mikrofon byłby nie na miejscu. Chyba że chciałaś, żeby detektyw Durban dostał zawału.

Ignoruje moje słowa.

– Odpowiadając na twoje pytanie: myślałam o tym, co mówiłaś. O Czarnej Wenus i Białej Wenus. Może powinnaś bardziej przypominać tę drugą: czystą, elegancką piękność, którą może bezcześnieść w swoich fantazjach.

– Zaraz, zaraz – mówię. – To poważna zmiana postaci. Muszę to przemyśleć...

– Nie myśl za długo. Patrick kupił dwa bilety do Booth na dzisiejszy wieczór.

– Na *Hedde Gabler*? – pytam ze zdziwieniem. Marzyłam o tym, żeby zobaczyć ten spektakl. Zdobycie biletu graniczy z cudem.

Kiwa głową.

– Przyjedzie po ciebie o siódmej, nagrał się na sekretarkę. Do tego czasu postaraj się trochę odpocząć. Mówię poważnie, Claire, wyglądasz okropnie.

Mówi, że podoba mu się moje mieszkanie. Właśnie tak je sobie wyobrażał. Bezpretensjonalne, ale urządzone ze znakomitym wyczuciem.

Lekki zapach farby tłumaczę tym, że niedawno robiłam remont.

Jedziemy taksówką do teatru, gdzie mijamy tablice z napisem „BILETY WYPRZEDANE” oraz kolejkę po zwroty. Zastanawiam się, jak, na litość boską, udało mu się zdobyć bilety. Ale przecież jest bogaty. Stella pochodziła z zamożnej rodziny. A ponieważ w chwili jej śmierci wciąż byli małżeństwem, Patrick odziedziczył wszystko co do centa.

Frank powiedział mi, że między innymi właśnie to wzbudziło podejrzliwość policji. Choć jeśli się zastanowić, brakuje w tym logiki. Trudno winić Patricka za to, że jego żona była bogata. A to, o co podejrzewa go Kathryn, nie ma żadnego związku z pieniędzmi.

Chcąc nie chcąc, znowu zaczynam myśleć o obsesji Kathryn na punkcie Patricka. Gdyby to był spektakl, dopadnięcie go byłoby jej „celem strategicznym” – takim terminem Stanisławski określał wszechogarniającą wewnętrzną potrzebę postaci, coś, co popycha ją do popełniania tragicznych w skutkach błędów.

Pozostaje mi mieć nadzieję, że w tym wypadku uświadomi sobie błędność swojego rozumowania, zanim będzie za późno.

Zachowuj się profesjonalnie – powtarzam sobie. – To tylko rola. Tylko gra.

Ale jeszcze zanim kończę tę myśl, uświadomiam sobie, że to przestało być prawdą. O ile kiedykolwiek nią było.

Patrick uwielbia teatr. Od razu to widać. Zachowuje się, jakby nagle ożył, chłonie otoczenie, ludzi na widowni, szmer wyczekiwania.

Mówi, że zawsze pociągała go iluzja, myśl, że jedna rzecz może reprezentować inną.

– Marzę o tym, by pewnego dnia napisać sztukę o Baudelaire i dwóch Wenus – mówi, gdy czekamy na rozpoczęcie przedstawienia. – Ich historia wydaje się stworzona do teatru. Oczywiście nie do takiego jak ten. To musiałby być teatr eksperymentalny, gotowy zmierzyć się z naprawdę prowokacyjnym materiałem.

– Jak byś to zrobił?

Zastanawia się.

– Prawdopodobnie zbudowałbym sztukę wokół procesu, który wytoczono Baudelaire’owi, kiedy *Kwiaty zła* zostały zakazane ze względu na obsceniczność. Uwielbiam dobre dramaty sądowe.

– Ja też.

– Naprawdę? – Spogląda na mnie z ukosa. – Najlepszy film sądowy?

– Łatwizna. I to wcale nie *Dwunastu gniewnych ludzi*, mimo że ten też wyreżyserował Sidney Lumet. To...

– *Werdykt* – kończy z uznaniem. – Według scenariusza Davida Mameta.

Kiwam głową.

– Ale moim ulubionym gatunkiem jest film noir. Zwłaszcza ten nowojorski. Jest taki film zatytułowany *Laura* z Gene Tierney w roli tytułowej...

– Widziałem go ze sto razy. Pamiętasz tę scenę, w której...

Gdy czekamy, aż zgasną światła, i rozmawiamy o swoich ulubionych filmach i sztukach, uświadomiam sobie, że ten wieczór prawdopodobnie zalicza się do moich najbardziej udanych randek. Oczywiście dopóki nie przypomnę sobie o mikrofonie i słuchaczach.

Dlatego nie przypominam sobie o nich. W każdym razie nie przypomina sobie o nich moja postać. Moja postać bawi się doskonale.

Pierwsza połowa sztuki jest jeszcze lepsza, niż przypuszczałam. Identyfikuję się z Heddą, kobietą, która robi przeróżne głupstwa, dlatego że jest znudzona codziennością, i stopniowo coraz bardziej się pograża, aż wreszcie zupełnie traci nad sobą kontrolę. Aktorzy są tak dobrzy, że w czasie przerwy nie mam ochoty nawet rozmawiać. Mam ochotę pozostać w bańce świata Ibsena aż do drugiej połowy.

– Pójdę po coś do picia – mówi Patrick, który wyczuwa mój nastrój.

Czekając, aż wróci, słyszę za sobą jadowity głos.

– Jasne, publiczność uwielbia tę całą aktorską przesadę. Tylko że kochana publiczność zupełnie nie zna się na rzeczy. O, witaj, Claire.

Próbuję czmychnąć, ale jest za późno. To aktor, Raoul jakiś tam. Przyjaciel przyjaciółki Jess.

– Skarbie, prawda, że ta sztuka to coś okropnego? – Nadstawia policzek, żebym go pocałowała.

– Mnie się podoba – mówię słabym głosem.

Właśnie w tej chwili wraca Patrick z dwoma plastikowymi kubeczkami z winem. Odstawia je na bok i pytająco patrzy na Raoula i jego przyjaciół, czekając, aż go przedstawię.

– Podoba ci się? Może jeśli od dłuższego czasu nie pracowało się na poważnie, traci się wycucie – szydzi Raoul.

– To jest Raoul – mówię z ociąganiem do Patricka. – Niedawno grał śpiewającego szczura w musicalu.

– W zasadzie to śpiewającą wiewiórkę – poprawia mnie Raoul. Mruży oczy. – A cóż to za niezwykle akcent, Claire? Zmieniłaś obywatelstwo w nadziei na jakąś rolę?

– Podobno druga część jest lepsza – mówię, żeby zmienić temat.

Ale skoro Raoul już zaczął, nie zamierza tak łatwo odpuścić.

– A jeśli już mowa o akcentach, niedawno widziałem tego smakowitego twarziela z baru Harley. Zdaje się, że należą ci się gratulacje... „Rany, wczoraj w nocy daliśmy z Claire niezłego czadu. Gdybyśmy pieprzyli się jeszcze mocniej, wyszedłbym z tego obrzezany”.

Doskonale naśladuje australijski akcent Briana. Jego przyjaciele śmieją się pochlebco. Patrick też chichocze.

Nagle podchodzi do Raoula, chwyta go za ramiona, jakby zamierzał pogratulować mu poczucia humoru, i wali go głową w nos. Raoul kurczy się jak marionetka i pada na podłogę. Jakaś kobieta za naszymi plecami wydaje z siebie zduszony okrzyk.

Raoul na kolanach powoli pochyla się nad dywanem. Z nosa kapie mu krew zmieszana ze śluzem.

– Chcesz zobaczyć drugą połowę? – pyta mnie spokojnie Patrick. – A może wolałabyś już iść?

– Nieprzyjemny typ – mówi, gdy wychodzimy na ulicę.

Pada letni deszczyk, ale Patrick chyba go nie zauważa.

– Aktorzy potrafią być podli – przyznaję drżącym głosem.

Ruszamy na zachód.

– A tak w ogóle, o co mu chodziło? – pyta Patrick, rozglądając się w poszukiwaniu taksówki.

– W którym momencie?

– Kiedy mówił, że nie pracujesz.

– Aha... – Wzruszam ramionami. – Kiedyś wpadłam na głupi pomysł, że mogłabym zostać aktorką. Raoul i jego przyjaciele szybko mi uświadomili, jak niemądre były te ambicje.

– Moim zdaniem to doskonały pomysł. Potrzebujesz czegoś, co wyznaczy kierunek twojemu życiu. I będziesz w tym dobra. Powinnaś sprawdzić ofertę Columbii. Są tam prywatne lekcje gry aktorskiej. – Pojawia się taksówka i Patrick zatrzymuje ją gestem. – Na wschodni Harlem – poleca kierowcy, przytrzymując dla mnie drzwi.

– Nie stać mnie na prywatne lekcje – mówię, gdy już siedzimy i taksówkarz włącza się do ruchu.

– Pożyczę ci pieniądze.

– Patrick, nie bądź śmieszny.

– Co w tym śmiesznego? Stać mnie na to. Potem napiszę swoją sztukę i będziesz mogła w niej zagrać.

– Nic o mnie nie wiesz. – Zaczyna mnie to denerwować. – Nic nie wiesz o nas. Mogłabym po prostu zniknąć z twoimi pieniędzmi... Mogłabym się okazać oszustką. Takie rzeczy się zdarzają.

– Ty oszustką? – Wydaje się rozbawiony. – Claire, myślę, że wiem o tobie wszystko, co potrzebuję wiedzieć. Pamiętasz? Zaufanie.

– Nad lekcjami się zastanowię – mamroczę. – Ale nie mogę przyjąć od ciebie pieniędzy.

Jedziemy w milczeniu.

– A jeśli chodzi o to, co Raoul powiedział o tym Australijczyku... – zaczynam.

– Nie jesteś mi winna żadnych wyjaśnień, Claire. Dopóki nie postanowisz, że chcesz być ze mną, to, z kim sypiasz, to wyłącznie twoja sprawa.

– Patrick, ale ja chcę ci to wyjaśnić.

I chcę, naprawdę chcę. Czuję wręcz nieodpartą potrzebę, żeby o wszystkim mu powiedzieć.

Bo jestem pewna, że gdy się dowie, że to wszystko jest tylko jakąś głupią prowokacją policyjną, poczuje się zdradzony. Że mnie znienawidzi. A zależy mi na tym, żeby Patrick mnie nie znienawidził.

Otwieram usta, żeby powiedzieć coś, dzięki czemu to wszystko się skończy. Żeby dać mu jakąś wskazówkę, ostrzeżenie albo obietnicę...

Potem myślę o Franku i Kathryn śledzących nas w nieoznakowanym vanie. Podśluchujących. Polegających na mnie.

Niechętnie i z wysiłkiem wracam do scenariusza.

– Chyba już ci wspominałam, że straciłam kogoś bliskiego.

– Tak. Swojego wykładowcę. Fairbanka.

– Ale nigdy ci nie mówiłam, jak umarł.

Kiwa głową.

– Czekałem, aż będziesz gotowa.

– Oprócz tego, że był moim wykładowcą, był żonaty. – Spoglądam na rozmazane mokre ulice za szybą taksówki. – Kiedy wydało się, co nas łączy, zwolnili go z pracy. Żona go zostawiła i oczywiście nie było szans, żeby znowu dostał posadę na uczelni. W końcu... – Biorę głęboki oddech. – To miał być pakt samobójczy. Ale zabrakło mi odwagi. I od tamtej pory wciąż mi jej brakuje.

Łzy płyną mi po policzkach. Nie do końca sztuczne. To łzy wstydu wywołanego kłamstwami, które opowiadam. Tandetnością tej głupiej historyjki.

Nagle kierowca hamuje i wciska klakson, gwałtownie zmieniając pas. Patrick obejmuje mnie ramieniem, żebym nie spadła z siedzenia. To miłe.

Mogłabym pokochać tego mężczyznę – uświadamiam sobie. – *A zamiast tego go okłamuję.*

– Dlatego rzuciłam studia i przyjechałam do Nowego Jorku – kończę. – Od tamtej pory czuję się jak ktoś, kto stoi na wysokiej trampolinie. Zbyt wystraszony, żeby skoczyć, zbyt zakłopotany, żeby zawrócić.

Patricku, mogłabym cię pokochać.

– Drań – mówi cicho Patrick. – Odrażający, tchórzliwy, wyrachowany drań. Już samo to, że cię uwiódł, jest wystarczająco okropne. Na myśl, że narzucał ci swoje żalodne fantazje erotyczne, krew gotuje mi się w żyłach, nawet jeśli twierdzisz, że to ci się podobało. Ale to, że na dodatek obarczył cię ciężarem swojego poczucia winy... to po prostu czyste tchórzostwo.

Patrzę na niego zdumiona.

– Naprawdę?

– Jaki człowiek robi takie rzeczy? Gdyby nie to, że już nie żyje, sam bym go zamordował.

Uśmiecha się i głaszcze mnie po policzku. Przed oczami wciąż mam Raoula skulonego na dywanie i nie wątpię, że Patrick mówi poważnie.

Przed moim blokiem Patrick wysiada z taksówki. Przez chwilę myślę, że ją odeśle, i serce podchodzi mi do gardła. On jednak pochyla się i mówi do kierowcy:

– Proszę chwilę poczekać.

– Więc nie wpraszasz się na górę – zauważam nieśmiało, gdy odprowadza mnie do drzwi. Przez moment mi się przygląda. W jego włosach połyskuje deszcz.

– Wspominałem ci kiedyś, jak skończył się związek Baudelaire'a z jego Białą Wenus?

Kręcę głową.

– Wiem, że się ze sobą przespali. I że ostatecznie nie byli razem.

Patrick potakuje.

– Powiedział jej, że woli ją pamiętać jako boginię niż jako kobietę.

Śmieję się.

– Musisz wiedzieć, że daleko mi do bogini. Jestem raczej jej przeciwieństwem.

– Chodzi mi o to, że seks może być próbą dla każdego związku. Jak powiedział Flaubert, przyjaciel Baudelaire'a, powinniśmy się wystrzegać dotykania idoli, bo pozłota może zostać nam na palcach. – Wyciąga rękę i zakłada mi za ucho zbłąkane pasemko włosów. – Więc jeśli nie wpraszasz się na górę, Claire, to nie dlatego, że nie chcę, tylko dlatego, że zaczekam, aż mnie zaprosisz. – Milknie na chwilę. Widząc, że nic nie mówię, uśmiecha się. – Więc na razie zadowolę się tym. – Pochyla się i całuje mnie.

Myślę, że gdybyśmy grali w filmie, byłaby to kulminacyjna scena, chwila, w której kamera unosi się i oddala, i zaczynają płynąć napisy. Kochankowie całujący się wieczorem

w Nowym Jorku. Deszcz sprawia, że wszystko lśni, wydaje się nowe i jak z filmu: światła miasta, czekająca żółta taksówka, ckliwa muzyka wydobywająca się z radia. Kobieta wtulona w ciało mężczyzny, całująca go coraz głębiej. *Pragnę cię.*

– Słuchajcie, kiedy pracowałam dla Henry’ego, potrafiłam w ciągu mniej więcej pięciu minut skłonić każdego faceta, żeby zrobił albo powiedział, co tylko chciałam – mówię. – Ale Patrick nadal nie zrobił niczego, co by go obciążało.

– Claire ma rację – mówi cicho Frank.

Jest rano następnego dnia i debatujemy nad tym, co dalej. Frank wydaje się zmęczony. Napięcie związane z obserwacją daje mu się we znaki. Tylko Kathryn kipi niespokojną energią, jak terier niemogący się doczekać, by pognać za zdobyczą.

Wzrusza ramionami.

– Nigdy nie mówiłam, że pójdzie szybko. Albo łatwo.

– Ale mówiłaś, że coś znajdziemy – przypominam. – A jeśli nie znajdziemy, zakończymy operację.

– Nie zamierzałam jej zakończyć po zaledwie kilku spotkaniach. Jeśli teraz zrezygnujemy, nigdy się nie dowiemy, czy odrobina cierpliwości nie przyniosłaby nam sukcesu. – Spogląda na Franka. – Frank, pracowałam nad tymi morderstwami przez siedem lat. Nad morderstwami co najmniej ośmiu kobiet. Nie odpuszczę sobie teraz tylko dlatego, że aktorkę obleciał strach. – Ton, jakim wypowiada słowo „aktorkę”, ocieka pogardą.

– Wcale nie obleciał mnie strach – odparowuję. – Po prostu nie wiem, czego chcemy dowieść. Albo co jeszcze moglibyśmy zrobić.

– Coś wymyślę.

– Będę musiała się z nim przespać, prawda? – pytam.

Reagują jednocześnie.

FRANK DURBAN

Nie ma mowy!

KATHRYN LATHAM

Wykluczone.

JA

Taką dał mi wskazówkę, kiedy mówił o tym, jak Baudelaire przespał się z Białą Wenus. Powiedział, że to był rodzaj sprawdzianu. Chyba miał na myśli to, że właśnie wtedy poznam prawdziwego Patricka Foglera.

KATHRYN

Ja zrozumiałam to inaczej.

FRANK

To przekroczenie granicy. Między pułapką psychologiczną a uwiedzeniem w celu zwabienia w pułpkę.

JA

Ale dzięki temu poznalibyśmy prawdę. Wiedzielibyśmy, czy jest mordercą... czy po prostu miłym facetem zrozpaczonym po śmierci żony.

Przez chwilę Kathryn wpatruje się we mnie bez słowa.

KATHRYN

Mój Boże... ty myślisz, że on jest niewinny, prawda? Naprawdę wierzysz w każde jego słowo! Claire, jako twoja prowadząca...

JA

Moja prowadząca? Nie jestem pieprzonym psem!

KATHRYN

Jako twoja prowadząca zapowiadam ci, że w chwili gdy uznam, że zaczynasz wierzyć we własne kłamstwa, zakończę tę operację. A jeśli chodzi o przespanie się z nim – nawet o tym nie myśl.

Przez moment patrzymy na siebie z wściekłością, czekając, aż mrugnie ta druga.

JA

Pierdol się.

Wchodzę do sypialni i zatrząskuję za sobą drzwi. Dobiega mnie zza nich głos Franka.

FRANK

Gwiazdorski temperament. Chyba powinienem z nią porozmawiać.

KATHRYN

Owinęła sobie ciebie wokół małego palca, prawda?

MIESZKANIE, SYPIALNIA

Podsluchuję przez zamknięte drzwi.

GŁOS FRANKA

Co to miało znaczyć?

GŁOS KATHRYN

Daj spokój, Frank. Ona potrafi doskonale manipulować takimi facetami jak ty. Robi to przez całe życie.

Podchodzę do lustra i wpatruję się w swoje odbicie. Moja postać patrzy na mnie z tafli lustra, nie mrugając. Dotyka naszyjnika z mikrofonem. Wyobrażam sobie, jak zrywa go z szyi jednym gwałtownym, zamaszystym ruchem. Jak się odwraca i rzuca nim o ścianę, a on rozpryskuje się na kawałki. Jak krzyczy, że źle oceniliśmy Patricka. Że jest mordercą w równym stopniu jak Frank. Byłaby z tego piękna scena. Bardzo satysfakcjonująca. Bardzo adekwatna. Ale tego nie robię.

Tego samego dnia wieczorem spaceruję ulicami Nowego Jorku i rozmyślam.

Pamiętam, jak musiałam wystąpić w scenie erotycznej do *Tumultu*. Reżyser omówił z nami szczegóły, przeciwczyliśmy to w ubraniu i przy mniejszej ekipie, żebyśmy czuli się swobodniej. Jak na ironię, wtedy już sypiałam z Laurence'em.

Chciałam potraktować to jak wyzwanie i zrobić to w filmie na poważnie, ale Laurence się nie zgodził. Mimo to po nakręceniu tej sceny zaczęły krążyć plotki o niezwykłej chemii, jaka jest między nami na ekranie. Laurence stał się nerwowy. W zasadzie – uświadamiam sobie teraz – może to wcale nie był przypadek, że wkrótce zjawiała się jego żona z dziećmi. Może w ten tchórzliwy sposób chciał się wycofać z naszego związku. Szukał sposobu, żeby miło spędzić czas w obcym kraju, a nastoletnia Brytyjka, którą sobie wybrał, za bardzo się do niego przykleiła i nie potrafiła nad sobą zapanować.

Nie miałam oporów przed rozebraniem się przed kamerą. Wręcz przeciwnie. W porównaniu z Danielem Day-Lewisem, który jeździł na wózku, przygotowując się do roli paraplegika, to była pestka. Dowodziło to jednak, że jestem zaangażowana, że poświęciłabym dla tej roli wszystko.

Z tego samego powodu jakoś nie trafiają do mnie argumenty Kathryn przeciwko temu, żebym przespała się z Patrickiem. Od początku wiedziała, że on mi się podoba, i z całą bezwzględnością wykorzystywała to w swojej operacji. Przecież nie może ustawić sytuacji tak, jak ją ustawiła, a potem biadolić, że zmierza ona do seksu.

Nie, waham się przede wszystkim dlatego, że mam okropne poczucie, że jeśli jednak prześpię się z Patrickiem, jego uczucia do mnie jeszcze się pogłębią. Że ostatecznie jeszcze bardziej owinę go siecią doktor Latham.

Poza tym czuję, że naprawdę nie powinniśmy dzielić swojej pierwszej wspólnej nocy z Frankiem, Kathryn i kilkunastoma maleńkimi kamerami.

W mojej głowie pobrzmiwa jednak wiele głosów i nie wszystkie się z tym zgadzają.

KATHRYN LATHAM

To w twoim stylu, Claire. Tracisz z oczu różnicę między scenariuszem a rzeczywistością. To dlatego muszę ci mówić, co masz robić.

MARCIE

Już raz zachowałeś się nieprofesjonalnie i spieprzyło ci to karierę. A teraz, proszę, znowu popełniasz ten sam głupi błąd – zakochujesz się w partnerze z planu. Nie chcę cię dłużej reprezentować.

FRANK DURBAN

Claire, pamiętasz, co powiedziała Kathryn? To przypomina rozbrajanie bomby. Dotkniesz niewłaściwego kabelka i... bum!

Myślę jednak, że nawet gdy saperzy znajdą podejrzany pakunek, nie zawsze zawracają sobie głowę majstrowaniem przy kabelkach. Czasami po prostu wkraczają do akcji i wysadzają go w powietrze. Często najsmielsze rozwiązania okazują się najlepsze.

W jednej sprawie Kathryn z całą pewnością ma rację: za bardzo się w to zaangażowałam. Nie przypuszczałam, że tak będzie. Patrząc na to z perspektywy czasu, nie jestem nawet w stanie określić, kiedy zaczęłam zmieniać front.

Jeśli jednak się wycofam, stracę Patricka – a nie chcę, żeby tak się stało.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfe1+S35Kag9hG3RCczNHK04gDn4S

BAR W PIWNICY, WIECZOREM

Wracamy z Patrickiem do tego samego oświetlonego świecami baru, w którym byliśmy pierwszego wieczoru. Pijemy drugą butelkę wina.

JA

Stellę też?

PATRICK

Kochałem ją. Przecież byliśmy małżeństwem przez cztery lata. Jednak teraz... nie jest mi smutno, że nie żyje. To niezbyt miłe z mojej strony, prawda? Ale mówię szczerze. Bo gdyby nie jej śmierć, nie siedziałbym tu teraz z tobą.

JA

Nie zastanawiasz się czasami, kto ją zabił?

PATRICK

Bez przerwy. Ale policja jest tak niekompetentna, że wątpię, czy kiedykolwiek się tego dowiemy.

Wyjmuje jakieś pudełeczko – wąskie, prostokątne – i kładzie je na stoliku.

PATRICK

Otwórz.

Robię to. W środku jest naszyjnik – wspaniały, misternie zdobiony celtycki torque wykonany ze srebra.

JA

Piękny.

Nagle coś sobie uświadamiam.

JA

Należał do niej?

PATRICK

Czasami go nosiła. Teraz jest twój. Załóż go.

JA

Ale... Boże, Patrick, on musi być wart fortunę.

PATRICK

Dlatego chcę, żebyś go wzięła. Nie będziesz miała nic przeciwko zdjęciu tego, który zwykle nosisz?

JA

Mówisz o tym?

Dotykam połączanego szkaradztwa, które dał mi Frank.

JA

Wierz mi, wcale się nie przejmę, jeśli nigdy więcej go nie zobaczę.

Ale po chwili zaczynam się wahać. Czy zdjęcie mikrofonu oznacza, że nie będą nas słyszeli? A może ten sprzęt jest wystarczająco czuły, żeby wychwytywał nasze słowa, leżąc w mojej torebce?

Patrick błędnie interpretuje moje wahanie.

PATRICK

Chcę, żebyś go nosiła, Claire.

Podjęmuję decyzję.

JA

Pomożesz mi go zapiąć?

Pochylam głowę, obnażając przed nim kark. Gdy zapina naszyjnik, podejmuję następną decyzję.

JA

Możemy pójść do ciebie? Dziś wieczorem.

PATRICK

Dlaczego? Przecież do ciebie jest bliżej.

VAN ZE SPRZĘTEM DO PROWADZENIA OBSERWACJI, NOCĄ

Frank, krzywiąc się, majstruje przy pokrętlach, żeby wydobyć dźwięk z mikrofonu, stłumiony przez moją torebkę.

MOJ GŁOS

(niewyraźnie)

W swoim nie czuję się swobodnie.

FRANK DURBAN

(pod nosem)

Niech to szlag!

Z łatwością wyobrażam sobie tę scenę. I odkrywam, że wcale mnie to nie obchodzi.

MIESZKANIE PATRICKA, NOCĄ

Patrick mieszka w pięknym nowoczesnym apartamencie z widokiem na katedrę w Morningside Heights. Pełno w nim tureckich dywanów, książek i europejskich dzieł sztuki. Przechadzam się po pokojach, podziwiając to wszystko, a on przygotowuje drinki.

Wiem, że najpierw powinnam to omówić z Frankiem i Kathryn. Ale nie chcę. Chcę zrobić to teraz, natychmiast: podjąć zobowiązanie, skoczyć, zanim spojrzę.

Nie myśl. Graj.

Patrick się odwraca – i widzi, że rozpinam koszulę. Zdejmuję stanik.

PATRICK

Myślałem, że nie jesteś na to gotowa.

JA

Też tak myślałam.

Podchodzę do niego.

JA

(szepem)

Rób ze mną, co chcesz.

PATRICK

(z namysłem)

Och, zrobię.

Wsuwa dłoń pod moją koszulę, dotyka mojej piersi, potem delikatnie pociąga za sutek, a ja wydaję z siebie zduszony okrzyk. Pociąga mocniej, zmuszając mnie, żebym poszła za nim do sypialni.

MIESZKANIE PATRICKA, SYPIALNIA

PATRICK

Chcę tego, Claire.

Całuje mnie delikatnie.

MIESZKANIE PATRICKA, SYPIALNIA, TROCHĘ PÓŹNIEJ

Kochamy się na łóżku. Namiętnie, gwałtownie – ale z czułością, bez cienia przemocy.

– To było niewiarygodnie głupie. A przede wszystkim ryzykowne – wścieka się Kathryn, gdy tylko zaczynam otwierać drzwi do mieszkania.

Frank ma twarz poszarzałą ze zmęczenia. Najwyraźniej czekali na mnie całą noc.

– Dzień dobry – odpowiadam uprzejmie. – Jak się spało, Claire? Dziękuję, doskonale. W każdym razie wszystko było w porządku, prawda? A to kolejny dowód na to, że się pomyliłaś.

– Myślisz, że psychopata nie może uprawiać zwyczajnego seksu? W ogóle nie słuchałaś, co do ciebie mówiłam?

– Psychopata? Serio? Bo nic, co zrobił ostatniej nocy...

– Przecież nie przyzna się do winy, kiedy ma usta zatkane twoją cipą – warczy.

Nie zamierzam puścić jej tego płazem.

– Pani doktor, czyżbym słyszała nutkę zazdrości?

– Drogie panie – odzywa się zdesperowany Frank. – Proszę.

Kathryn bierze głęboki wdech.

– Racja. Stało się. Pytanie brzmi, co wyniesiemy z tej sytuacji.

– Co proponujesz? – pyta Frank.

Kathryn zastanawia się przez chwilę.

– Następnym razem musisz go nakłonić, żeby zrobił ci krzywdę – mówi do mnie. – Powiedz mu, że bardzo tego pragniesz. To powinno wystawić na próbę jego samokontrolę.

– Na litość boską...

– I wtedy będę zazdrosna. Szczerze mówiąc, spuszczenie ci porządnego manta sprawiłoby mi wielką przyjemność.

– Od kiedy masz taką paranoję? – pytam ją, podnosząc głos. – Od kiedy jesteś taka nieufna?

Ostentacyjnie wzdycha.

– Och, Claire. Dorośnij. Nie jesteś już nastolatką walczącą z rodzicami zastępczymi. To się dzieje naprawdę.

– On nie jest mordercą – upieram się. – Nie rozumiesz... to ty masz obsesję. To ty nie potrafisz spojrzeć dalej niż czubek swojego nosa. To ty bez końca próbujesz przekreślać fakty, żeby pasowały do twojej głupiej teorii. Twoja teza, że morderstwa są inspirowane wierszami, jest tak naciągana, że aż śmieszna. A co do tych bzdur na temat tak zwanej dewiacji seksualnej, mam wrażenie, że żyjesz w innym stuleciu. Ludzie czasami eksperymentują, pogódź się z tym. Patrick to jeden z najczulszych, najtaktowniejszych mężczyzn, z jakimi spałam.

– No cóż, może i nie mam tak bogatego doświadczenia jak ty – odparowuje – ale tak się składa, że od lat zgłębiam osobowość seryjnych morderców. Przez całe życie udają, że są normalni. Są w tym mistrzami, robią to na okrągło. Większość z tych, których poznałam, to lepsi aktorzy, niż ty kiedykolwiek będziesz.

– Pierdol się – mówię z wściekłością, rzucając się na nią.

Frank bez wysiłku podnosi rękę, zagradzając mi drogę.

– Chyba przesadziłaś, Kathryn – mamrocze.

Doktor Latham nie zwraca na niego uwagi. Świdruje mnie wzrokiem, jakby rzucała mi wyzwanie.

– Wezmę prysznic – mówię lodowatym tonem. – Chciałabym, żebyście już sobie poszli. – Odwracam się i wchodzę do łazienki, nie oglądając się za siebie.

Jednak następnego dnia wieczorem, gdy znowu jestem z Patrickiem i rozbieramy się nawzajem, nagle wyjmuję pasek z jego spodni i podaję mu go.

– Jeśli chcesz, możesz mnie zbić – mówię nieśmiało.

Bierze pasek i rozprostowuje go, sprawdzając jego giętkość.

– A jeśli nie chcę? Czy to do przyjęcia?

– Oczywiście.

– Więc wybieram ten wariant. – Odrzuca pasek na bok.

– Patrick... – zaczynam.

– Tak?

– A gdybym ci powiedziała, że tak naprawdę nigdy mnie to nie kręciło? Że po prostu próbowałam... bo ja wiem, zaszokować cię albo coś?

Uśmiecha się.

– Podziękowałbym ci za to, że teraz jesteś ze mną szczerą. A naprawdę próbowałaś mnie zaszokować?

– Coś w tym rodzaju – mamroczę. – Chyba chciałam zrobić na tobie wrażenie.

– Claire Wright, jesteś urocza, wiesz o tym?

– Wierzysz w przeznaczenie?

– W jakie przeznaczenie?

– W takie, według którego wszystko, co obydwójce zrobiliśmy, żeby dotrzeć do tego punktu, nie ma znaczenia. Było tylko czymś, co musiało się wydarzyć. Teraz jesteśmy tutaj. I tylko to się liczy. Bo od początku miało tak być.

Kręci głową, nadal się uśmiecha.

– Nie, w takie przeznaczenie nie wierzę. To tylko zbieg okoliczności. Któremu oczywiście będę dozgonnie wdzięczny za to, że nas ze sobą połączył.

Później leżymy spleceni ze sobą na podłodze, dzieląc się winem wśród porzucanych ubrań.

– Claire... Muszę ci o czymś powiedzieć – zaczyna cicho. – O czymś ważnym... Pamiętasz, jak niedawno rozmawialiśmy o Stelli?

Mimowolnie zastygam. Po chwili dają o sobie znać wszystkie przerobione ćwiczenia relaksacyjne i siła koncentracji.

– Tak? – mówię najzwyczajniejszym głosem, jaki jestem w stanie z siebie wydobyć.

Z zaciekawieniem dotyka mojego sutka, ścisza go delikatnie, przesuwając tu i tam, jakby to było radio, które musi precyzyjnie nastawić na trudno uchwytną częstotliwość.

– Jeśli śmierć Stelli cokolwiek mnie nauczyła, to na pewno tego, że tajemnice są okropne.

O nie.

– Masz jakąś tajemnicę, Patricku?

Kieruję to pytanie do niego, lecz także do mikrofonu w swojej torebce, która leży zaledwie kilka kroków dalej.

– Tak – mówi. – Tylko jedną. Muszę ci ją wyznać.

Sposób, w jaki to mówi, bardzo poważny i pełen wahania, uświadamia mi, że chodzi o coś ważnego, o coś, co naprawdę ma znaczenie. Wydaje się wręcz zdenerwowany. A Patrick nigdy się nie denerwuje.

Czy ostatecznie Kathryn miała rację? Czy byłam w błędzie?

Czekam, tak jak mnie uczono. „Najskuteczniejszym przesłuchującym jest milczenie”.
Serce łomocze mi w klatce piersiowej. Patrick na pewno wyczuwa to pod opuszkami palców.

– Chyba się w tobie zakochuję – mówi.

– Dzisiaj będziemy pracować z dwoma z najważniejszych narzędzi w aktorskim repertuarze: z pamięcią zmysłową i pamięcią afektywną. Z biegiem lat zwłaszcza tę drugą spowiła w naszej profesji pewna aura tajemniczości. Tak naprawdę chodzi jednak o zwyczajne sięgnięcie do przeszłości, przypomnienie sobie jakiejś emocji albo zdarzenia i wskrzeszenie ich, by przelać ich prawdziwość do odgrywanej roli. Pozwólcie, że podam wam przykład, który pokaże, dlaczego powinniśmy zgłębić ten temat.

Paul wybiera Leona, wysokiego, tyczkowego chłopaka ze środkowego zachodu, i prosi go, by zagrał człowieka, który zgubił portfel. Wszyscy patrzymy, jak Leon, który nie należy do najbardziej utalentowanych studentów w grupie, poklepuje się po kieszeniach, robi zmartwioną minę, a po chwili zaczyna wykonywać coraz bardziej rozpaczliwe gesty, aż w końcu prawie rwie sobie włosy z głowy.

– W porządku – mówi w końcu Paul. – A teraz spróbujmy czegoś innego. Leon, kiedy jakiś czas temu wieszaleś kurtkę na wieszaku, wyjąłem z kieszeni twój portfel i schowałem go gdzieś w tej sali. Nie zamierzam ci go oddać. Sam musisz go znaleźć.

Leon gwałtownie mruga.

– W tym portfelu jest moja karta na metro.

– Wiem – mówi Paul. – A oprócz niej jakieś osiemdziesiąt dolarów. I zdjęcie twojej dziewczyny. I twoje karty kredytowe. Lepiej zacznij go szukać.

– Cholera – mówi z niedowierzaniem Leon.

Wyraźnie poirytowany podchodzi do stolików z boku sali i zaczyna przetrząsać nasze torby, wyrzucając ich zawartość na podłogę. Jego szyja robi się czerwona z wściekłości.

Powoli zaczyna zdawać sobie sprawę, że to nie będzie takie proste, i jego poszukiwania stają się bardziej metodyczne. Od czasu do czasu odwraca się i rzuca Paulowi nienawistne spojrzenia.

– W porządku – mówi Paul. – Wystarczy. – Sięga do kieszeni i wyjmuje portfel Leona. – Proszę.

– Co to ma, kurwa...? – zaczyna Leon.

Paul zupełnie go ignoruje.

– Nie muszę wam mówić, który z tych występów był bardziej realistyczny – zwraca się do nas. – Ale dlaczego? Przede wszystkim oczywiście dlatego, że tylko gdy wyobraźnia naprawdę wierzy w prawdziwość sytuacji, ta prawda może zostać przekazana publiczności. Ale to nie jedyny powód. Za drugim razem wszyscy czuliśmy, że Leon ma cel, że dąży do czegoś konkretnego, dlatego towarzyszyły temu emocje. Wiedział, że jeśli nie znajdzie portfela, będzie musiał wracać do domu piechotą. I wszyscy czuli, jaki jest na mnie zły, że manipuluję nim tylko po to, by zademonstrować coś reszcie grupy.

Kilka osób się śmieje.

– Wal się – warczy Leon.

Zapada złowróżbne milczenie. Paul odwraca się w stronę Leona.

– Co powiedziałeś?

Teraz także twarz Leona się zaczerwieniła.

– Wal się. I te twoje pieprzone gierki też mogą się walić. Dla ciebie to wszystko to tylko demonstracja siły. Masz swoich pupili i powtarzasz im, że są cudowni. Na przykład ją. – Wymierza we mnie palec. – Reszty z nas równie dobrze mogłoby tu nie być.

– Ciebie też bym chwalił, gdybyś wkładał w to choć odrobinę wysiłku – odpowiada ze spokojem Paul. – Ale nie wkładasz. Dla ciebie to tylko jedno z wielu zajęć, prawda? Kolejny stopień potrzebny do uzyskania dyplomu.

– I tak zdobędę lepszą pracę niż ty – szydzi Leon. – Skoro jesteś taki wspaniały, dlaczego nie stałeś się sławny? Jak to mówią: ci, którzy nie potrafią czegoś robić, uczą tego innych. – Bierze swoją kurtkę. – Wal się. Ja się wypisuję.

– Dobrze – mówi Paul po jego wyjściu. – Na takich zajęciach jak te nie potrzebujemy drewna. Josh, może teraz ty nam pokażesz, jak szukasz kluczy?

Później Paul wyjaśnia, jak należy się zrelaksować przed przypomnieniem sobie sytuacji mającej silny ładunek sensoryczny.

Zaczyna od łatwych przykładów. Od sytuacji, w której zjedliśmy coś naprawdę smacznego. I od takiej, w której się czymś zatruliśmy.

Zamykam oczy i przypominam sobie śniadanie, które zjadłam dwa miesiące temu. Całą noc byłam poza domem, od rana nic nie jadłam i choć w zasadzie nie było mnie na to stać, zapach smażonego bekonu zwabił mnie do lokalnego baru. Wyobrażam sobie, jak siedzę w boksie, czując pod nogami ciepło skórzanej kanapy. Trzymam w dłoni masywny biały kubek z parującą kawą, a kelnerka stawia przede mną talerz z wciąż wilgotnymi jajkami w koszulce i z chrupiącym, kruchutkim bekonem...

Cieknie mi ślinka. O to chodzi, powiedział nam Paul. Gdy ciało wam mówi, że to jest prawdziwe, to jest prawdziwe.

Potem wracam myślami do dnia, w którym tuż przed zamknięciem sklepu kupiłam trochę przegrzebków z wyprzedaży i zapomniałam włożyć je do lodówki. Mimo to następnego dnia je zjadłam i już po kilku sekundach wiedziałam, że nie powinnam była tego robić. Czuję, jak zbiera mi się na wymioty.

– Okej – mówi w końcu Paul. – A teraz dodajmy do tego emocje. Zaczniemy od szczęścia.

To oczywiście łatwizna. Wystarczy, że pomyślę o ostatniej nocy, i na mojej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

„Ja też, Patricku. Też się w tobie zakochuję”.

Uświadamiam sobie, że szukałam tego od dziecka. Bezwarunkowej miłości. Całkowitej akceptacji.

W związku, który najprawdopodobniej nie ma przyszłości. Ale o tym nie zamierzam myśleć. Nie zamierzam.

Skup się na szczęściu.

– Dobrze, Claire – mówi Paul, przechodząc obok mnie. – Bardzo dobrze.

Po zajęciach Paul odciąga mnie na bok.

– Jeśli chodzi o to, co powiedział Leon – zaczyna – możliwe, że miał trochę racji. Rzeczywiście dostrzegam w tobie talent, Claire.

Zaczynam bąkać podziękowania, ale on podnosi rękę, uciszając mnie.

– Widzę jednak także coś, co widywałem już u niektórych studentów: tendencję do polegania na tym talencie. Naprawdę dobrzy aktorzy wiedzą, kiedy zapomnieć o technice. Nie bez powodu rozmawiamy tu o nawiązywaniu kontaktu ze swoimi uczuciami: najlepszych aktorów cechuje pewien wewnętrzny spokój. Mają silny kręgosłup. Nie płytki, plastyczny rdzeń. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Kiwam głową.

– Pamięć afektywna może ci pomóc, jeśli tylko jej na to pozwolisz – dodaje. – Jeśli dopuścisz ją do miejsca, w którym znajdują się twoje prawdziwe uczucia. W przypadku

niektórych ludzi te miejsca są dosyć mroczne, Claire. Ale i tak trzeba do nich dotrzeć.
Patrzy na mnie niemal ze współczuciem.

– Musimy przegrupować szyki – mówi Kathryn Latham.

Wszyscy troje coraz bardziej mamy dość siebie nawzajem, mamy dość konieczności spędzania długich godzin w swoim towarzystwie. Przypominamy wystawianą zbyt długo sztukę, ograna popołudniówkę, jeden z tych wyświechtanych kryminałów, które wyprzedają się w nieskończoność, rok za rokiem. Polubiłam Franka, ale wolałabym, żeby bardziej stawiał się Kathryn. Zupełnie jej nie rozumiem. Jej pragnienie przyskrzynienia Patricka jest tak wszechogarniające, tak skryształizowane, że przysłania pozostałe aspekty jej osobowości.

– Musimy wyraźnie określić, czego oczekujemy i jak zamierzamy kontrolować bieg wydarzeń, żeby osiągnąć cel – mówi Kathryn. – Po cichu liczyłam na łózkowe zwierzenia, ale na to jest już chyba za późno.

– Co proponujesz, Kathryn? – pyta Frank.

Przestaję ich słuchać i patrzę, jak promienie słońca zaginają się w stojącej na stoliku butelce wody Evian. Krążek światła na suficie staje się elipsą, potem ósemką, aż wreszcie znowu się spłaszcza i zmienia w krążek.

On mnie kocha on mnie kocha on mnie kocha...

– Claire? Zgadzasz się z tym, co powiedziała Kathryn?

Ponownie skupiam się na nich dwojgu.

– Z czym?

Kathryn wzdycha.

– Jak wiesz, miałam pewne wątpliwości co do drogi, którą obraliśmy. Teraz jednak, skoro już jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, powinniśmy się zastanowić, jak najlepiej wykorzystać tę, jak się zdaje, silną więź, która zaczyna was łączyć.

– Co proponujesz?

– Myślę, że powinniśmy zmienić taktykę. Jeśli Patrick jest mordercą, został nim po części dlatego, że czuje się zdradzony przez kobiety. Proponuję, żebyś też go zdradziła.

– To znaczy... miałby przyłapać mnie z innym? – pytam z niedowierzaniem.

– Czemu nie? Jeśli jest tobą tak zafascynowany, jak wygląda, na pewno go to wkurzy. Zwykły mężczyzna wyraziłby taką złość ustnie. Jeśli jest mordercą, być może posunie się do przemocy.

– Jezu, Kathryn. To bardzo ryzykowna strategia – mówi Frank.

Doktor Latham wzrusza ramionami.

– Masz lepszy pomysł?

– Nie zrobię tego – oświadczam bez wahania.

– Jesteś aktorką – mówi Kathryn. – To nie ty pisziesz scenariusz.

– Jeśli zrobimy Patrickowi coś takiego... – zaczynam, ale milknę. Mam ochotę dodać: „Znienawidzi mnie. Już nigdy mi nie zaufa”.

Ale Kathryn właśnie dlatego to proponuje.

Wreszcie znalazłam mężczyznę, wobec którego chcę być w porządku. A teraz każą mi postąpić dokładnie odwrotnie.

Słyszę w głowie głos Paula: „Nie bez powodu rozmawiamy tu o nawiązywaniu kontaktu ze swoimi uczuciami: najlepszych aktorów cechuje pewien wewnętrzny spokój. Mają silny kręgosłup...”.

Odstawiam szklankę z wodą i wstaję.

- Ja się wypisuję – mówię cicho.
- Że co? – Frank marszczy brwi.
- Nie zamierzam dłużej tego robić.
- Och, litości – mówi Kathryn. – Claire, przestań się popisywać i siadaj.
- Mówię poważnie. To koniec. Przykro mi.

Kathryn spogląda na Franka.

- Detektywie?

W tej chwili uświadamiam sobie, że rozmawiali o takiej ewentualności, że się na nią przygotowali – że Frank powinien teraz powiedzieć albo zrobić coś, co mnie powstrzyma.

Ale on tego nie robi.

- No cóż, Claire – mówi zmęczonym głosem. – Chyba masz prawo podjąć taką decyzję.
- Powiedz jej, Frank – nalega Kathryn. – Albo ja to zrobię.
- Co ma mi powiedzieć?
- Jeśli się wycofasz, wsadzimy cię do samolotu i wrócisz do Wielkiej Brytanii.

Patrzę na nią bez słowa.

- Podpisałaś umowę – dodaje.
- Nawet jej nie czytałam. Nie dałaś mi czasu.

Kathryn wzrusza ramionami.

- Nie mogliśmy ryzykować, że wycofasz się w trakcie – wtrąca przepaszająco Frank.

- Nadal nie możemy – dodaje Kathryn. – To ja zdecyduję, kiedy skończymy. –

W spojrzeniu, które mi rzuca, jest nie więcej troskliwości czy współczucia, niż gdybym była szczurem laboratoryjnym. – Możemy już wracać do pracy?

– Jesteś dzisiaj jakaś milcząca, Claire. – Patrick wraca do łóżka z butelką wina i dwoma kieliszkami. – Wszystko w porządku? – dodaje.

– Oczywiście. – Siadam i zmuszam się do uśmiechu. – Po prostu trochę się... zamyśliłam. Odpowiada mi uśmiechem.

– W takim razie powiedz mi, o czym myślisz.

Wzdycham.

– Gdybym tylko mogła.

Powtarzam w myślach dziką awanturę, którą urządziłam Kathryn i Frankowi, gdy odkryłam, co się stanie, jeśli wycofam się z operacji. Krzyczałam, błagałam, a nawet płakałam. Bezskutecznie.

Jestem w pułapce. Przypominam marionetkę, zombie. Klepię kwestie, które dla mnie napisali, wykonuję zaplanowane przez nich ruchy.

Jak do tego doszło?

Kathryn nie odpuści, dopóki nie zdobędzie czegoś, co będzie mogła wykorzystać jako dowód przeciwko Patrickowi. Nawet jeśli to będzie naciągane i dwuznaczne, w końcu rzuci się na coś, co Patrick powie albo zrobi, a potem użyje tego czegoś, żeby go zamknąć.

Nawet jeśli będzie to tylko zrozumiała wściekłość sieroty zdradzonego przez ukochaną kobietę. Przez kobietę, która, jak mu się wydawało, też darzy go bezwarunkową miłością.

– Myślałem, że będziemy dzielili się ze sobą swoimi najgorszymi myślami – mówi czule Patrick. – Claire, wierz mi, nic, co mogłabyś teraz powiedzieć, nie byłoby w stanie zmienić moich uczuć do ciebie.

Zaczekaj, aż się dowiesz, co przygotowała dla ciebie Kathryn.

Po chwili myślę jednak: *A gdybym mu powiedziała?*

Ten pomysł jest tak szalony i jednocześnie tak genialnie prosty, że z trudem powstrzymuję zduszony okrzyk.

A gdybym wyszła z roli? A gdybym mu o wszystkim powiedziała?

Jeśli mamy mieć jakąkolwiek szansę na wspólną przyszłość, w pewnym momencie Patrick będzie musiał poznać prawdę o mnie. Tylko że gdy ją odkryje, to będzie koniec policyjnej pułapki. Deportują mnie.

Chyba że – i nagle mój umysł zaczyna gnać przed siebie – powiem mu o tym w tajemnicy przed Frankiem i Kathryn. Zapoznam go ze wszystkimi szczegółami. A potem razem będziemy ściemniać Frankowi i Kathryn, aż w końcu stracą nim zainteresowanie.

Zamiast zaprowadzić go w pułapkę, mogłabym go uratować.

– Dlaczego się uśmiechasz, Claire? – pyta.

– Zapamiętaj to pytanie – mówię, wyskakując z łóżka. – Zapamiętaj to pytanie i nie ruszaj się stąd. Muszę ci coś powiedzieć, coś naprawdę wstrząsającego, coś... – milknę, uświadamiając sobie doniosłość tego, co za chwilę zrobię. – Coś, po czym prawdopodobnie padniesz z wrażenia. Wezmę szybki prysznic. Potem porozmawiamy.

– Nie mogę się doczekać – mówi Patrick. Wydaje się rozbawiony.

Idę do łazienki, przystając tylko po to, żeby chwycić szlafrok. Wyjmuję naszyjnik z mikrofonem z kieszeni dżinsów, w której był ukryty, i wciskam go na dno kosza z brudną bielizną, przykrywając go ręcznikami.

Wybacz, Kathryn. Ale nie powinnaś była przypierać mnie do muru.

Biorę oddech, skupiam się, szybko ćwiczę w myślach scenę, która za chwilę się rozegra. Jak powinnam stać, co powinnam powiedzieć. I jeszcze ton głosu. Poważny? Podekscytowany? Przepraszający? Płaczliwy? Nie: decyduję się na spokojny. W końcu to nie byle jaka wiadomość. I mam tylko jedno podejście. Żadnych dubli, żadnych powtórek.

Przechodzi mi przez myśl, że Patrick może się na mnie zdenerwować. Przypominam sobie jego napad wściekłości w teatrze, krwawiący nos Raoula.

Tylko że tym razem będzie inaczej. „Claire, wierz mi, nic, co mogłabyś teraz powiedzieć, nie byłoby w stanie zmienić moich uczuć do ciebie”. Muszę się tego trzymać.

Boję się – jestem przerażona – ale jednocześnie szczęśliwa. Wiem, że to może się na mnie zemścić. Możliwe jednak, choć prawdopodobieństwo jest niewielkie, że Patrick zrozumie presję, jaką na mnie wywierano, i mi wybaczy. Ta niewielka szansa jest wszystkim, czego potrzebuję, by z radości zakręciło mi się w głowie.

Wreszcie mogliśmy się kochać bez tego całego oszukiwania.

Odkręcam kurek i sięgam po żel pod prysznic. Butelka wyślizguje się z moich mokrych palców i turla się za umywalkę. Kucam, żeby ją podnieść.

I wtedy coś zauważam – kabelek cienki jak niteczka makaronu przyczepiony z tyłu do porcelany.

Dotykam go. Jest lepki. Wsuwam pod niego paznokiec i delikatnie podważam. Biegnie wokół kranu i przez maleńką dziurkę. Podążam za nim – w końcu znika za lustrem.

Przez chwilę wpatruję się w swoje odbicie i nie mogę w to uwierzyć.

Potem zdejmuję lustro ze ściany i odwracam je. W wydrążonym w srebrnej powierzchni zagłębieniu tkwi elektroniczny czip. Miniaturowa kamera.

Wiem, co to takiego, bo takie same kamery zainstalowano w moim mieszkaniu.

Co to znaczy? Nie ogarniam tego. Frank zawsze powtarzał, że bym nie rozstawiała się z naszyjnikami, bo nie mogą ryzykować, instalując kamery w mieszkaniu Patricka. Jak zatem się to tutaj znalazło?

Z trudem łapiąc oddech, podążam za kabelkiem w drugą stronę, ku podłodze, odrywając go od ściany. Przewód wynurza się ze szczeliny między płytkami jak cuma wyłaniająca się z piasku na plaży.

Kabelek prowadzi do szafki, a stamtąd do puszkii elektrycznej. Tkwi tam niczym wielki czarny pająk, a jego nogi – niezliczone przewody – rozchodzą się w różnych kierunkach.

To nie tylko jedna kamera. Są ich dziesiątki, w całym mieszkaniu. Wszędzie biegą kabelki. Jest ich tak dużo, że Patrick nie może o nich nie wiedzieć.

Wrywam puszkę z jej kryjówekii.

„Claire, wierz mi, nic, co mogłabyś teraz powiedzieć, nie byłoby w stanie zmienić moich uczuć do ciebie”...

– Ty kutasie – mówię na głos. Ze swoim prawdziwym brytyjskim akcentem. Bo właśnie sobie uświadomiłam, co to wszystko oznacza. Dlaczego nie ma sensu dłużej udawać.

Patrick wie, że te kamery tu są.

To nie on jest podejrzanym.

To ja.

Przez mój umysł przetacza się masa scen i retrospekcji.

FRANK

Detektywie, możemy porozmawiać na korytarzu?

KOMENDA GŁÓWNA POLICJI, NA KORYTARZU

Dwaj detektywi rozmawiają ściszym głosem.

DETEKTYW DAVIES

Albo mówi prawdę, albo należy jej się Oscar.

FRANK

Co to dla nas oznacza?

DETEKTYW DAVIES

Mąż?

FRANK

Albo naprawdę jest taka dobra.

DETEKTYW DAVIES

Pokopmy wokół Claire Wright trochę głębiej, dobra?

I przypuszczalnie pokopali. Na domiar złego:

DETEKTYW DAVIES

Ma częściowe alibi, ale facet, do którego poszła tamtej nocy, był pijany i nie pamięta, kiedy od niego wyszła. Mogła z łatwością wrócić do hotelu.

Scena rozgrywająca się w głowie detektywa Durbana się zmienia.

HOTEL LEXINGTON, KORYTARZ, NOCĄ

Pukam do drzwi apartamentu Stelli.

JA

Proszę pani? Stello? Tu Claire... Mam coś, co należy do Patricka.

Początkowo nikt nie otwiera. Potem w drzwiach staje Stella z kieliszkiem w dłoni. Lekko się chwieje.

STELLA

A, to ty. Dziewczyna, której nie udało się poderwać mojego męża. Czego chcesz?

JA

Nie powinnyśmy rozmawiać o tym na korytarzu.

A potem seria niefortunnych zbiegów okoliczności.

POLICYJNY POKÓJ PRZESŁUCHAŃ, W CIĄGU DNIA

HENRY

No więc według Ricka, tego prawnika, Claire trochę za bardzo wczuła się w rolę. Dokładniej mówiąc, zainkasowała za to wczucie się tysiąc dolarów.

I kolejny zbieg okoliczności:

BIURO W KOMENDZIE GŁÓWNEJ POLICJI, W CIĄGU DNIA

DETEKTYW DAVIES

Producent twierdzi, że na niego napadła, wyjęła pistolet... a potem zażądała pieniędzy w zamian za powstrzymanie się od przesłania nagrania jego żonie. Tego samego wieczoru poszła pracować dla Stelli. Możliwe, że przez cały czas miała przy sobie pistolet i użyła go, żeby zastraszyć Stellę... a potem coś poszło nie tak i wywiązała się szamotanina.

FRANK

Jezu... Mamy jakiś dowód, że mówi prawdę?

DETEKTYW DAVIES

Tylko nagranie z monitoringu, na którym widać, jak wychodzi z jego biura. Składa podpis w recepcji, jakby nie miała żadnych zmartwień. Ale widać pistolet wystający z jej torebki.

BIURO W KOMENDZIE GŁÓWNEJ POLICJI, W CIĄGU DNIA

FRANK

Jeśli to rzeczywiście Claire jest zamieszana w śmierć Stelli Fogler, skąd na ciele Stelli wzięły się rany zadane po zgonie?

DETEKTYW DAVIES

Miała tomik poezji. Może właśnie z niego zaczerpnęła pomysł. Uświadomiła sobie, że takie ustawienie sceny morderstwa odwróci uwagę od kradzieży.

FRANK

Ślady kondomu też?

DETEKTYW DAVIES

Dziewczyny, które często uprawiają przygodny seks, zazwyczaj noszą przy sobie gumki. Mogła wepchnąć jedną z nich do rany na udzie Stelli, licząc na to, że specjaliści od medycyny sądowej znajdą ślady i wyciągniemy wniosek, że sprawcą był mężczyzna. I rzeczywiście tak się stało.

FRANK

Tylko psychopata myśli tak racjonalnie chwilę po zmasakrowaniu kogoś na śmierć.

DETEKTYW DAVIES

Albo ktoś przywykły do działania pod presją. Na przykład na scenie.

FRANK

Okej. Mamy podejrzaną.

A wiele tygodni później:

GABINET KATHRYN LATHAM, W CIĄGU DNIA

FRANK

Więc prawie nic nie znaleźliśmy... oprócz tej aktorki Claire Wright.

KATHRYN

Interesujące. Tak się zastanawiam... A gdybyśmy dali jej do zrozumienia, że wykluczaliśmy ją z kręgu podejrzanych, i wykorzystali to jako pretekst, by nakłonić ją do wykonania kilku testów psychologicznych?

FRANK

To jest legalne?

KATHRYN

Tak, jeśli podpisze odpowiednie zezwolenia. Możemy jej powiedzieć, że pomaga mi stworzyć profil mordercy. Chyba spodoba jej się pomysł, że zdołała się wkręcić w dochodzenie.

FRANK

W którym momencie powiemy jej, że jest podejrzana?

KATHRYN

Jeśli sama nie oczyści się z zarzutów, być może nigdy. Wymyślimy jakąś dramatyczną historyjkę o Patricku i wierszach – coś, co przemówi do jej aktorskich ambicji.

Wechsler. MMPI. Skala obserwacyjna skłonności psychopatycznych Hare'a...

Nawet wtedy wydało mi się dziwne, że sprawdzają, czy nie jestem psychopatką.

Zwabili mnie za pomocą przynęty, wiedząc, że taki sposób na pewno zadziała. Najpierw kamera wideo i nagranie. *Show* w moim wykonaniu. A potem odwołanie się do mojej próżności...

POKÓJ DO PROWADZENIA OBSERWACJI, W CIĄGU DNIA

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

Jasne, mamy policjantki, które robią takie rzeczy. Nie chciałbym koleżanek urazić, ale widziałas, jak one wyglądają? Myślę, że Claire miałyby większe szanse przebić się przez jego system obrony.

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

Ostatnim razem jej się nie udało.

GŁOS DETEKTYWA DURBANA

Dał jej książkę. Sama powiedziałaś, że jak na niego to poufały gest.

Czekali, chcąc się przekonać, czy wtargnę do środka i zażądam roli w ich operacji. Czy „wkręcę się w dochodzenie”.

KATHRYN

Bardzo dobrze, Claire. Jasne, to tylko freudowskie głupoty. Ale jestem pod wrażeniem tego, jak twórczo podchwyciłaś moją sugestię. Łzy też były niezłe.

Czyli: „Chyba jednak możesz być naszą morderczynią”.

Wbiegam do sypialni, wciąż trzymając w ręku puszkę elektryczną, którą po chwili rzucam na łóżko.

– Co to ma znaczyć? – pytam ostro.

Patrick wygląda na zaskoczonego.

– Co...?

– Większość tego, co zamierzałam ci powiedzieć, już wiesz, prawda? W zasadzie to wiesz cholernie dużo.

Patrzy na mnie, mrugając.

– Co oni ci, kurwa, nagadali?! – krzyczę.

– Powiedzieli, że być może zabiłaś moją żonę – odpowiada cicho. – Zgłosili się do mnie po moim powrocie z Europy i powiedzieli, że możesz być morderczynią. Wskazywało na to tyle twoich słów, twoje zachowanie... A kiedy dodali, że tamtej nocy byłaś w apartamencie Stelli, że miałaś przy sobie broń...

– Nie rozumiesz? – pytam z niedowierzaniem. – Cały czas ci ufałam. Nie im, tobie. A ty... ty fałszywy, podły kutasie... – Zaczynam okładać go pięściami, które bezsilnie odbijają się od jego twardego szczupłego ciała. – Zakochałam się w tobie! – wyję. Nawet teraz, w tych niewyobrażalnie okropnych okolicznościach, dobrze wreszcie powiedzieć to na głos. – Ostrzegali mnie, żebym tego nie robiła, ale byłam zbyt głupia. Nie rozumiesz? Kocham cię.

Dopiero gdy zaczynam bić go po twarzy, wreszcie przyciska moje ręce do tułowia.

– Jezu, Claire, uspokój się...

Nagle drzwi otwierają się z hukiem i czuję, jak Frank Durban zdejmuje mnie z Patricka. Nie bronię się. Teraz to i tak bez znaczenia. Wszystko jest bez znaczenia.

– Claire Wright, aresztuję cię pod zarzutem zamordowania Stelli Fogler... – zaczyna Frank.

Krzyczę z wściekłości i go odpycham. Gdy zatacza się do tyłu, daję nura pod jego ręką – kurs walki scenicznej wreszcie okazuje się przydatny – i uciekam. Nie mam pojęcia, dokąd biegnę. Wiem tylko, że cały mój świat, cała moja rzeczywistość właśnie zostały przewrócone do góry nogami.

– Cholera – dobiega mnie głos Franka, który rusza za mną w pogoń. – Niech to szlag! – Po chwili mówi do krótkofalówki: – Pilnie potrzebne wsparcie.

Koniec końców idę do Jess. Odkąd wymknęłam się Frankowi, nie widziałam więcej gliniarzy, i nie jestem w stanie wymyślić żadnego innego miejsca.

Jess jednak nie ma w domu, a ja nie mam kluczy. Kupuję butelkę wódki i czekam, ale Jess się nie zjawia.

W mojej głowie bez końca wirują obrazy.

RICK

Pozwolę sobie powiedzieć, Claire, że nie wyglądasz na taką dziewczynę.

JA

Zanim zdałam sobie sprawę, że można zarabiać na czynsz w bardziej ekscytujący sposób.

PRODUCENT

W zasadzie to jeszcze nie zostałam wybrana, Claire. Kompletuję obsadę do wielu projektów.

FRANK

Większość naszych działań skupiała się na jednej osobie.

KATHRYN

Skłoniłaby podejrzanego do ujawnienia różnych aspektów osobowości, które następnie porównalibyśmy ze stworzonym przeze mnie profilem mordercy.

JA

Ta piramida, ten grobowiec niezgłębiony [...]

Gdzie długie czerwie niczym wyrzuty się włoką

Tocząc najdroższych zmarłych, co leżą głęboko...

PATRICK

Chyba się w tobie zakochuję.

PATRICK

Chyba się w tobie zakochuję.

PATRICK

Chyba się w tobie zakochuję.

Opróżniwszy większość butelki, uświadamiam sobie, że Jess musiała wyjechać. I że ostatecznie jedynym miejscem, dokąd mogę teraz pójść, jest mieszkanie, w którym zainstalowali mnie Frank i Kathryn – mieszkanie pełne kamer, mikrofonów i kłamstw.

Tam też nikogo nie ma. Ale wiem, że w końcu mnie znajdą. Demoluję mieszkanie, wrywając kabelki z kryjówek, wyszarpując miniaturowe kamery zza lustro, roztrzaskując meble west elm i rozrywając albumy z reprodukcjami obrazów Georgii O’Keeffe. Podnoszę nogę nad szklanym stolikiem do kawy i gwałtownie ją opuszczam. Za pierwszym razem blat pokrywa się siateczką pęknięć. Za drugim następuje przyjemna dla ucha eksplozja szkła.

A potem nic. Jedyne pusta, odrętwiała rozpacz. *Aresztują mnie*, myślę. Nie będzie już Patricka. Nie będzie lekcji aktorstwa.

Zupełnie jakby *Tumult* zaczął się od nowa. Nie, gorzej. Wyczerpana padam na zagraconą podłogę.

W najlepszym razie mnie deportują. Do Anglii. To będzie koniec mojego marzenia – mojej drugiej szansy.

Podnoszę odłamek szkła.

„Chciałam mu pokazać, że nie była to jedynie gra aktorska”.

Przykładam szkło do nadgarstka. *Witaj, stary przyjacielu.*

Pieczenie sprawia mi rozkosz. Mówi: „To ty miałaś rację, nie oni. Byłaś genialna. Byłaś prawdziwa”.

Przeciągam szkłem w poprzek nadgarstka. To łatwe jak otwarcie paczki orzeszków. Przez ułamek sekundy nic się nie dzieje. Potem skwapliwie wypływa krew, tryska na boki. W moim mózgu euforia zderza się z przerażeniem.

Może teraz sobie uświadomią, co zrobili.

A jeśli nie, kogo to obchodzi?

Pieprzyć ich.

Wykonuję jeszcze jeden ruch, przeciągając ostrą krawędzią w poprzek ramienia jak skrzypaczka wydobywająca dźwięk z instrumentu.

Mój ostatni ukłon. *Dziękuję i dobranoc.*

Przedstawienie dobiegło końca, moi drodzy. To była prawdziwa przyjemność.

Ostatnie cięcie odłamkiem. Obraz zanika, jakby w moją stronę pędził jakiś tunel, jakby powoli gasł reflektor. Moja głowa opada na klatkę piersiową.

Wyobraźcie sobie opadającą kurtynę. Wyobraźcie sobie brawa.

Wyobraźcie sobie nicłość.

Ściemnienie.

MIESZKANIE CLAIRE, NOCĄ

Kot lawiruje między odłamkami szkła, pomiaukując żałośnie.

Rozlega się huk – ktoś kopie w drzwi. Drżą i rezonują pod wpływem siły ciosów. Po piątym kopniaku wypadają z zawiasów.

Do środka wbiega Frank Durban.

FRANK

Jezu!

Claire leży nieprzytomna w kałuży krwi. Podbiega do niej...

FRANK

Claire! Claire, ocknij się! Niech to szlag!

Wyjmuje krótkofalówkę i gorączkowo wciska przycisk.

– Nie było zagrożenia życia – stwierdza lekceważąco Kathryn. – Przecięła tylko nadgarstek. Typowy melodramatyczny gest.

– Gdyby nikt jej nie znalazł, umarłaby – odpowiada ostro Frank. – Nadal leży na OIOM-ie. – Po chwili zwraca się do Patricka Foglera: – Przyślemy kogoś po pozostałe kamery.

Patrick rozgląda się po swoim apartamencie.

– Po wszystkie? Chcesz powiedzieć, że... to koniec? Postawicie jej zarzuty?

Frank kręci głową.

– Skoro się nie przyznała, nie mamy nic, co mogłoby uzasadniać postawienie jej zarzutów. Przykro mi.

– Ale zostanie przebadana w bezpiecznym zakładzie psychiatrycznym – dodaje Kathryn. – Prawdopodobnie zatrzymają ją tam do czasu, aż urząd imigracyjny i urząd celny zorganizują jej powrót do Wielkiej Brytanii.

Patrick kiwa głową.

– Jak myślisz? Tylko szczerze. Naprawdę zabiła Stellę?

Na dłuższą chwilę zapada cisza.

– Tak szczerze to myślę, że nigdy się tego nie dowiemy – przyznaje Kathryn. – I nie jestem pewna, czy kiedykolwiek byśmy się dowiedzieli, bez względu na to, jak długo byśmy ją obserwowali. Myślę, że dla Claire Wright rzeczywistość jest taka, jaką chciałyby widzieć.

Greenridge. Zakład psychiatryczny zlokalizowany trzydzieści kilometrów na północ od Nowego Jorku. W czasie miesięcy spędzonych w Ameryce prawie nigdy nie opuszczałam Manhattanu. Żadne z doświadczeń zgromadzonych w tym kraju nie przygotowało mnie na nędzę publicznych ośrodków opieki medycznej.

Oddziału, na którym leżę, strzegą zamki elektroniczne. Teoretycznie mamy zapewnione bezpieczeństwo na czas badań. W praktyce jesteśmy jednak więźniami. Odbyło się jakieś przesłuchanie, ale uznano mnie za niezdolną do udziału w nim i mój wyznaczony z urzędu adwokat po prostu wypełnił formularz, oświadczając, że stanowią zagrożenie dla siebie i być może także dla innych. Było to chyba do przewidzenia. Jeden z pacjentów, zwalisty czarnoskóry mężczyzna, którego salowi przezywają Głębem, cały czas leży przykuty kajdankami do łóżka. Pozostali są w pewnym sensie mobilni, ale nawet oni snują się po wypastowanych korytarzach, jakby kuśtykali spętani niewidzialnymi okowami, i mamrocą coś miejskim żargonem, którego nie rozumiem. Wszyscy wydają się permanentnie odurzeni lekami, które im tu podają.

Nastała fala upałów, a okna się nie otwierają. Pacjenci płci męskiej chodzą z nagimi torsami, nawet personel nie wkłada niczego pod fartuchy. Nocą mężczyzn oddziela od kobiet jedynie korytarz. Pierwszej nocy słyszałam krzyki, gdy jakiś człowiek zaatakował jedną z kobiet. Personel go odciągnął, ale dwie godziny później ten sam mężczyzna znowu był przy jej łóżku.

Moim psychiatrą prowadzącym jest doktor Andrew Banner. To młody człowiek z brzydką cerą świadcząca o chronicznym przepracowaniu. Podczas pierwszego spotkania poświęca dużo czasu na ostukiwanie mnie młoteczkiem, żeby sprawdzić prawidłowość odruchów.

– Cierpi pani z powodu jakiegoś stresu albo traumy? – pyta.

– Już panu mówiłam, co się stało. – Z jakiegoś powodu szczękam zębami. – To była tajna operacja. Pracowałam dla policji. Umieścili mnie w mieszkaniu pełnym kamer. Ale nie powiedzieli, że wszędzie indziej też są kamery. Bo tak naprawdę obserwowali mnie. – Milknę, słysząc, jak chaotycznie brzmią moje słowa.

– Nie było żadnego wypadku samochodowego? Napadu? – Banner zagląda mi w oczy, przyświecając sobie małą latarką.

– Nie. – Zaciskam zęby, żeby je unieruchomić.

– Jakież problemy nerwicowe? Epilepsja? Ataki cukrzycowe? Epizody maniakalne? Depresja, myśli o przemocy?

– Nie. – Spoglądam na swoją rękę, która teraz jest już zabandażowana. – To znaczy oprócz tego.

– Zdarza się pani słyszeć głosy i nie mieć pewności, czy są prawdziwe?

– Raczej nie.

Wyłącza latarkę.

– Raczej nie?

– Czasami wyobrażam sobie, że występuję w filmie. Obserwuję, jak gram.

Zapisuje coś.

– Czy w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy brała pani jakieś substancje dostępne bez recepty?

– Tylko ecstazy. Ale niezbyt często.

– Aha. – Kolejna notatka.

– Proszę posłuchać – mówię chyba z piąty raz. – To miało związek z morderstwem Stelli Fogler, do którego doszło w lutym. Policja uciekła się do podstępu, żebym pozwoliła się przebadać psycholożce, która poddała mnie całej masie testów.

– Jakich testów?

Próbuję sobie przypomnieć, ale leki, które mi podają, osłabiły mi pamięć.

– Przeważnie rozmawialiśmy. O tym, że miałam zastępczych rodziców. To musiał być ważny element mojego profilu. Stworzyła całą dynamikę relacji między Tatą Misiem, Mamą Misiem i Złotowłosą.

To też zapisuje.

– Wierzy mi pan? – Słyszę rozpacz w swoim głosie.

– Oczywiście.

– Naprawdę? – czuję ulgę. – Dziękuję. Przez chwilę sama miałam wrażenie, że brzmi to jak szaleństwo.

– Niedawno leczyłem tu pacjenta, który myślał, że w jego brzuchu rośnie drzewo – mówi doktor Banner, nie przerywając pisania. – Pamiętał, że zjadł ogryzek jabłka, i był przekonany, że w żołądku kiełkują nasiona. Cierpiał na potworne bóle. Kiedy podaliśmy mu leki, bóle ustąpiły. Wmówił sobie, że te leki to trucizna i że drzewo obumarło.

– Tylko że nadal był stuknięty – odpowiadam, nic z tego nie rozumiejąc.

– Claire, nie lubimy tu używać tego słowa. Każdy z nas zamieszkuje własną rzeczywistość. – Oczy doktora Bannera przesuwają się w stronę laptopa. – To trochę jak sieć komputerowa. Różne tworzące ją maszyny korzystają z różnego oprogramowania. Czasami zdarzają się drobne usterki. Problemy z kompatybilnością, że tak powiem. Wtedy musi je naprawić specjalista. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Nie bardzo.

– Pozwól, że ujmę to tak: w twoim organizmie doszło do pewnego zakłócenia równowagi chemicznej i trzeba ją przywrócić.

– W jaki sposób?

Okazuje się, że jego sposób polega na czymś, co nazywa dawką uderzeniową pimozydu, proverinu i iclymitolu – leków, które, jak zapewnia, dają niewiele skutków ubocznych, choć ja czuję, że przytępiają mój umysł, zalewając mózg kleistym farmakologicznym syropem. Jestem przez nie nieustannie głodna. Całymi dniami przesiaduję w sali telewizyjnej, czekając jak w letargu, aż salowi przyniosą mi kolejną tacę z wysokokalorycznym jedzeniem. Podczas jednej z konsultacji popełniam błąd, mówiąc doktorowi Bannerowi, że strach przed innymi pacjentami zakłóca mi sen, więc oprócz tych wszystkich tabletek dostaję jeszcze środki nasenne. A leki, które zostały przepisane, stają się obligatoryjne. Salowi stoją nad tobą i pilnują, żebyś je połknęła. Całkiem jak w *Przerwanej lekcji muzyki*, tylko bez Whoopi Goldberg.

Obsesja Bannera na punkcie leków zakrawa na ironię, bo wszystko wskazuje na to, że to właśnie nadużywanie różnych substancji wyzwoliło umysły większości jego pacjentów. Ze znanstwem smakoszy porównują swoje recepty – „Dał ci amfę? Zajebicie! Ja dostałem tylko dwie pieprzone barbie i receptę na jakiś seroquel” – i opowiadają każdemu, kto zechce słuchać, o wyższej rzeczywistości, której doświadczyli na anielskim pyłe albo na cracku. Nie czuję się bezpieczna, zapadając co wieczór w wywołaną farmakologicznie śpiączkę, zwłaszcza że co bardziej spostrzegawczy z nich z pewnością doskonale wiedzą, co łykam. Ale nie ma innego wyjścia.

Mniej więcej po tygodniu doktor Banner uroczystym tonem przedstawia mi diagnozę. Przechodzę „paranoidalny epizod urojeniowy”. Gdy protestuję, mówiąc, że to wszystko wydarzyło się naprawdę, że operacja policyjna była równie rzeczywista jak ten szpital, doktor

Banner zbywa moje obiekcje machnięciem ręki. Fakty są nieistotne, upiera się. Liczy się to, jak na nie reaguję. Doświadczylam dysocjacji – wewnętrznego oddzielenia różnych części swojej osobowości. Jest w tym element psychozy, braku umiejętności odróżnienia fantazji od rzeczywistości. Według doktora Bannera są to objawy związane z leżącym u ich podłoża „histrionicznym zaburzeniem osobowości”, które z kolei wywołał „intensywny stres”.

Mimo to w leczeniu nie zachodzi żadna zmiana: wciąż podają mi wysokie dawki tych samych leków.

Bardzo powoli, czy to wskutek zażywania leków, czy po prostu z upływem czasu, moja nerwowość ustępuje. Nie wyskakuję już ze skóry na każdy dźwięk i nie budzę się, żeby wymiotować w przypływie panicznego strachu. Strumień fragmentarycznych obrazów w mojej głowie spowalnia, zmieniając się w strużkę. Obracająca się spirala filmu powoli nieruchomieje.

I tylko z rzadka miewam przebłyski, w których obserwuję, jak gram, jak kroczę przez film swojego życia.

Ból w moim sercu, bolesna tęsknota za Patrickiem Foglerem ustępują wolniej. Uświadamiam sobie, jak głupio postąpiłam, zakochując się w tym człowieku. Kochałam kogoś zaledwie drugi raz w życiu i drugi raz okazało się, że zakochałam się w czymś, co nie było prawdziwe.

Ale to wcale nie znaczy, że moje uczucia nie były prawdziwe.

To mój drogocenny sekret, ten skrawek mnie, którym nie dzielę się z Bannerem ani z jego zespołem terapeutów. Boję się, że jeśli im o tym powiem, znajdą sposób, żeby go zlikwidować. A to wszystko, co teraz mam. Jedyna część Patricka, jaka mi została.

Jeśli chodzi o Franka i Kathryn, wcale ich nie nienawidzę. Nie wywołują we mnie żadnych uczuć. Nawet gdy myślałam, że doktor Latham jest po tej samej stronie co ja, wiedziałam, że jestem dla niej zaledwie figurą szachową. Nigdy nie lubiłam tej kobiety i jej nie ufałam, a teraz wiem, że instynkt mnie nie zawiódł.

Nuda, owoc smętnego braku ciekawości,

Obleka się przed nami w kształt nieśmiertelności.

Początkowo czekam zalekniona, aż przyjdzie po mnie policja albo ktoś z urzędu imigracyjnego. Gdy jednak mijają kolejne tygodnie, muszę stanąć w obliczu innej ewentualności. System po prostu mnie tu wrzucił i o mnie zapomniał. Dopóki doktor Banner nie orzeknie, że zostałam wyleczona, nie ma powodu, dla którego ktokolwiek miałby chcieć, żebym stąd wyszła.

Część III

– Chyba już wszystko w porządku – mówię z wahaniem. – Naprawdę czuję się lepiej. Doktor Banner patrzy na mnie z lekkim współczuciem.

– Niestety jednym z charakterystycznych objawów zaburzeń osobowości typu B jest zniekształcony obraz siebie. Pacjenci często nieprawidłowo oceniają właśnie te swoje cechy, które sprawiają przykrość innym i osłabiają ich relacje międzyludzkie.

Marszczę brwi.

– Chce pan powiedzieć, że mi się nie polepszy, dopóki nie uznam, że jestem chora? To trochę w stylu *Lotu nad kukulczym gniazdem*, nie sądzi pan?

– Chcę powiedzieć, że pani ocena własnego stanu zdrowia może być mniej trafna niż ocena sformułowana przeze mnie i mój zespół.

– A doktor Latham? Jaka jest jej opinia?

– Claire, nie udało mi się znaleźć tej twojej doktor Latham.

Coś w słowach „tej twojej” sprawia, że patrzę na niego ze złością.

– Uważa pan, że ją zmyśliłam?

– Tego nie powiedziałem. A zresztą fakty są...

– Nieistotne. Wiem. Ale ona jest psychologiem. I poddała mnie różnym testom. Powinien pan zdobyć te dane.

– Jeśli istnieją – odpowiada ostrożnie Banner – na pewno byłyby przydatne. Mogę panią jednak zapewnić, że na liście Amerykańskiej Rady Psychologii Sądowej nie ma żadnej Kathryn Latham. Sprawdziłem.

– Mogłabym panu pokazać jej gabinet...

– Claire, to nie będzie możliwe.

– Dlaczego? Potrzebowalibyśmy tylko paru godzin. I wtedy może by mi pan uwierzył – mówię rozpaczliwym tonem.

Banner chyba mnie lubi: prawdopodobnie jestem jedyną jego pacjentką, z którą może prowadzić racjonalną rozmowę, i zauważyłam, że wzywa mnie na konsultacje o wiele częściej niż ćpunów z przepalonymi mózgi.

– Może sama bym sobie uwierzyła, zamiast wciąż zadawać sobie pytanie, czy ten cały szajs nie był przypadkiem tylko w mojej głowie. – Ku swojemu upokorzeniu zaczynam płakać.

Banner przez chwilę mi się przygląda.

– Dobrze, Claire – mówi w końcu. – Skoro naprawdę uważasz, że to coś da... Zorganizuję transport.

Następnego dnia wyruszamy minibusem z ośrodka. Ja, doktor Banner i umięśniony salowy Anton, który najwyraźniej towarzyszy nam, na wypadek gdybym postanowiła uciec. Kiedy docieramy do Union City, zaczynam wpadać w panikę, bo nie mogę znaleźć bloku, którego szukamy.

– To gdzieś tutaj – mówię, raz po raz przeskakując z jednej strony minibusu na drugą. – Jestem tego pewna.

Doktor Banner zapisuje wszystko, co mówię, więc po chwili zmuszam się to zamknięcia ust i siadam na swoich dłoniach, żeby przestać nimi wymachiwać. Potem skręcamy za róg i mogę odetchnąć z ulgą, bo wreszcie go widzę – znajomy rząd opustoszałych parkingów i brzydkich niskich budynków przemysłowych.

– To tu! – wołam, pokazując palcem. – Widzi pan, mówiłam. Proszę się zatrzymać.

Wysiadamy. Budynek wygląda prawie jak ruina.

– Bez obaw, zawsze był w takim stanie – uspokajam go.

Podchodzę do drzwi wejściowych i ciągnę za klamkę. Nie chcą się otworzyć. Zaglądam do środka. W recepcji jest pusto. Widać tylko tabliczkę informującą o tym, że opuszczone budynki patroluje firma ochroniarska z psami. I drugą, z numerem telefonu biura nieruchomości.

– Claire, tu nikogo nie ma – mówi doktor Banner, stwierdzając oczywisty fakt.

– Niech pan zaczeka – proszę rozpaczliwie. – Pokażę panu mieszkanie. To, w którym wszystko filmowali. To tuż za rzeką.

Jednak jeszcze zanim docieramy na miejsce, domyślam się, co tam zastaniemy.

Drzwi otwiera jakaś kobieta z południowoafrykańskim akcentem. Mówi, że wynajęła to mieszkanie przez Airbnb. Miało świetne recenzje.

To samo z mieszkaniem poniżej – z tym, które zajmował Frank Durban.

Doktor Banner starannie unika mojego spojrzenia, ale zauważam, że Anton nie odstępuje mnie na krok.

– Czy mogę skorzystać z pana telefonu? – zwracam się roztrzęsiona do doktora Bannera.

– Do kogo chcesz zadzwonić, Claire?

– Do Franka... detektywa Durbana. Będzie mógł panu powiedzieć, gdzie jest doktor Latham.

Banner się waha.

– Zadzwonię do niego w twoim imieniu. A potem naprawdę będziemy musieli wracać. – Wyjmuję telefon i wybiera numer nowojorskiej policji.

Czekam, aż przekierują go do właściwej osoby. Kilkakrotnie powtarza, że próbuje się skontaktować z detektywem Frankiem Durbanem. W końcu z neutralnym wyrazem twarzy chowa telefon z powrotem do kieszeni.

– No i? Co powiedział? – Serce podchodzi mi do gardła.

– Detektyw Durban od trzech miesięcy jest na zwolnieniu chorobowym.

– To jakaś pomyłka – mówię bezradnie. – Chodził za mną. Pilnował mnie. Na litość boską, ustaliliśmy nawet hasło bezpieczeństwa...

– Jak ono brzmiało, Claire?

– Kan... Kam... – Sfrustrowana kręcę głową. – Nie pamiętam. – Znowu zaczynam płakać.

– Anton – mówi doktor Banner łagodnym tonem. – Odprowadzisz Claire do busa? Pora wracać do Greenridge.

Doktor Banner chce mnie poddać terapii grupowej. Wydaje się to raczej mało sensowne – bo niby jak rozmawianie z bandą rozchwianych umysłowo narkomanów miałyby naprawić to, co się stało? – ale ostatecznie zgadzam się spróbować, przede wszystkim po to, żeby zyskać jego przychyłność.

Jest nas ośmioro i spotykamy się w stołówce między posiłkami. Funkcję moderatorki pełni Orla, jedna z pielęgniarek z oddziału psychiatrycznego.

– Na początek powitajmy Claire – mówi niskim, spokojnym głosem. – Witaj, Claire. Gratulujemy, że wykonałaś ten ważny krok.

Rozlegają się letargiczne brawa.

– No dobrze – podejmuje Orla, zwracając się do młodego mężczyzny, który siedzi obok niej. – Ethan, może nam powiesz, jak ci upłynął ostatni tydzień?

Ethan zaczyna głądzić, że ma wyrzuty sumienia, bo okradł własną siostrę, żeby mieć pieniądze na narkotyki. Prawie go nie słucham. Właśnie sobie uświadomiłam, co mi przypomina ta sesja.

Ludzie zebrani wokół nauczyciela, recytujący po kolei swoje kwestie.

A potem brawa.

Biorąc przykład z Ethana, wszyscy uczestnicy sesji kontynuują wątek Naszych Okropnych Uczynków. Jedna kobieta dźgnęła męża nożem, myśląc, że jest diabłem. Ktoś inny próbował rzucić się przez okno na oczach dzieci.

Wreszcie przychodzi moja kolej.

– Claire – zwraca się do mnie Orla. – Czy coś cię ostatnio gryzie?

– Hm – zaczynam. – Przez pewien okres nie miałam na czynsz, a policja uniemożliwiła mi podjęcie pracy. No więc chodziłam po hotelach na Manhattanie i udawałam prostytutkę.

– Okej – mówi po chwili Orla. – Dziękujemy, że się tym z nami podzieliłaś. A teraz Anna...

– Zaraz, zaraz – odzywa się siedzący obok mnie mężczyzna o imieniu Michael. – Chwileczkę. Jak to wyglądało? Po prostu mówiłaś przypadkowym gościom, że jesteś dziwką?

Wszyscy się na mnie gapią.

No więc im opowiadam.

BAR W HOTELU ROOSEVELT, NOWY JORK, NOCĄ

REBECCA

Jak dużo zdarzyło ci się zapłacić za kobietę, Alan?

ALAN

Czteryście dolarów.

REBECCA

Pomnóż to przez dwa.

ALAN

Poważnie?

REBECCA

To nie ma nic wspólnego z powagą. Robię to dla zabawy – i właśnie dlatego jestem warta osiemset dolarów. Ale jeśli się rozmyśliłeś...

ALAN

Nie, zaczekaj. Niech będzie... osiemset.

REBECCA

Połowa płatna z góry.

ALAN

(wyjmując portfel)

Wszystko masz opracowane, co?

REBECCA

Oczywiście. Wejdziemy na górę osobno – ty pierwszy. Nie nawiązuj kontaktu wzrokowego z recepcjonistą.

– Tak naprawdę nie zamierzałam uprawiać z nimi seksu – podsumowuję. – Ale byłam przyzwyczajona do takich akcji, bo wcześniej pracowałam dla kancelarii prawnej jako zawodowa przynęta. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz nie płaciła mi żona, tylko mąż. Poza tym mógł zachować połowę gotówki i małżeństwo. W zasadzie korzystały na tym obie strony.

Grupa jest urzeczona. Naśladowałam głos żonatego Alana, używając monotonnego akcentu z New England – facet pochodził z „Ny Hampsza”, gdzie organizuje się „diablo” dobre polowania – a w głosie dziwki Rebeki pobrzmiwało przydymione, lekko zachrypnięte południe, gdzie coś fajnego jest czymś „fanym”.

Zapada długie milczenie. W końcu Orla otrząsa się z zamyślenia.

– Przejdźmy dalej – mówi. – Anno, chcesz się z nami czymś podzielić?

– Terapia grupowa pokazała, że jeszcze nie jesteś zdrowa – mówi doktor Banner. – Tak zresztą przypuszczałem.

Za późno uświadamiam sobie, że wpadłam w kolejną pułapkę.

– Jak długo zamierzacie mnie tu trzymać?

– Dotąd, aż przestaniesz stwarzać zagrożenie dla innych i dla samej siebie, Claire.

– Czyli ile jeszcze?

– Robisz postępy. Ale choć leki potrafią złagodzić bezpośrednie objawy, raczej nie rozwiązują problemów leżących u ich podstawy.

– W takim razie skąd będzie pan wiedział, że jestem już gotowa, żeby stąd wyjść? Czego pan szuka?

– Pytasz, jakiego rodzaju zachowanie będzie świadczyło o tym, że ci się polepszyło?

Kiwam głową.

– Nie wątpię, że gdybym ci powiedział, doskonale byś je zagrała – mówi z uśmiechem. – Pozwól więc, że ujmę to tak: będę wiedział, że wracasz do zdrowia, gdy przestaniesz udawać, że wracasz.

Nie wolno nam korzystać z internetu, ale w sekretariacie jest stary komputer podłączony do sieci. Widziałam, jak salowi zaglądnę na Facebooka, kiedy lekarzy nie ma w pobliżu.

Pacjenci mogą się zgłaszać do podstawowych prac porządkowych, żeby mieć jakieś zajęcie. Podejmuję się segregacji śmieci, dzięki czemu zdobywam dostęp do sekretariatu. Przekładam papiery wystarczająco długo, by podejrzeć hasło wpisywane przez jednego z salowych. Potem, późnym wieczorem, zakradam się z powrotem i loguję do systemu.

Szukam informacji o histrionicznym zaburzeniu osobowości. Pojawiają się linki. Większość z nich odsyła do stron poświęconych psychologii.

Dowiaduję się, że histrioniczne zaburzenie osobowości należy do zaburzeń osobowości typu B. Objawy obejmują nieustanne zabieganie o aprobatę, impulsywność, uporczywą potrzebę uwodzenia innych, ryzykowne zachowania seksualne, wybuchowość, skłonność do manipulowania innymi, poszukiwanie silnych doznań, strach przed porzuceniem, doszukiwanie się znaczenia w związkach, które w rzeczywistości nie istnieją, oraz tendencję do zniekształcania, odrzucania lub niewłaściwego interpretowania rzeczywistości. Osiemdziesiąt procent osób ze zdiagnozowanym histrionicznym zaburzeniem osobowości to kobiety. Występuje wśród nich nieproporcjonalnie wysokie prawdopodobieństwo podejmowania prób samobójczych i samookaleczania.

Dowiaduję się także, że słowo „histrioniczny” pochodzi od będącego obecnie w niełasce terminu „histeria”, a ten z kolei od greckiego określenia macicy. Na początku XX wieku histerię leczono wibratorami, ponieważ zaobserwowano, że cierpiące na nią osoby – jak można się domyślić, wyłącznie kobiety – wydają się po orgazmie mniej pobudzone. O jedno pokolenie wcześniej po prostu zamykano je w domach wariatów.

Inaczej mówiąc, może wcale nie jestem stuknięta. Może po prostu należę do tych kobiet, za którymi od dawna nie przepadają lekarze płci męskiej.

Wracam myślami do tego, co powiedziała Kathryn Latham podczas naszego pierwszego spotkania. „No cóż, brak jej pewności siebie, jest impulsywna, delikatna, nie panuje nad swoimi emocjami, nie radzi sobie z odrzuceniem i choć bardzo stara się to ukryć, pragnie akceptacji jak ćpun działki. To aktorka”.

I pamiętam, jak się poczułam, kiedy to powiedziała. Jaka byłam dumna. Doskonale wiedziała, jak mnie podejść.

Słusznie czy nie, teraz jestem jednak tutaj i muszę się stąd wydostać. Muszę zostać wzorową obywatelką bez objawów histrionicznego zaburzenia osobowości, modelowym przykładem zdrowia psychicznego. Spoglądając ponownie na listę objawów, uświadamiam sobie, że w gruncie rzeczy powinnam po prostu przestać flirtować z doktorem Bannerem i przekonać go, że jestem równie normalna i nudna jak on. Może wtedy mnie wypuści.

– Robisz postępy – przyznaje Banner podczas następnych konsultacji.

– Czy to znaczy, że zostanę wypisana?

– Claire, wolałbym jeszcze nie odstawiać leków. Poza tym ten konkretny zestaw farmaceutyków wymaga uważnego nadzoru. Gdy sąd będzie rozpatrywał sprawę przedłużenia twojego pobytu w szpitalu, zamierzam zalecić, żebyś jeszcze trochę u nas pobyła.

Mimo rozczarowania nadstawiam uszu. Nie wiedziałam, że ma się odbyć sprawa w sądzie.

– Jak pan uważa, panie doktorze – mówię potulnie.

Tej nocy znowu zakradam się do komputera i szukam informacji na temat procedury kierowania na przymusowe leczenie psychiatryczne. Okazuje się, że po dwóch miesiącach szpital musi się zwrócić do sądu o przedłużenie zezwolenia na przetrzymywanie mnie. Znajduję stronę internetową, na której jest napisane: „Pacjent powinien zostać poinformowany o złożeniu takiego wniosku. Ma prawo sprzeciwu, a także może zażądać, by reprezentował go Urząd do spraw Higieny Umysłowej lub adwokat”.

Przez chwilę widzę oczyma wyobraźni, jak reprezentuję siebie sama: stoję przed sędzią i wygłaszam długą dramatyczną mowę, która wszystko zmieni. Jestem majestatyczna, uprzejma, lecz płonę lodowatą determinacją. Jak Charlotte Rampling w *Werdykcie*.

JA

Wysoki Sądzie, jesteśmy tu po to, by bronić nie osoby, lecz zasady. Zasady rzetelnego postępowania sądowego.

Po chwili odpędzam tę myśl. Jeśli cokolwiek mogłoby dowieść, że mój stan się nie poprawił, to właśnie to.

Całkiem jak w *Paragrafie 22*. Jeśli sprawiam wrażenie, że mi się poprawiło, to na pewno stało się to dzięki lekom, a więc muszę zostać w szpitalu. Jeśli nie wygląda na to, żeby mi się polepszyło, potrzebuję więcej leków, a zatem muszę zostać w szpitalu. Mam ochotę krzyczeć z powodu niesprawiedliwości tej całej sytuacji.

Zamiast tego gapię się na ekran, rozpaczliwie szukając jakiegoś wyjścia. Na pewno jest ktoś, kto mógłby za mnie poręczyć. Ktoś, kto może powiedzieć sędziemu, że znajdowałam się pod ogromną presją. Kto może przysiąc, że nawet jeśli mam zaburzenie osobowości zdiagnozowane przez doktora Bannera – bo spójrzmy prawdzie w oczy: który aktor go nie ma? – to nie ono doprowadziło mnie do załamania, lecz gierki Kathryn Latham.

I wtedy coś sobie uświadamiam.

Jest ktoś taki. Na pewno się nie spodziewa, że nawiążę z nim kontakt. Ale nie mam nic do stracenia. A adres jego skrzynki mejlowej wciąż tkwi w mojej głowie. Podobnie jak cała reszta związanych z nim szczegółów.

A może tym, co skłania mnie do wniosku, że powinnam się skontaktować akurat z nim, są uczucia, które we mnie budzi.

Pieprzyć to. *Nie myśl*.

Na tym komputerze poczta jest zablokowana, ale mogę wejść na serwer ośrodka. Zakładam, że większość ludzi otworzyłaby mejla wyglądającego jak wiadomość ze szpitala psychiatrycznego. Na wszelki wypadek wpisuję w temacie: „PILNE! PATRICK, PROSZĘ, PRZECZYTAJ TO – TO NIE SPAM!”.

Drogi Patricku,

proszę, nie usuwaj tej wiadomości. W każdym razie nie rób tego, zanim ją przeczytasz.

Utknęłam w ośrodku psychiatrycznym gdzieś na północ od Nowego Jorku. Nie chcą mnie wypuścić – mój lekarz, facet o nazwisku Banner, jest przekonany, że jestem stuknięta, między innymi dlatego, że popełniłam błąd, mówiąc mu o doktor Latham i o całej reszcie, a poza tym dlatego, że kiedy tamtego dnia wybiegłam z twojego mieszkania, dokonałam kilku niewłaściwych wyborów.

Mogę sobie tylko wyobrazić, co Ci o mnie powiedzieli, żeby skłonić Cię do udziału w planie Kathryn (nawiasem mówiąc, o Tobie też zmyślili okropne rzeczy, ale to inna historia). Proszę, uwierz, że to prawie same kłamstwa.

Dlaczego więc piszę akurat do Ciebie? Bo nadal jestem przekonana – mimo tych wszystkich kłamstw i udawania – że łączyła nas więź, prawdziwa więź. Doktor Banner powiedziałby, że myślę tak tylko dlatego, że jestem wariatką z tendencją do zniekształcania, odrzucania albo niewłaściwego interpretowania rzeczywistości. Ale prawda wygląda tak, że jestem aktorką. I wiem, że pewnych rzeczy nikt nie potrafi udawać.

Wkrótce odbędzie się przesłuchanie, na którym zadecydują, jak długo mam tu jeszcze siedzieć. Lekarz chce, żebym została. Jeśli dopnie swego, dłużej chyba nie wytrzymam. Jedyne dwie inne osoby, które mogłyby poświadczyć, co się stało – Kathryn Latham i detektyw Durban – zniknęły. Patricku, gdybyś zechciał napisać coś – cokolwiek – co pokaże, że nie jestem tak stuknięta, jak tu myślą, naprawdę byś mi pomógł. Możliwe, że to moja jedyna szansa.

Twoja dawna przeciwniczka-ukośnik-kochanka-ukośnik-bratnia dusza
Claire

Pisanie zajmuje mi dużo czasu – odkąd się tu zjawiłam, nie robiłam niczego, co wymagałoby aż takiego wysiłku umysłowego. Dodaję po imieniu trzy buziaki, a potem je usuwam. Jestem wyczerpana. Gdy próbuję przeczytać mejla od początku, słowa wyginają się i tańczą na monitorze.

No cóż, albo to coś da, albo nie. Klikam „Wyślij”, a zaraz potem zaczynam się martwić, że wydam się Patrickowi żalowaną histeryczką.

Gdy się wylogowuję, dopada mnie strach innego rodzaju. Patrick nie usunie tej wiadomości. O wiele bardziej prawdopodobne jest to, że odeśle ją prosto do szpitala. A doktor Banner wykorzysta ją w sądzie. Będzie to wyglądało jak kolejny dowód, że jestem dokładnie taka, jak twierdzi.

Na myśl o tym, co napisałam, truchleję. „Dłużej chyba nie wytrzymam”. To równoznaczne z oznajmieniem, że mogę zrobić sobie krzywdę. Moje uwagi na temat Bannera – „lekarz chce, żebym została” – można uznać za objawy paranoi. A to, co napisałam o Patricku i rzekomo łączącej nas więzi – za klasyczne histrioniczne zaburzenie osobowości: przypisywanie znaczenia „związkom, które w rzeczywistości nie istnieją”.

Zalewa mnie fala mdłości, gdy sobie uświadamiam, że nie tylko nie poprawiłam swojej sytuacji, ale prawdopodobnie bardzo ją pogorszyłam.

Patrick nie odpowiada. Trwa przerwa międzysemestralna, więc może nie sprawdza swojej skrzynki uniwersyteckiej.

Łatwiej mi wierzyć w to, niż myśleć, że spojrział na moją wiadomość i po prostu ją wykasował.

Znowu zakradam się do komputera i szukam informacji na temat walki o swoje prawa w sądzie. Wygląda na to, że taka walka jest możliwa, tylko jeśli się ma pieniądze. Sędzia zazwyczaj przychyła się do wniosków lekarzy z zakładów psychiatrycznych. Jedyne sposoby, żeby odeprzeć ich argumenty, to zatrudnić innego psychiatrę, by wydał drugą opinię. Ale nawet gdyby było mnie na to stać, jak miałabym to zrobić, siedząc tutaj z mózgiem otumanionym lekami od doktora Bannera?

Odruchowo wpisuję w wyszukiwarce nazwisko Bannera. Pojawia się strona ośrodka. Dowiaduję się z niej, że w kręgu zainteresowań doktora medycyny Andrew Bannera znajdują się przede wszystkim „zaburzenia osobowości typu B, w tym zaburzenie osobowości borderline, histrioniczne zaburzenie osobowości i narcystyczne zaburzenie osobowości, na temat których napisał wiele artykułów”.

Drań, myślę. To dlatego tak mu zależy, żebym tu została. On mnie studiuje.

A może to tylko kolejny objaw paranoi?

Następnie szukam „psychologa sądowego Kathryn Latham”. Nie jestem zaskoczona, gdy niczego nie znajduję. Widocznie posługiwała się fałszywym nazwiskiem. Pewnie po to, żeby móc się wszystkiego wyprzeć. Kolejne z jej kłamstw.

Po chwili zastanowienia wpisuję adres Nekropolis.com. Jednym spośród wielu elementów operacji Kathryn, których nadal nie rozumiem, jest jej naleganie, żebym zainteresowała się akurat tą stroną. Mogę się tylko domyślać, że w jakiś sposób obserwowała moje interakcje z innymi użytkownikami. Ale po co? Czy miała nadzieję, że się zapomnę i wyjawię jakieś ważne informacje? A może ta strona ma jakieś inne znaczenie, które mi umknęło?

Nekropolis. Miasto umarłych. Jeśli się zastanowić, dziwna nazwa jak na stronę internetową o BDSM.

Wpisuję „Nekropolis + Baudelaire”. Pojawia się fragment wiersza.

Jam [nekropolis], którym światłość księżycy wzgardziła,

Gdzie długie czerwie niby wyrzuty się wloką

Trzymając najdroższych zmarłych, co leżą głęboko...

Oczywiście. Wiersz, który czytaliśmy z Patrickiem na głos podczas naszego pierwszego spotkania. Mam wrażenie, jakby to było w poprzednim życiu.

Wracam do Nekropolis, wpisuję dawny login, wchodzę na forum i piszę:

>>Czy ktoś z Was interesuje się Baudelaire'em?

Cisza jest ogłuszająca. Wokół toczą się ilustrowane zdjęciami rozmowy o różnych rodzajach pejczy.

– Claire?

To jedna z pielęgniarek z nocnej zmiany. Patrzy na mnie zdumiona.

– Co ty tu robisz?

Pospiesznie próbuję zamknąć okno, ale jestem zbyt powolna. Zauważa je.

– Co to jest? – bszta mnie, biorąc ode mnie myszkę i patrząc na monitor. – Claire, to, co właśnie robisz, jest sprzeczne z zasadami. I w twoim stanie może być szkodliwe. Będę musiała zawiadomić doktora Bannera.

Siedzę w sali telewizyjnej i czytam, a raczej próbuję czytać. Oprócz mnie jest tam tylko Głęb, którego od dwóch tygodni nie przywiązują już do łóżka. Wydaje się całkiem przyjaźnie nastawiony i zakładam, że skoro pozwolili mu chodzić swobodnie, jest nie bardziej niebezpieczny niż pozostali pacjenci.

Odkąd przyłapano mnie przy komputerze, doktor Banner zwiększył mi dawki leków. Już nie próbuję wydostać się z ośrodka. Wszystkie siły zużywam na otwieranie oczu.

W sali jest pudło ze starymi książkami, w którym grzebię w poszukiwaniu czegoś, czemu poddałby mój otumaniony mózg. To w większości westerny i powieści kung-fu. Oraz dwa szpitalne romanse, co w innych okolicznościach uznałabym za ironię losu.

Głęb podnosi głowę.

– Hej, Claire. Co tam masz?

Spoglądam bez entuzjazmu na powieść, którą właśnie znalazłam.

– *Wyznania młodej pielęgniarki*. A ty?

Patrzy na okładkę komiksu i jęczy:

– *Sędzia Dredd*.

– Zamienimy się potem?

– Nie czytam książek, w których nie ma obrazków – odpowiada z pogardą.

Siadam i wpatruję się w pierwszą stronę. Wyrazy wiją się jak robaki. Po chwili odkładam książkę i patrzę na telewizor. Pięćdziesiąt osiem procent widzów uważa, że kobieta powinna dać niewiernemu mężowi jeszcze jedną szansę.

– Claire, masz gościa.

Chyba przysnęłam. Podnoszę głowę i kieruję zapuchnięte oczy w stronę, z której dobiega głos salowego. Obok mnie Głęb porzucił *Sędziego Dredda* i tępo wpatruje się w telewizor.

W drzwiach stoi Patrick z wyrazem przerażenia na twarzy.

Idziemy do jednego z pokoi dla odwiedzających. Patrick nadal wydaje się wstrząśnięty. Domyślam się, jak wyglądam w jego oczach. Nie dość, że przytyłam, to jeszcze od tych wszystkich leków cała jestem w pryszczach. Moje tłuste włosy przypominają strąki.

– Jezu – mówi Patrick. – Claire, wyglądasz okropnie.

– Ty to potrafisz prawie dziewczynie komplementy. – Myślałam, że jego widok mnie uszczęśliwi, ale teraz sama nie jestem pewna, co czuję.

Przysuwając krzesło, o mało się nie przewracam. Na domiar złego leki zaburzyły moje poczucie równowagi.

– Tak mi przykro... Claire, tak mi przykro.

Domyślam się, że nie ma na myśli swojej uwagi na temat mojego wyglądu. Chcę mu powiedzieć, że to wszystko to nie jego wina, ale nie znajduję słów.

– Jeśli to jakieś pocieszenie – dodaje – mnie też okłamali. Doktor Latham i detektyw Durban. Teraz już to wiem.

Kręcę głową.

– Nie, jakoś mnie to nie pociesza.

– Więc może pocieszysz cię to: zamierzam pozwać nowojorską policję. Wykazała się rażącym brakiem odpowiedzialności. Właśnie dlatego tu jestem... W każdym razie między innymi dlatego. Chcę dopisać twoje nazwisko do pozwu.

Nie ogarniam tego wszystkiego.

– Dlaczego?

– Masz jeszcze większe powody niż ja: gdyby nie ta ich pułapka, nie próbowałybyś popełnić samobójstwa. Nie wylądowałaś tutaj. Właśnie rozmawiałem z twoim lekarzem. To kretyn. Potrzebujesz odpowiedniej pomocy. Zamierzam dopilnować, żebyś ją dostała. A zapłaci za to nowojorska policja. Zaczniemy od złożenia odwołania w sprawie twojego przymusowego leczenia.

– Patrick... czy ty... – Ta myśl wydaje się tak niemożliwa, tak cudownie chybiona i jednocześnie tak doskonała, że wybucham głośnym śmiechem. – Czy ty zamierzasz mnie uratować?

– A jeśli tak? – Przygląda mi się przez chwilę.

Zawstydzona swoim wyglądem, pochylam głowę. Wtedy nagle mówi:

– Napisałaś w mejlu, że łączy nas więź. Ale przedtem posunęłaś się znacznie dalej.

Pamiętasz?

Coś migocze za mgłą.

JA

Zakochałam się w tobie! Ostrzegali mnie, żebym tego nie robiła, ale byłam zbyt głupia. Nie rozumiesz? Kocham cię.

Nawet mimo leków pamiętam, jak dobrze było wreszcie wypowiedzieć te słowa na głos.

Zaciskam powieki.

– Tak. Pamiętam.

– Mówiłaś szczerze? Czy po prostu kazali ci tak powiedzieć?

– Nie wiem – wyznaję. – Wtedy myślałam, że naprawdę to czuję. Czulałam to tak wyraźnie, że aż bolało. Ale taka już jestem, Patricku. Aktorzy bez przerwy tak robią. Zakochują się w partnerze z planu. Nazywamy to showmansami. Złotem głupców. Mnie zdarza się to chyba

częściej niż innym.

– Rozumiem. – Rozgląda się po ponurym beżowym pokoju. – W każdym razie najważniejszym celem jest teraz wydostanie cię z tej nory. Dopóki nie zdecydujesz, co robić, możesz zamieszkać u mnie. Potem będziesz wolna.

Próbuję zaprotestować, ale nie dopuszcza mnie do głosu.

– Potrzebujesz opieki. Poza tym mam ukryty motyw. W końcu napisałem sztukę. Chciałbym, żebyś ją przeczytała.

– Patricku... – mówię bezradnie. – Nie jestem w stanie przeczytać nawet komiksu.

– W takim razie musisz odstawić leki. Porozmawiam z lekarzami. I z adwokatem, żeby cię stąd wy dostał.

Dwa tygodnie później wychodzę z Greenridge. Patrick uważa za oczywiste, że się do niego wprowadzę, a ja nie mam siły protestować. Instaluje mnie w pokoju gościnnym, robi mi kąpiele z paryskimi olejkami o słodkim zapachu, owija mnie olbrzymimi miękkimi ręcznikami i przygotowuje posiłki z organicznych produktów kupowanych w Westside Market i Citarelli. W budynku jest siłownia, więc zaczynam ćwiczyć, powoli zrzucając kilogramy, których przybyło mi w szpitalu, i przez cały czas unikając patrzenia na swoje odbicie w przeszklonych ścianach, ukazujących tysiące pulchnych Claire Wright.

Chcąc nie chcąc, pamiętam słowa Kathryn Latham. „Jeśli jest mordercą, jej bezbronność zwabi go tak, jak zapach krwi zwabia rekina”.

Ale Kathryn się myliła, myślę z przekonaniem. A poza tym kłamała.

Codziennie odwiedza mnie prywatny psychiatra, a wtedy Patrick taktownie wychodzi, zostawiając nas samych. Podczas pierwszych kilku spotkań doktor Felix pobiera mi krew, żeby sprawdzić poziom leków przepisywanych przez Bannera, ale przeważnie tylko rozmawiamy o tym, co się wydarzyło. Gdy opisuję rolę Kathryn w operacji, blednie ze złości. Mówi, że z tego, co wie o psychologii sądowej, zaplanowana przez nią pułapka policyjna prawie na pewno była nielegalna. Kiedyś próbowano zrobić coś podobnego w Wielkiej Brytanii – przynętą miała być policjantka pracująca pod przykrywką. Skończyło się na tym, że policjantka przeżyła załamanie nerwowe, sędzia odrzucił dowody, uznając je za sfabrykowane, a psychologowi postawiono zarzut przekroczenia uprawnień.

– Naprawdę, Claire, miałaś szczęście. W warunkach takiej presji każdy doświadczyłby zaburzeń tożsamości, a zwłaszcza nieprzeszkolony cywil.

Coraz częściej rozmawiamy o mojej przeszłości, o demonach, przed którymi uciekłam do Ameryki, a które jakimś cudem przemyciły się razem ze mną schowane w bagażu podręcznym. Doktor Felix podsuwa mi strategie, dzięki którym mogłabym przeformułować swoje wzorce myślowe, stosując technikę zwaną dialektyczną terapią behawioralną. Mówi mi, że wszyscy mamy pewne skrypty życiowe, narracje stworzone dla siebie w dzieciństwie, i jeśli pozostawi się je w niezmiennym kształcie, wpływają na całe nasze życie. Jego terapia polega na ujawnieniu tych skryptów i zmodyfikowaniu ich.

– Według jednej z teorii – wyjaśnia – zaburzenia typu B mogą być wynikiem pomylenia emocji odczuwanych przez dziecko z tymi, których oczekuje od niego opiekun. Jeśli rodzice zastępczy ignorowali albo nawet tłumili twoje potrzeby emocjonalne, mogłaś wykształcić rodzaje zachowań, o których mówił doktor Banner.

Przypomina mi się ostrzeżenie Paula. „W przypadku niektórych ludzi te miejsca są dosyć mroczne, Claire. Ale i tak trzeba do nich dotrzeć”.

Wieczorem w przeddzień wyjścia ze szpitala odwiedził mnie doktor Banner. Myślałam, że będzie zły, bo przecież znalazłam sposób, żeby się od niego uwolnić, ale jeśli był, dobrze to ukrywał.

– Claire, właściwie to nie jestem zaskoczony, że nas opuszczasz – powiedział. – Większość psychiatrów uznałaby, że jeśli człowiek funkcjonuje dobrze, to znaczy, że jest z nim dobrze. A wszystko wskazuje na to, że funkcjonujesz całkiem dobrze.

Przygotowałam się na „ale”.

– Ja uważam inaczej, dlatego że specjalizuję się w tych konkretnych zaburzeniach. I widzę to, czego większość lekarzy nie widzi, czyli że grasz. Udajesz kogoś, kim nie jesteś.

– Ma pan rację – powiedziałam bardzo cicho, tak że musiał się pochylić, żeby mnie usłyszeć. – Jestem tak samo stuknięta jak dawniej. Ale ten gość z jabłonią w brzuchu też był stuknięty.

Tydzień po tym, jak się wprowadziłam, Patrick zabiera mnie promem na Liberty Island. Po przybyciu do Nowego Jorku nigdy nie interesowałam się atrakcjami turystycznymi, więc to wszystko jest dla mnie nowością.

Stoimy u stóp pustej w środku damy, patrząc, jak światła Manhattanu tańczą na srebrnoczarnej wodzie.

– Claire – odzywa się w końcu Patrick – jak duża część osoby, w której się zakochałem, była prawdziwa?

– Kathryn była bardzo sprytna. Zachowała wystarczająco dużo mnie, żeby to wszystko wypadło wiarygodnie. – Spoglądam na niego. – Ostrzegam cię, prawdziwa Claire może ci się nie spodobać. Przede wszystkim w większym stopniu jestem aktorką. Kathryn mówiła, że „rozpaczliwie zabiegam o aprobatę”. W jednej chwili zmieniam zdanie na temat rzeczy, które mnie fascynują, lubię być w centrum uwagi i bywam agresywna. Aha, i rzadko jestem potulna, nie jestem typem ofiary i nigdy, przenigdy nie zachowuję się ulegle. Claire, którą poznałeś, została rozrzedzona przez Kathryn, żeby bardziej podobała się mężczyźnie.

– Wydajesz się fascynująca – mruczy. Wpatruje się w sztuczne ognie rozbłyskujące na niebie nad Battery Park. – Zaryzykuję.

Wzdycham.

– Poza tym jestem łatwowierna. Nawet kiedy byłam pewna, że tego nie zrobiłeś, przekonała mnie, że po prostu za bardzo wczułam się w rolę.

– Claire, nie zabiłem Stelli.

– Wiem. Chyba zawsze wiedziałam. – Odwracam się i obserwuję jego profil. – Ja też jej nie zabiłam.

Kiwa głową.

– Jeśli chcesz, poddam się testowi na wykrywaczu kłamstw – dodaję.

Uśmiecha się.

– To nie będzie konieczne.

Obydwoje milczymy.

– Wiedziałem, że tego nie zrobiłaś, już kiedy poszliśmy do teatru – oznajmia. – Kiedy podszedł do ciebie ten aktor.

– Raoul – mówię. – Raoul śpiewający szczur. Ten, którego walnąłeś głową.

– Spanikowałem – wyznaje ze słabym uśmiechem. – Myślałem, że wszystko zepsuje. Ale był dla ciebie taki podły... Kiedy go uderzyłem, poczułem, że zrobiłem dobrze. A potem, w taksówce, kiedy byłaś smutna... Następnego dnia powiedziałem im, że moim zdaniem na pewno jesteś niewinna.

– W takim razie ja byłam szybsza. Mówiłam im to od wieków. Biedna Kathryn. Dziwne, że nie odwołała całej operacji.

Już gdy to mówię, coś przemyka na krawędzi mojego umysłu. *Właśnie, dlaczego tego nie zrobiła? Po co było to ciągnąć, skoro wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie?*

Może miało to jakiś związek ze stroną internetową?

– Aha, ja też jestem sierotą – dodaję. – Chyba to było najtrudniejsze: nie móc ci o tym powiedzieć.

Patrick powoli kiwa głową, gdy dociera do niego znacznie moich słów.

– Myślę, że od początku o tym wiedziałem. Z całą pewnością czułem, że jesteśmy podobni w sposób, w jaki inni ludzie nie są. – Sięga po moją dłoń. – Claire, spytałem cię o to

w szpitalu, ale w zasadzie mi nie odpowiedziałaś. Myślę, że teraz czujesz się już lepiej, więc spytam jeszcze raz. Czy jest szansa, żebyśmy zaczęli od nowa? A może zbyt wiele wody przepłynęło już pod mostem?

Patrzę na elegancką żelazną sieć mostu Brooklyńskiego. I nagle ogarnia mnie cudowne uczucie, że wszystko jest możliwe.

– Niektóre mosty są bardzo wytrzymałe – mówię.

Tego wieczoru kochamy się po raz pierwszy, odkąd mnie wypuścili. Albo – bo uzgodniliśmy, że właśnie tak będziemy do tego podchodzić – po raz pierwszy, i kropka. On i ja, nadzy, obnażeni przed sobą nawzajem w każdym sensie. Bez kostiumu oszustw.

Patrick całuje moje blizny, trzy wąskie czerwone ślady biegnące w poprzek lewego przedramienia. Pielęgniarka w Greenridge powiedziała, że z czasem zbledną. Mam nadzieję, że nie. Wcale się ich nie wstydę.

Potem wchodzi we mnie z nieskończoną delikatnością, podtrzymując dłonią moją głowę, żeby móc patrzeć mi w oczy.

Myśl, że mogę być tak uważnie obserwowana, budzi we mnie strach, więc staram się schować przed Patrickiem, uciec od zagrożenia. Przypominam sobie te wszystkie przypadki, kiedy śpiąc z obcym facetem, udawałam kogoś innego. Czasami odgrywałam przyjemność, czasami tylko udawałam przed sobą, że ją udaję. Ale zawsze grałam.

Uświadamiam sobie, że właśnie to mnie tak przerażało. Myśl, że ktoś zobaczy mnie taką, jaka naprawdę jestem.

Poczucie obnażenia potęguje wszystkie doznania. Gdy przychodzi orgazm, uderza we mnie jak fala, targając mną i miotając z siłą morskiego prądu, i gubię się niczym zrozpaczony, płaczący rozbitek: z mojego gardła wydobywają się nieskładne słowa, moje nogi dygoczą, plecy wyginają się w łuk, wszystkie mięśnie niekontrolowanie drgają.

– Więc tak wyglądasz, kiedy robisz to naprawdę – szepcze Patrick.

Dopiero po kilku dniach czuję się na siłach, żeby sięgnąć po sztukę Patricka. Nawet wtedy słowa mi umykają. Ale ponieważ napisał je Patrick, nie poddam się. Po jakimś czasie czytam dwie strony naraz, potem trzy, w końcu całe sceny.

Moje serce obnażone zaczyna się latem 1857 roku w zapuszczonym mieszkaniu, w którym Baudelaire mieszka ze swoją kochanką Jeanne Duval. Kobieta narzeka na biedę, w jakiej żyją. Baudelaire zawsze powtarzał, że po wydaniu *Kwiatów zła* będzie bogaty. Zamiast tego książkę skonfiskowano i wytoczono mu proces o obsceniczność. Jeśli zostanie uznany za winnego, nałożą na niego karę grzywny albo zamkną go w więzieniu.

Jeanne każe mu dokonać wyboru. Powinna sprzedać klejnoty, które kupił jej za zaliczkę, czy prostytuować się na ulicy, jak była zmuszona robić wiele razy w przeszłości?

Baudelaire jest rozdarty. Wie, że musi paść na klejnoty, ale nie zniósłby, gdyby je sprzedała, nie założyłszy ich dla niego po raz ostatni. Jeanne znika w sypialni i wraca naga, mając na sobie tylko biżuterię. W tym miejscu dialog zaczyna się toczyć wierszem:

Najdroższa, dobrze znając me upodobania,

Choć naga, zatrzymała klejnoty na sobie...

Przerzucam kolejne strony i widzę, że cała sztuka ma taką strukturę: sceny z życia przeplatane wierszami Baudelaire'a. Dla reżysera to wyzwanie – ale wyzwanie intrygujące.

Gdy kończą się kochać, Jeanne wychodzi, żeby sprzedać klejnoty, a Baudelaire'a odwiedza jego przyjaciel Flaubert. Flaubert, który niedawno też był sądzony za obsceniczność po napisaniu *Pani Bovary*, lecz został uniewinniony, mówi Baudelaire'owi, że tym razem władze są zdeterminowane, by dopiąć swego. Ostrzega Baudelaire'a, radząc mu jak najszybciej znaleźć wpływowe osoby, które mogłyby pociągnąć za sznurki w jego sprawie.

Baudelaire dochodzi do tego samego zniechęcającego wniosku. Przychodzi mu na myśl tylko jedna osoba: Apollonie Sabatier, Biała Wenus – kobieta, do której słał anonimowo najbrutalniejsze i najokrutniejsze wiersze z *Kwiatów zła*.

Następna scena rozgrywa się w domu Apollonie. Baudelaire rozmawia z nią po raz pierwszy od wydania tomiku poezji – od chwili, gdy odkryła, że tajemniczy wielbiciel, który przysyłał jej te dziwne, drastyczne wiersze, to pisarz bez grosza przy duszy bywający w jej salonie. Scena jest elektryzująca. Apollonie chce wiedzieć, dlaczego to robił. Baudelaire odmawia tłumaczenia się. Gdy kobieta pyta, czy w jego głowie naprawdę kłębią się takie myśli – czy rzeczywiście żywi do niej te brutalne uczucia – Baudelaire odpowiada, że powinna spytać o to wiersze, nie jego.

Apollonie odpowiada, że pytała. I znając go, woli wierzyć, że brutalność tych wierszy to tylko narzędzie literackie zastosowane dla uzyskania sensacyjnego efektu, a nie wynurzenia prawdziwie zdeprawowanego umysłu.

Jej kwestie są jednak napisane w taki sposób, jakby próbowała przekonać samą siebie.

Na zakończenie sceny Apollonie mówi, że postara się mu pomóc, ale w zamian po procesie poprosi go o przysługę, którą Baudelaire będzie musiał jej wyświadczyć bez względu na to, czego będzie ona dotyczyła. Baudelaire domyśla się, że Apollonie poprosi go, by obiecał, że

nigdy więcej nie będzie się z nią widywał ani do niej pisał, lecz nie ma innego wyjścia. Zgadza się zapłacić podaną przez nią cenę.

W tym momencie przerywam lekturę, żeby zastanowić się nad tym, co właśnie przeczytałam. Scena z Jeanne Duval była dobra, ale nieco uproszczona. Scena z Apollonie to co innego. Postać wręcz wyskakuje ze stron, skomplikowana i rozdarta, zafascynowana i jednocześnie przerażona mrokiem, który wyczuwa w sercu poety.

Tak jak ja byłam zafascynowana tym, co wyczułam w Patricku, myślę.

Drugi akt sztuki w całości dotyczy procesu. Na swoją obronę Baudelaire z elokwencją mówi o sztuce pozbawionej przekazu moralnego. Gdy jednak prokurator pyta go, jak by się poczuł, gdyby ktoś zainspirowany jego poezją popełnił zły czyn, Baudelaire traci pewność siebie. Twierdzi, że wiersze mogą pokazywać niemoralność, ale jej nie celebrują. Prokurator czyta kilka fragmentów, które wyraźnie przeczą słowom poety, i powtarza swoje pytanie: „Jak by się pan poczuł, gdyby ktoś zainspirowany pańską poezją popełnił zły czyn?”. Baudelaire uparcie twierdzi, że wszyscy miewamy drożne myśli – on tylko udzielił im głosu. Najwidoczniej jednak idea, że mógłby inspirować naśladowców, wcale nie jest mu niemiła.

Proces trwa niespełna dzień. Sąd postanawia ocenzurować sześć najbardziej ekstremalnych wierszy, a na Baudelaire'a nakłada olbrzymią grzywnę w wysokości trzystu franków.

Baudelaire ponownie udaje się do Apollonie. Zbyt późno domyślił się, że wstawiając się za nim, dopilnowała także, by zakazano jego najbrutalniejszych wierszy o niej.

Kobieta nie zaprzecza. Przypomina mu jednak o tym, co obiecał.

„Dobrze – mówi z ciężkim sercem Baudelaire. – Czego zatem chcesz, pani?”

Apollonie oznajmia mu, że chce się z nim przespać.

Doszła do wniosku, że tylko w ten sposób będzie mogła odkryć, jakie naprawdę żywi do niej uczucia – czy prawdziwy Charles Baudelaire jest okrutny, czy czuły.

„A na kórego liczysz, pani?”, pyta cicho Baudelaire.

Widzimy, że jest rozdarta, że w głębi duszy ma nadzieję, że Baudelaire naprawdę jest diablem, jakim ukazują go jego wiersze. Wcześniej kochali ją sentymentalni, nieśmiali mężczyźni. Nigdy nie adorował jej ktoś, kto pragnie ją czcić i jednocześnie pozbawiać czci.

Mimo to Apollonie uparcie twierdzi, że wie, iż tak naprawdę Baudelaire ma dobre serce.

Idą do łóżka. W kulminacyjnym momencie następuje blekaut. Nazajutrz Baudelaire przysłał jej słynny już list, w którym ją odrzuca.

Sztuka jest dobra. Patrick jak prawdziwy dramaturg wyważył argumenty. Daleko temu do gloryfikowania dekadencji – utwór ukazuje ją jako rodzaj narcyzmu, zadufania w sobie artysty, który dąży do oryginalności za wszelką cenę.

Przed wszystkim jednak to opowieść o mężczyźnie i kobiecie próbujących odgadnąć, co nimi kieruje. Ustalić, co naprawdę dzieje się w głowie tej drugiej osoby.

Nietrudno się domyślić, skąd Patrick czerpał inspirację. To nasza historia – historia operacji policyjnej przeniesiona do dziewiętnastowiecznego Paryża.

To także historia bez rozstrzygnięcia. Czy Apollonie idzie do łóżka z Baudelaire’em z powodów, które mu podała? A może się w nim zakochała? Czy ma nadzieję, że jej nagie ciało w jakiś sposób wyssie jad z jego gwałtownej obsesji na jej punkcie? Jeśli tak, być może jej się udało. Po tej nocy przestał pisać dla niej sadystyczne wiersze. Zerwał nawet z Czarną Wenus i zamieszkał na wsi ze swoją owdowiałą matką. W ostatniej scenie zrywa w ogrodzie świeży kwiat, a następnie wkłada go do butonierki.

Co do samego Baudelaire’a, sztuka nie daje pełnej odpowiedzi na pytanie, które zadała mu Apollonie: czy naprawdę czuł to, o czym pisał, czy też po prostu próbował wszystkich zaszokować? „Co bym zobaczyła, gdybym mogła zajrzeć do pańskiego serca?”

Wszystkie role są dobrze napisane. Ale najciekawszą postacią do zagrania będzie Apollonie.

– Twoja sztuka mnie zachwyciła – oznajmiam Patrickowi, gdy wraca do domu. – Jest prowokująca, ale wielopłaszczyznowa. Pełna niuansów.

– Więc zrobisz to? – pyta z przejęciem.

– Co?

– Zagrasz Apollonie?

Od razu psuje mi się humor.

– Patricku, nie mogę – mówię markotnie. – Frank i Kathryn nic ci nie mówili? Nie wolno mi tu pracować. Właśnie dlatego udało im się wciągnąć mnie w ten ich głupi plan.

– Nie słyszałaś o programie wymiany Equity? Praca dla brytyjskiego aktora tutaj w zamian za pracę dla amerykańskiego aktora w Wielkiej Brytanii.

– Tak, ale tylko producenci mają dostęp...

– A ja jestem producentem.

– O czym ty mówisz?

– Sam zamierzam wystawić tę sztukę. Na Broadwayu.

– Na Broadwayu?

– Dokładniej mówiąc, pod numerem 2960. Wybacz, to bardzo daleko od Times Square, ale tylko na taką lokalizację było mnie stać.

Nadal patrzę na niego z oszołomioną miną, więc dodaje:

– Na uniwersytecie jest teatr. Wynajmę go. Nie łudzę się, że na tym zarobię, ale kogo to obchodzi? To będzie małe przedstawienie, ale recenzenci i tak na nie przyjdą. Nie wyobrażam sobie niczego, na co bardziej chciałbym wydać pieniądze Stelli.

– Patricku... – protestuję słabym głosem.

– Po prostu się zgódź.

– Nie rozumiesz? – Zaczynam się denerwować. – Proponujesz mi coś, czego najbardziej pragnę. Wspaniałą rolę w nowej sztuce i premierę w jednym z miast, które dla teatru są najważniejsze na świecie. Ale to niemożliwe. Pomijając całą resztę, po prostu nie jestem w formie.

– Znajdziemy wspaniałego reżysera – oznajmia zwyczajnie. – I oczywiście wspaniałą obsadę. Moje kieszenie są głębokie, Claire, a bez ciebie tej sztuki nie będzie.

– Nie mogę się zgodzić.

– Nie ma w tym żadnych haczyków – dodaje, jakby mnie nie słyszał. – Mam nadzieję, że to oczywiste.

Zaciskam powieki. Wiem, że powinnam odmówić. Ale jakaś inna część mnie już myśli: *Czemu nie?* Już czuję, jak wraca mi energia. Zaczynam zrzucać dodatkowe kilogramy. Poprawia mi się cera. I mimo tego, co przed chwilą powiedziałam, wiem, że jestem bardziej niż zdolna do zagrania tej roli.

To mogłaby być ta szansa, po którą przyjechałam do Ameryki. Nie przypuszczałam, że przyjmie taką formę, ale debiut to debiut.

Jest coś jeszcze. Jeśli ta sztuka opowiada naszą historię, to wystawienie jej wspólnie mogłoby być okazją do napisania naszego związku na nowo. Dla prawdziwej mnie i dla prawdziwego Patricka – okazją do odsłonięcia przed sobą tego, co kryje się w naszych sercach. I tym razem byłabym na swoim terenie. W swoim żywiole. Na scenie.

Idę do Jess po swoje rzeczy. Słyszę, jak wydaje zduszony okrzyk, gdy przez domofon dobiega ją mój głos, i jeszcze zanim docieram do mieszkania, stoi na korytarzu i patrzy na mnie z otwartymi ustami.

– Jezu, Claire! – woła. – Co się stało, do cholery?!

– Sprawy się... skomplikowały.

– Minęły trzy miesiące. Skontaktowali się ze mną ludzie z uczelni. Pytali, dlaczego zrezygnowałaś z zajęć. Musiałam im powiedzieć, że nie mam pojęcia. Zjawiała się też twoja agentka.

– Marcie tu była?

Jess kiwa głową.

– Martwiła się o ciebie. Powiedziała, że zdarzało ci się już wypaść z kursu.

– To lekka przesada – mamroczę. – Ale miło, że się przejęła. Mogę wejść?

– Chyba tak. – Jess jest skrepowana.

– Pewnie wiszę ci kupę forsy za czynsz – mówię, wchodząc za nią do środka. – Mogłybyśmy to jakoś rozwiązać.

Odruchowo spoglądam w stronę drzwi do mojego pokoju. Na klamce wisi męska koszula w opakowaniu z pralni.

– Claire, naprawdę mi przykro – mówi żalonym tonem. – Musiałam wynająć twój pokój. Tata nalegał.

– Aha. No pewnie, rozumiem – mówię, choć po cichu liczyłam na to, że tego nie zrobiła. – Gdzie są moje rzeczy?

– W schowku. O mało nie oddałam ich twojemu bratu.

– Komu? – Teraz to ja gapię się na nią z otwartymi ustami. – Ja nie mam brata.

– Twojemu przybranemu bratu Johnowi. Wpadł kilka dni temu ze swoją narzeczoną, szukał cię. Zdobył adres na uczelni. Miał nadzieję, że się spotkacie przy okazji jego wizyty w Nowym Jorku. Przyjechał tu tylko na tydzień.

– A, masz na myśli tego brata. – Nie ma sensu wyjaśniać Jess, że kiedy wychowujesz się w rodzinie zastępczej, „bracia” to po prostu inni ludzie, którzy przypadkiem przez jakiś czas dzielą z tobą życie. Mimo wszystko John należał do tych lepszych. – Jakie wrażenie zrobiła na tobie jego narzeczoną?

– Wydawała się miła. Bardzo twardo stąpa po ziemi. W każdym razie zapisałam jego numer. – Po chwili wahania dodaje pospiesznie: – Słuchaj, powiedziałam mu o pieniądzach. Nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić. To znaczy oddałam tacie tyle, ile byłaś mi winna, ale sprzątając w twoim pokoju, znalazłam resztę i nie byłam pewna...

– Aha – mówię. – Znalazłaś moje pieniądze.

Kiwa głową.

– Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

– Może pomyślałaś, że ukradłam je Stelli Fogler. – Wiem, że właśnie tak myśli. – Że to pieniądze, które zniknęły, kiedy została zamordowana.

– Nie – zaprzecza. Co znaczy „tak”.

– Pracowałam jak wariatka, żeby oddać twojemu tacie za czynsz. Tysiąc sto dolarów w ciągu miesiąca, pamiętasz?

– Przecież nie mogłaś pracować. Tak mi powiedziałaś.

– Powiedziałaś ci, że policja zabroniła mi pracować dla Henry’ego. Więc zdobyłam te pieniądze na własną rękę.

– Nie nadążam. – Po chwili zaczyna rozumieć. – Aha – mówi. – Jezu, Claire. Jezu! Dlaczego czegoś nie powiedziałaś? Tata by zrozumiał...

– O, z pewnością – mówię z goryczą. – Twój tata rozumiał to bardzo dobrze. Wręcz doskonale.

– Co masz na myśli? – pyta ściszym głosem.

– Zjawił się tu kilka razy, kiedy byłaś na próbach. Sprawdzał korki, naprawiał umywalkę, którą rzekomo zatkałyśmy swoimi dziewczynskimi śmieciami, i tak dalej. No więc pomyślałam, że spróbuję z nim porozmawiać. Liczyłam na to, że zyskam trochę czasu. Okazał się naprawdę życzliwy.

– Zaraz, zaraz. – Jess wpatruje się we mnie. – Chwileczkę. Jeśli to zmierza w kierunku, w którym myślę, że zmierza, to chyba nie...

Kiwam głową.

– Specjalna zniżka za świadczone usługi. Oczywiście za usługi świadczone w ratach. Odmówiłam, cokolwiek to znaczyło. Dlatego że nawet dla mnie byłoby to trochę dziwne: pieprzyć się z ojcem współlokatorki. Może dlatego tak mu zależało, żeby pozbyć się stąd moich rzeczy.

– O Boże, Claire. Nie miałam pojęcia... – Jess bardzo zbladła.

– Skąd mogłaś wiedzieć? To nie była twoja wina.

Jess zaczyna płakać.

– Powinnaś była coś powiedzieć.

– Miałam nadzieję, że nie spieprzę twoich relacji rodzinnych. Zdaje się, że właśnie je spieprzyłam, i to koncertowo. – Wzdycham. – To wszystko wina terapii. Czasami myślę, że prawda jest przereklamowana. Ale w szpitalu bardzo ją lubili.

Jess podchodzi do lodówki i drżącą ręką wyjmuję z niej butelkę wina.

– Chyba powinniśmy ją otworzyć.

Potem oczywiście chce się dowiedzieć, co się wydarzyło, odkąd tamtego ranka wyszłam z jej mieszkania z Frankiem Durbanem i torbą podróżną. Słucha z niedowierzaniem, gdy opowiadam o tajnej operacji, o moim załamaniu, o Greenridge. Ale w największe osłupienie uprawia ją to, że teraz mieszkam u Patricka i zamierzam zagrać w jego sztuce.

– No więc – podsumowuję – chyba ostatecznie spadłam na cztery łapy. W miłości, w pracy i w starych dobrych Stanach Zjednoczonych. Potrójny sukces.

Jess wreszcie odzyskuje głos.

– Zakochałaś się. W człowieku, który być może zamordował żonę, dlatego że próbowała od niego odejść.

– To były tylko wymysły Kathryn.

– Widziałam konferencję prasową – przypomina mi Jess. Jej głos zrobił się piskliwy. – Obie ją widziałyśmy. Ten facet był podejrzany.

– Wiem, co robię.

– Powiedziała kobieta, której doświadczenie w sprawach sercowych ograniczało się dotąd do żonatego babiarza na planie filmowym. Powiedziała kobieta, która właśnie wydostała się ze szpitala psychiatrycznego. Jezu, Claire. Byłaś bezpieczniejsza, kiedy chodziłaś po barach i podrywałaś przypadkowych nieznajomych. – Wpatruje się we mnie, jest zaszokowana. – A może właśnie o to chodzi? Może w głębi ducha podoba ci się to, że być może sypiasz z psycholem?

– Patrick nie zabił Stelli.

– W takim razie kto to zrobił? – pyta ostro.
Na to pytanie oczywiście nie znam odpowiedzi.

– Moim zdaniem to świetny materiał. Dzięki odpowiedniej inscenizacji mógłby zrobić spektakularne wrażenie. Wrażenie, któremu towarzyszy poważne pytanie: jaką odpowiedzialność ponosimy my, artyści, za wpływ naszej pracy na prawdziwy świat?

Patrick zorganizował spotkanie z Aidanem Keatingiem, młodym przystojnym reżyserem słynącym z zamiłowania do ryzykownych tematów. W ubiegłym roku zdobył nagrodę Tony za wznowienie *Nosorożca* Ionesco. Bardzo się staram nie wyglądać jak oczarowana fanka.

– Jednak w przedsięwzięciu na tak małą skalę wszystko zależy od obsady – dodaje Aidan. Jego przysłonięte kręconymi jasnymi włosami oczy szybko przesuwiają się w moją stronę.

Wiem, co sobie myśli. „Jeśli pozwolę temu facetowi obsadzić jego dziewczynę, będzie to wyglądało jak schlebianie czyjejs próżności”.

– Oczywiście – odpowiada spokojnie Patrick. – Dlatego od razu pomyślałem o Claire w roli Apollonie. Claire jest absolwentką Actors Studio.

– Studiuję w Actors Studio na Pace – bąkam. – W zasadzie to jeszcze nie skończyłam...

– Wiem – przerywa mi Aidan. – Bez urazy, Claire, ale jeśli chcemy, żeby ta sztuka odniosła sukces komercyjny, potrzebujemy aktorów, których nazwiska przyciągną publiczność. Obecnie jest taki trend, że gwiazdy filmu i telewizji od czasu do czasu grywają w teatrze. To mógłby być atrakcyjny nośnik.

– Oczywiście. Rozumiem. – Staram się nie okazywać rozczarowania. – Sukces sztuki jest najważniejszy.

– Rola Claire nie podlega dyskusji – oznajmia chłodno Patrick. – Myślałem, że to jasne. Będziesz miał swobodę w doborze reszty obsady i w razie potrzeby zapewnię ci budżet, żebyś mógł skusić parę sław, ale jeśli nie jesteś gotów przyjąć moich warunków, to nie jesteś odpowiednią osobą do tej roboty.

Przez chwilę mierzą się wzrokiem. Choć żadnemu nie drga nawet mięsień, obaj wyglądają coraz groźniej – to zasługa jakiegoś subtelnego, podświadomego ułożenia ciała i oddechu.

– A co ze scenariuszem? – rzuca wyzywająco Aidan. – Zrobiłem notatki, zwłaszcza do drugiej połowy. To hollywoodzkie zakończenie jest fatalne. Niektóre dialogi zgrzytają. Szczególnie Jeanne popada w banał za każdym razem, kiedy się rozbiera. Żadna szanująca się aktorka nie ruszy tej roli w takim kształcie.

– Jako autor dramatu odniosę się do wszystkich proponowanych przez ciebie zmian – mówi Patrick.

– Chciałbym mieć zapisaną w kontrakcie gwarancję zatrudnienia. Nie mogę pozwolić, żebyś mnie zwolnił, jeśli przestaniemy się zgadzać w kwestii rozwiązań artystycznych.

– Trudno to uznać za standardowy wymóg.

– To nie są standardowe okoliczności. Jeśli dasz mi pełną kontrolę, scenariusz, z którym będę mógł pracować, i odpowiedni budżet, przyjrzę się Claire na przesłuchaniu. To wszystko, co mogę obiecać.

– Najpierw przesłuchanie – mówi szorstko Patrick. – Jeśli spodoba ci się to, co zobaczysz, umowa stoi.

W zasadzie nie mam ochoty spotykać się z przybranym bratem i jego narzeczoną, ale w połowie butelki Jess zaczęła mnie o niego wypytywać, a ponieważ puściłam farbę w sprawie jej ojca, nie chciałam wyjść na kogoś, kogo nie obchodzi jego własna rodzina, nawet jeśli rzeczywiście tak jest. Dlatego obiecałam, że się z nim skontaktuję.

Poza tym miałam lekkie poczucie winy w związku z całą tą sprawą z jej ojcem. Tak naprawdę możliwe, że ponoszę winę za tę sytuację w równym stopniu co on. To znaczy przyszło mi do głowy, że skłonienie go do złożenia mi propozycji i odrzucenie jej mogłoby być mocnym argumentem w zbliżających się negocjacjach dotyczących czynszu. Oczywiście nie miałam zamiaru wspominać o tym Jess. Po prostu się wkurzyłam, kiedy usłyszałam, że jej ojciec nalega, by Jess pozbyła się moich rzeczy. W jednej chwili słowa wpadły mi do głowy, a w następnej wyszły przez usta.

Mam wrażenie, że po pobycie w Greenridge stałam się bardziej impulsywna. I bardziej wkurzona. A nawet wybuchowa i skłonna do manipulowania innymi, by zacytować listę objawów podaną przez doktora Bannera.

Możliwe jednak, że po prostu zazdroszczę Jess ojca. Kogoś, kto kupił jej mieszkanie, kto dba o jej bezpieczeństwo, kto się nią przejmuje.

W każdym razie Jess zmusiła mnie do napisania do Johna paru esemesów i teraz czekam na niego i jego narzeczoną w barze ze stekami tuż przy Times Square. Obok mnie siedzi Patrick. Nie prosiłam, żeby ze mną przyszedł, ale powiedział, że chce poznać jednego z nielicznych członków mojej rodziny zastępczej. A ja uświadomiłam sobie, że chciałabym się nim pochwalić. Pokazać Johnowi, że nie tylko jemu poszczęściło się w miłości.

– Claire!

Oto i oni. Zrywam się z miejsca i z lekko przesadzonym entuzjazmem ściskam Johna, a potem podaję dłoń jego dziewczynie, którą nazywa „naszą Alice”. Przedstawiam Patricka, on gratuluje im zaręczyn. John z dumą ściska ramię Alice. Oceniam, że dziewczyna wygląda w porządku. Rozumiem, dlaczego Jess użyła sformułowania: „bardzo twardo stąpa po ziemi”. Alice ubrała się jak na pieszą wycieczkę po wiejskich terenach – praktyczne buty, dżinsy, anorak North Face, szaszetka na pasku – a John nosi plecak i ma na sobie krótkie bojówki, mimo że jest już prawie koniec września. Przypominam sobie, że zawsze nosił szorty, nawet kiedy padał śnieg. Natychmiast żałuję, że tak się wystroiłam. Patrick powiedział, że bym korzystała z ubrań Stelli, dopóki nie odbiorę własnych ze schowka, ale jej ciuchy są dla mnie trochę zbyt eleganckie.

– Jak miło cię widzieć – mówi John, siadając.

Nie stracił akcentu z Yorkshire, mimo że, jak mnie informuje, od trzech lat pracuje w Londynie.

– Mówisz całkiem jak jankeska – dodaje. – Z lekką domieszką wytwornej angielszczyzny.

– Większość tutejszych taksówkarzy bierze mnie za Australijkę.

– Sama widzisz: mówisz „taksówkarze”. To pokazuje, jak bardzo jesteś amerykańska. I wytworna. W domu mówimy „kierowcy autobusów”. – Uśmiecha się szeroko, zadowolony ze swojego dowcipu.

Patrick próbuje wciągnąć Alice w rozmowę, ale nie bardzo mu się udaje. Początkowo myślę, że dziewczyna jest po prostu małomówna, ale potem zauważam, jak spogląda na Johna, i uświadamiam sobie, że ma coś w zanadrzu, że czeka, aż John coś powie.

W końcu wyjaśnia się, o co chodzi.

– To Alice powiedziała, że powinienem cię odszukać – mówi John. – Odkąd się zaręczyliśmy, dość dobrze poznała Rossa i Julie, więc teraz należy już do rodziny.

Staram się skojarzyć, kim jest Ross. Po chwili przypominam sobie, że Julie, nasza matka zastępcza, ponownie wyszła za mąż.

– Reszta z nas, dzieci wychowanych przez Julie, założyła grupę na WhatsAppie. Niektórzy nie dają znaku życia, tak jak ty, ale ośmioro z nas pozostaje w kontakcie, a do tego oczywiście dochodzą jej rodzone dzieci. Za dwa miesiące będą jej sześćdziesiąte urodziny, więc organizujemy zjazd. To cudowna kobieta i chcemy zrobić dla niej coś wyjątkowego. Będą dziennikarze i w ogóle. Może też przyjechałabyś z tej okazji do domu?

Wpatruję się w niego bez słowa. Nawet gdybym mogła pojechać – gdyby było mnie stać na bilety, gdybym miała gwarancję, że pozwolą mi wrócić do Stanów – pomyśl, że z własnej woli zjawiam się na spotkaniu z tą kobietą i resztą przybranego rodzeństwa, zakrawa na szaleństwo.

John widzi moją minę i błędnie ją interpretuje.

– Claire, ona nie ma do ciebie żalu.

– Ona nie ma żalu do mnie? – powtarzam z niedowierzaniem. – Po tym, co zrobił mi jej mąż?

John zerka na Patricka, jakby nie był pewny, czy powinien mówić dalej. Ale zawsze był bezpośredni, nawet jako nastolatek.

– Chciałem powiedzieć, że Julie nie ma do ciebie żalu o to, że skłamałaś – mówi cicho. – Zawsze powtarza, że dzieci w rodzinach zastępczych odreagowują. Zwłaszcza jeśli wcześniej były w niedobrym miejscu. Ma pretensje raczej do systemu opieki społecznej, który dał wiarę przygarniętemu dziecku, a nie jej mężowi.

– Więc ty też uważasz, że kłamałam – mówię z goryczą. – Tak jak ona.

Siedzący obok mnie Patrick zastygł. Rozpoznając sygnały ostrzegawcze, kładę rękę na jego ramieniu. *Poradzę sobie sama.*

– Kiedy złożyłaś tę skargę na Gary’ego – mówi otwarcie John – zmyśliłaś mnóstwo rzeczy, które tak naprawdę się nie wydarzyły. Wiesz o tym, Claire. To wszystko było elementem twojej kampanii, żeby dostać się do tej szkoły aktorskiej.

Patrzę na niego z wściekłością.

– Naprawdę zapomniałaś, jak to było? – pytam. – Jak co lato wysyłano nas do innej rodziny zastępczej, żeby Julie i Gary mogli pojechać na wakacje z własnymi dziećmi „jako rodzina”? Jak zabraniali nam zostawiać rzeczy w salonie, żebyśmy nie zapomnieli ich spakować, wyjeżdżając?

– Musieli stawiać granice – mówi John. – Przynajmniej nas do siebie przyjęli.

– O, z pewnością – mówię z goryczą. – Z milczącą groźbą, że jeśli nie będziemy grzeczni, to nas wyrzucą.

Pamiętam, jak powoli przywykałam do tego uczucia, aż w końcu prawie stało się częścią mnie. Bez względu na to, jak serdeczni byli ci ludzie, prędzej czy później znikali albo oznajmiali, że przenoszą cię gdzieś indziej. W głębi ducha zawsze czekałam, aż zawyją niewidzialne syreny i rozpocznie się oficjalna procedura separacji.

John wzdycha.

– Więc nie przyjedziesz na imprezę Julie?

– Końmi by mnie tam nie zawleczono.

– Rany – mówi John, kręcąc głową. – Zmieniłaś się. Zawsze trochę zadzierałaś nosa, ale w gruncie rzeczy byłaś przyzwoitą osobą. Co się z tobą stało, Claire?

Wyzywająco biorę Patricka pod rękę.

– Tak, zmieniłam się. Mam nowe życie. Dobrze mi się tu układa. Jeśli o mnie chodzi, to, co było dawniej, w ogóle się nie wydarzyło.

– Przykro mi, że musiałeś tego słuchać – mówię, kiedy wychodzimy.

– Dziękuję, że mi na to pozwoliłaś – odpowiada Patrick.

Patrzę na niego, żeby się przekonać, czy przypadkiem nie żartuje, ale wygląda poważnie.

– Widać, że dorastając, mieliśmy zupełnie inne doświadczenia – dodaje. – Ale jedno nas łączy: bez względu na to, jak bardzo było nam trudno, teraz przynajmniej mamy wybór. Możemy wybrać sobie rodzinę, miasto rodzinne, korzenie... Możemy być, kimkolwiek zechcemy. I mimo że może być nam trudniej zaufać drugiemu człowiekowi, to kiedy już mu zaufamy, ufamy bezgranicznie.

– Tak. – Kiwam głową. – Między innymi dlatego przyjechałam do Nowego Jorku. W tym mieście wszyscy są nietutejsi, prawda? Wszyscy stwarzają się na nowo. A ja z całą pewnością nie chcę dłużej należeć do tamtej rodziny.

Patrick ściska moje ramię. Nie odzywa się, ale wiem, co myśli.

„Teraz masz mnie”.

Aidan urządza mi przesłuchanie w małym studiu castingowym w Chelsea. Z kamiennym wyrazem twarzy siedzi za stołem obok kierowniczkę obsady – nieznaną mi kobiety, która przedstawia się jako Mo. Nie ma żadnych pogawędek, jedynie uprzejme: „Co nam dzisiaj zaprezentujesz, Claire?” i „Zaczynaj, kiedy będziesz gotowa”.

Nie zważając na to, że z nerwów zbiera mi się na wymioty, biorę oddech, skupiam się i zaczynam. Przygotowałam epilog Jenny ze sztuki Leslye Headland *Assistance*. To głośny, wrzaskliwy monolog, w którym jest wszystkiego po trochu – pijaństwo, taniec, patos, komedia – więc uznaję, że dobrze zaprezentuję swój talent.

Gdy kończę, zapada długie milczenie.

– Dziękujemy – mówi w końcu Aidan.

Tłumię przemożną potrzebę zasypania go pytaniami: „Co ty na to?”, „Co naprawdę myślisz?”, „Zagrać to jeszcze raz? Szybciej? Wolniej? Smutniej? Zabawniej?”, „Na jakim efekcie ci zależy?”, „Podobam ci się?”.

Przypominają mi się słowa Kathryn Latham. „Choć bardzo stara się to ukryć, pragnie akceptacji jak ćpun działki”. Truchleję, uświadamiając sobie, że mój brak pewności siebie właśnie zaowocował występem, który aż krzyczał: „Spójrzcie na mnie!”.

To, co przed chwilą zrobiłam, to nie była gra aktorska. To było popisywanie się.

– Chciałabym pokazać coś jeszcze – mówię spokojnie.

Aidan spogląda na Mo, a ona wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: „A co nam szkodzi? Przecież i tak tu siedzimy”.

– Dobrze – mówi reżyser z głośnym westchnieniem. – Co chciałabyś zaprezentować, Claire?

Szukam w pamięci czegoś, co mogłoby w jakiś sposób wiązać się z jego sztuką, z rolą, o którą się staram.

I intuicyjnie wpadam na pewien pomysł.

„Podobało mi się, jak czytałaś...”

Zamiast monologu recytuję wiersz. Wiersz, który czytałam z Patrickiem, kiedy się poznaliśmy. Ściszam głos, wydobywając z tekstu rytm.

JA

Więcej mam wspomnień, niż gdybym żył od stuleci...

W połowie wiersza widzę, jak Mo odwraca się do Aidana. Jego twarz niczego nie zdradza. Ale ośmielona jej gestem, postanawiam zaufać instynktowi i kilka ostatnich wersów recytuję tak spokojnie i cicho, jakby prawie ich nie było.

JA

*Jak granit, który straszna pustynia opływa,
Uśpiony wśród zamglonej od żaru Sahary,
Nie znany beztroskiemu światu Sfinks prastary,
Zapomniany na mapie, on, co śpiewa co dzień
Przez kaprys dziki tylko o słońca zachodzie.*

Kończę, a Aidan marszczy brwi.

– No cóż – mówi – wiele elementów mi się nie podobało, zwłaszcza w pierwszym fragmencie. Ale chyba mogę z tobą pracować.

Wstaje, żegna się ze mną szybkim, profesjonalnym uściskiem dłoni i wychodzi.

Wcześniej jednak dostrzegam wyraz jego oczu.

Aidan jest wściekły.

Uświadamiam sobie, że miał nadzieję, że okażę się fatalna. Dzięki temu zyskałby furtkę, której potrzebował. A tak jest zmuszony pracować z aktorką wybraną przez kogoś innego.

– No, no – zaczyna Marcie, sięgając po e-papierosa. – Nowy Jork nie mówi o niczym innym. W każdym razie jego mały, zapatrzony w siebie zakątek zainteresowany teatrem alternatywnym.

– Bardzo mnie to ekscytuje – mówię skromnie.

– Raczej bardzo ci schlebia. – Marcie puszcza nad moją głową smugę dymu. – Ale to przełom w twojej karierze. Jeśli taki reżyser jak Aidan Keating coś w tobie dostrzegł, cała reszta też na ciebie postawi. Jest tam golizna?

– Trochę.

– Dobrze. Będą o niej pisać w recenzjach, a to przyciągnie ludzi spoza Manhattanu. Robiono kariery z błahszych powodów. – Celuje we mnie koniuszkiem e-papierosa. – Nie spieprz tego, Claire. W tej branży drugą szansę dostaje się najwyżej raz w życiu. Trzeciej nie dostaje się nigdy.

– Postaram się. Ale nawet jeśli odniosę sukces, nadal będę miała problem z zieloną kartą, prawda?

Zastanawia się.

– Patrząc na to realistycznie, tak. Będziemy mogli mówić, że już raz skorzystałaś z programu wymiany i możesz to zrobić ponownie, ale większość producentów nie zechce zadawać sobie trudu dla kogoś bez sławnego nazwiska. – Mierzy mnie przenikliwym spojrzeniem. – Jak poważny jest twój związek z tym całym Patrickiem?

– Bardzo poważny.

– Tak poważny, że słycać kościelne dzwony?

Mrugam zaskoczona, a ona ciągnie ze zniecierpliwieniem.

– Nie mów mi, że nie przyszło ci to do głowy. Zamożny obywatel Stanów Zjednoczonych wystawia sztukę tylko po to, żeby obsadzić w głównej roli swoją ulubioną aktorkę. Wyjdź za niego, a oprócz zielonej karty dostaniesz jeszcze złotą.

– Jego ostatnie małżeństwo nie skończyło się najlepiej.

– Nawiasem mówiąc, takie kontrowersje też nie zaszkodzą sztuce.

– Jakie kontrowersje?

– Mówi się, że prawdopodobnie załatwiło ją jedno z was. Ciągle powtarzam, że to głupie. Tłumaczę, że ogólnie rzecz biorąc, twoja niszczycielska siła skupia się na tobie samej.

– Wielkie dzięki – mówię cierpko.

Zbývá moje słowa machnięciem ręką.

– W każdym razie konsensus jest taki, że zrobiliście to razem.

– Absurd.

– A kogo to obchodzi, jeśli dzięki temu postanowią przyjść i obejrzeć sztukę? – Przygląda mi się z namysłem. – Wiesz może, kogo chcą zaangażować do pozostałych ról?

Kręcę głową.

– Patrick nie wie. Aidan nalegał na pełną kontrolę w warstwie twórczej.

– Chodzą słuchy, że chce namówić Nyashę Neary na rolę Jeanne Duval.

Z uznaniem kiwam głową. Nyasha, pół Zimbabwejka, pół Irlandka, była w zeszłym roku nominowana do wielu nagród za rolę we wstrząsającej biografii filmowej osadzonej w czasach niewolnictwa. Ma olbrzymie oczy, które w ułamku sekundy potrafią zmienić wyraz z czulego na miażdżąco pogardliwy, i tak wydatne kości policzkowe, że przypomina Nefretete. To jedna

z najpiękniejszych kobiet na świecie.

– A Baudelaire?

– Rozmawiają z Laurence'em Pisano.

Patrzę na nią oniemiała. Laurence. Aktor, w którym zakochałam się podczas kręcenia swojego pierwszego filmu. Człowiek, dla którego byłam gotowa umrzeć.

I nagle zaczynam rozumieć, co knuje Aidan. Na pewno słyszał pogłoski o mnie i Laurensie. Do diabła, pewnie Marcie sama mu o tym powiedziała. Nie mógł się mnie pozbyć z obsady, nie tracąc przy tym pieniędzy Patricka. Ale obsadzając Laurence'a, ma nadzieję, że zmusi mnie do odejścia. Wtedy będzie mógł wrzucić ramionami i powiedzieć: „Cóż, sama podjęła taką decyzję”.

– A kogo chcą pozyskać do roli Apollonie? To znaczy kiedy już się mnie pozbędą.

Marcie wrzuci ramionami.

– Kogoś na pewno znajdą. Jeśli zrezygnujesz.

– Nie zamierzam zrezygnować.

W oczach Marcie pojawia się błysk.

– Właśnie tak im powiedziałam, Claire.

W środku tego wszystkiego nadal znajdujemy się ja i Patrick. Codziennie wracamy do jego zacisznego apartamentu z widokiem na katedrę. Poznajemy się w najlepszy możliwy sposób: pracując razem nad sztuką.

– Skoro już jakiś czas pomieszkałeś z prawdziwą Claire, jak byś ją opisał? – pytam pewnego wieczoru, kiedy Patrick przygotowuje kolację.

Ma zabawną obsesję na punkcie gotowania. Ja i Jess uważaliśmy, że gotujemy z przepisu, jeśli miałyśmy więcej niż połowę składników z jakiejś przypadkowej listy znalezionej w internecie, ale Patrick patrzy z góry nawet na Julię Child i Elizabeth David. Dziś wieczorem zastanawiał się głośno, z której z dwóch bardzo starych francuskich książek kucharskich skorzystać: Escoffiera czy Carême’a. Ma kolekcję noży, których nikomu oprócz niego nie wolno dotykać, wykonanych z ostrej jak brzytwa stali damasceńskiej, młotkowanej jak maleńkie samurajskie miecze, a teraz właśnie sieka ząbki czosnku, jakby rozszczepiał atom.

Muszę jednak przyznać, że silny mężczyzna wygląda w fartuchu naprawdę seksownie.

Patrick zastanawia się przez chwilę.

– Energiczna – orzeka wreszcie. – Bałaganiara. Hałaśliwa. I nieskończenie fascynująca. Kiedy już myślę, że cię rozgryzłem, uświadamiam sobie, że jednak nie.

– Może dlatego, że nie można mnie rozgryźć. Albo dlatego, że nadal staram się ci zaimponować – przyznaję. – Chcąc nie chcąc, martwię się, że kiedy lepiej mnie poznasz, będziesz rozczarowany.

– Szczerze wątpię.

– Patricku, nie zawsze jestem fajna. I miła. Miałaś okazję się o tym przekonać na spotkaniu z Johnem i Alice.

– Tylko mięczaki są cały czas miłe. – Podaje mi łyżkę, żebym spróbowała sosu. – Więcej pieprzu?

– Ale ty jesteś miły – mówię. Przełykam sos i potakuję z uznaniem.

Uśmiecha się, kręcąc głową.

– Tylko dla ciebie.

Jedząc, rozmawiamy o zmianach w scenariuszu, o które poprosił Aidan. Część z nich nie współgra z faktami z życia Baudelaire’a, i te Patrick odrzuca. We wszystkich pozostałych przypadkach dotrzymuje słowa i daje Aidanowi wolną rękę. Na przykład w najnowszej wersji Jeanne, odkrywszy, że Baudelaire był u Apollonie, wpada z zazdrości w furję. Wściekła mówi mu, że zamierza napluć na słynny posąg, do którego Apollonie pozowała nago. Gdy jednak dociera na miejsce, hipnotyzuje ją piękno rywalki. Posąg ożywa i kobiety uprawiają ze sobą miłość. Dopiero później odkrywamy, że ta scena rozgrywała się w głowie Baudelaire’a – to zilustrowanie jednego z jego zakazanych wierszy o lesbijstwie.

– Nie masz nic przeciwko temu? – pyta Patrick.

Wzruszam ramionami.

– Podobnie jak ty, oddałam się w ręce Aidana. A tobie to przeszkadza? Trudno ci będzie oglądać mnie w takiej scenie?

Kręci głową.

– Claire, nie jestem typem zazdrośnika. Po prostu będę z ciebie dumny. Bardzo dumny.

Mając świadomość, że będę grała w tych scenach z kobietą o wiele piękniejszą ode mnie, kończę z francuskim jedzeniem i podwajam liczbę godzin spędzanych w siłowni. Gdy zaczyna

mnie to przytłaczać, przerzucam się na bieganie po okolicznych parkach: Morningside, gdzie na trawie przesiadują grupki studentów, i Riverside, skąd roztacza się malowniczy widok na rzekę Hudson. Dawne wrażenie spod znaku: „rany, to jest jak film!”, ustąpiło miejsca przepelnionemu zdumieniem olśnieniu: „Rany, to się dzieje naprawdę!”.

„Tak poważny, że słyhać kościelne dzwony? Nie mów mi, że nie przyszło ci to do głowy”, powiedziała cynicznie Marcie. I oczywiście przyszło mi to do głowy. Komu by nie przyszło? Staram się jednak żyć chwilą, dać naszemu związkowi trochę czasu.

Doktor Felix przychodzi do mnie już tylko raz w tygodniu. Powoli nasze sesje terapeutyczne w coraz mniejszym stopniu dotyczą pułapki policyjnej, a w coraz większym mojego związku z Patrickiem.

– Zawsze odchodziłam od ludzi – mówię. – Albo zmuszałam ich, żeby odeszli ode mnie. To najdłuższy związek, w jakim kiedykolwiek byłam.

– Czekasz, aż ktoś przyjdzie i powie, że pora już iść? Czekasz, aż... – zagląda do notatek – „zawiją niewidzialne syreny i rozpocznie się oficjalna procedura separacji”?

Opowiedziałam mu o spotkaniu z Johnem i Alice. Podczas tej sesji doktor Felix robił tyle notatek, że z trudem nadązał.

Krzywię się, wyobrażając sobie, jaka musiałam mu się wydać melodramatyczna.

– Oczywiście, że nie. No, może trochę. Chyba nadal czuję się jak oszustka. Jakbym grała jakąś postać.

– Według niektórych mogłoby to zakrawać na ironię – mruczy.

– To dość zabawne, ale nie czuję tego, tylko kiedy gram. W każdym razie mieszkanie tu, w apartamencie Stelli, a nawet noszenie jej ubrań...

– Tak, opowiedz mi o tym. To był pomysł Patricka czy twój?

– Jego. Ale to praktyczne rozwiązanie. Moje ubrania nadal leżą w schowku, a przez sztukę i całą resztę jakoś nie miałam czasu ich stamtąd wyjąć.

Znowu coś zapisuje.

– Chyba się zastanawiam, czy to naprawdę miłość – mówię – czy może dalej robię to, co zarzucała mi Kathryn Latham: za bardzo wchodzę w rolę.

– Trudno się dziwić, skoro przez wiele lat byłaś w zasadzie zmuszana do życia w rodzinie i jednocześnie poza nią. Możliwe nawet, że właśnie dlatego zafascynowało cię aktorstwo.

– Czyli że zawsze będę się tak czuła?

– Tego chyba nie da się przewidzieć. Może stan zakochania jest dla ciebie po prostu nowy i zaskakujący. Postaraj się nim nacieszyć.

A jednak, jeśli mam być szczerą, między mną a Patrickiem czegoś teraz brakuje.

– Muszę ci coś wyznać – mówię do niego pewnego wieczoru.

Myślę o tym, że jeszcze nie tak dawno temu po takich słowach obojgu nam przyspieszyłby puls. Nie wspominając o pulsie naszych słuchaczy, niewidzialnego towarzystwa pochylonego przy kontrolkach.

Teraz jednak Patrick tylko unosi brew.

– Tak?

– Brakuje mi naszych gierek – mówię. – Myśl, że mógłbyś być mordercą, przyprowadziła mnie o dreszczyk emocji.

Jego usta lekko drgają.

– Chciałabyś, żebym kogoś dla ciebie zabił?

– Raczej nie. Ale może przypominam Apollonie z twojej sztuki: nie chcę uwierzyć, że wiersze odzwierciedlają twoją prawdziwą naturę, a mimo to jakaś częśćka mnie ma nadzieję, że tak jest. To szaleństwo, wiem. Jesteś złym człowiekiem w nie większym stopniu, niż był nim

Baudelaire.

Patrick pochyla się, żeby pocałować mnie w czoło.

– Jeszcze mnie nie znasz, Claire – mówi lekkim tonem. – Nie wiesz o wszystkim, co dzieje się w mojej głowie. Na to trzeba trochę więcej czasu.

W końcu nadchodzi pierwszy dzień prób: czytanie przy stole.

Oczywiście jestem przerażona. Przerażona tym, że znowu zobaczę Laurence'a. Tym, że Nyasha mnie przyćmi. Tym, że kostiumolog i szefowie innych zespołów dowiedzą się, że dostałam tę rolę tylko dzięki Patrickowi.

Patrick jest lekko rozbawiony moim zdenerwowaniem. Nigdy nie widział mnie w takim stanie, droczy się ze mną i zapewnia, że nie mam powodu do obaw. Wystarczy, że będę pamiętała, jaka jestem dobra.

Do sali prób docieramy pierwsi. Potem przychodzi Aidan. Wita się ze mną uściskiem, który prawie wydaje się szczery, lecz budzi moją instynktowną nieufność. Czwooro aktorów mających grać mniejsze role – troje z nich będzie też dublerami – zjawia się razem. Laurence dociera dziesięć minut przed umówioną godziną i specjalnie gawędzi z oświetleniowcami, rzucając żarcikami, jakby był jednym z nich. Jego ładna chłopięca twarz prawie się nie zmieniła, ale z ulgą odkrywam, że nic do niego nie czuję, zupełnie nic.

– Laurence, znasz już Claire? – pyta w końcu Aidan.

Laurence spogląda w moją stronę.

– Tak, poznaliśmy się na planie *Tumultu*. – Podchodzi wolnym krokiem i wita się ze mną symbolicznymi całusami w oba policzki. – Jak leci, Claire? Naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy znowu zaczniemy ze sobą pracować. – Błyska uśmiechem, na którego widok kiedyś miękkły mi nogi.

I to wszystko. Żadnego znaku świadczącego o tym, że byliśmy kochankami. Żadnych przeprosin, żadnego nawiązania do tego, co zrobiłam. Wystarczyłoby zwyczajne słowo czułości albo żalu, ale wygląda na to, że nawet ono nie będzie mi dane.

„Na Planie Się Nie Liczy, kochanie”.

Nyasha przychodzi punktualnie. Jest ubrana jak na trening w siłowni: w szary dres i karmazynową koszulkę wyzierającą z nad zamka bluzy. Na głowę pokrytą cienkimi warkoczykami włożyła czarną bejsbolówkę. Tłumi to nieco jej urodę, ale nic nie jest w stanie przysłonić perfekcji jej kości policzkowych ani uspokoić błyszczących oczu. Jest drobniejsza, niż można by przypuszczać, widząc ją w telewizji. Uprzejmie, prawie nieśmiało, ściska mi dłoń. Ma poważną minę.

Aidan klaszcze i rozmowy natychmiast cichną. Na początek wita nas w czymś, co odtąd, jak mówi, będzie rodziną, społecznością. Używa słowa „trupa”, starego i zaszczytnego określenia oznaczającego zespół wędrownych aktorów, którzy polegają na sobie nawzajem, żeby przetrwać. Wspomina o naszej produkcji – że powinna mieć surową moc poezji Baudelaire'a, że musi być wyzwaniem i prowokacją dla współczesnej publiczności, tak jak *Kwiaty zła* były wyzwaniem dla stulecia zanurzonego w sentymentalizmie epoki romantyzmu. A na koniec mówi o czekającym nas czytaniu tekstu.

– Dziś nie będziecie grali. I z całą pewnością nie będzie to przesłuchanie. Skupcie się na wyrazności, na właściwym oddaniu słów napisanych na kartce. Potem będziecie mieli mnóstwo czasu na granie. Na razie jesteśmy tylko my, jako grupa, po raz pierwszy przyglądamy się wspólnie temu przedsięwzięciu. Nikt nie potrzebuje robić na nikim wrażenia.

Wszyscy kiwamy głowami. Zastanawiam się, czy ta ostatnia uwaga była zaadresowana do mnie. Nyasha zdejmuje bejsbolówkę.

Na pierwszą scenę z moim udziałem muszę trochę zaczekać, więc na początek tylko

ślucham. Wkrótce staje się jasne, że Nyasha doskonale zrozumiała, co mówił Aidan, i zwyczajnie czyta na głos, natomiast Laurence zjawiał się z garścią własnych pomysłów. Od razu słysząc, że czyta kwestie Baudelaire'a z francuskim akcentem. Przy pierwszym zdaniu Patrick podnosi głowę, ale Aidan odzywa się dopiero po kilku stronach.

– Świetnie, Laurence – przerywa mu w końcu. – Ale na razie po prostu to przeczytajmy, eksperymenty z akcentami odłożmy na później.

– Okej – mówi Laurence. – Super. – Wraca do czytania z takim samym akcentem jak dotąd.

Aidan znowu mu przerywa.

– Na razie podarujmy sobie ten akcent.

Laurence marszczy brwi. Uświadamiam sobie, że już wyreżyserował siebie w myślach i teraz trudno mu będzie o tym zapomnieć. Gdy ponownie przystępujemy do czytania, udaje mu się stłumić francuskie naleciałości, ale od czasu do czasu dają o sobie znać. Czytając, zniecierpliwionym gestem odgarnia włosy z oczu. Kiedyś wydawało mi się to niesamowicie słodkie. Teraz zastanawiam się tylko, dlaczego po prostu nie pójdzie do fryzjera.

Nyasha siedzi bardzo spokojnie, prawie w ogóle się nie rusza, ale jej głos to coś pięknego. Trudno określić, na czym polega jego urok, a mimo to mogłabym go słuchać godzinami.

Gdy przychodzi moja kolej, staram się iść za jej przykładem i pozwolić, by słowa mówiły same za siebie. Jednak w mojej pierwszej scenie Baudelaire wyznaje, że jest autorem brutalnych anonimowych wierszy, które dostają od pięciu lat, więc pozwalam, by odrobina pogardy, jaką czuję teraz do Laurence'a, przeniknęła do tonu Apollonie zwracającej się do Baudelaire'a. Widzę, jak Aidan z namysłem podnosi głowę, ale nic nie mówi.

W końcu docieramy do końca i nagradzamy się nawzajem oklaskami. Aidan mówi, że wszyscy byliśmy doskonali. Myślę jednak, że tak naprawdę dobry jest sam materiał.

Uświadamiam sobie, że może z tego wyjść coś wspaniałego. Że to może być mój wielki debiut. Nie mogę uwierzyć w swoje szczęście.

Wszyscy wstajemy, żeby rozprostować nogi. Laurence od razu podchodzi do Aidana – słyszę, jak pyta reżysera, czy mogliby omówić jego pomysły. Aidan odpowiada uprzejmie, ale niezobowiązująco.

Nyasha podchodzi, żeby pochwalić mój występ.

– To będzie wspaniała zabawa – mówi ostrożnym, poważnym głosem. Zdjęła bluzę od dresu. Ręce wyłaniające się z jej koszulki przypominają czarne wąskie kable, splecione warkocze z twardych mięśni. Jej nieziemska uroda widziana z bliska działa na mnie hipnotyzująco.

Kładzie rękę na moim nadgarstku.

– Słyszałam, że jesteś z Patrickiem – mówi cicho. – Sprawia wrażenie wspaniałego faceta. – Przenosi spojrzenie z Patricka na Laurence'a, który dalej z zapalem dyskutuje z Aidanem, i nic więcej nie mówi.

To jednak wystarczy. Już jesteśmy sojusznikami. Może nawet przyjaciółkami.

Gdy nazajutrz po południu biegam w parku Morningside, rozmyślając o porannej próbie, dopada mnie znajome uczucie. Uczucie, jakiego doświadcza każdy aktor na scenie: wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

To dziwne, bo w takim miejscu w każdej chwili patrzy na mnie z dziesięć par oczu, a zwykle się tak nie czuję. Kręcę głową i biegnę dalej.

Przy następnym okrążeniu mam identyczne wrażenie. W tej samej części parku. Włoski na moim karku mimowolnie stają dęba.

Zatrzymuję się i podnoszę głowę. Wysoko nade mną na schodach prowadzących do Harlemu stoi postać.

Frank Durban.

W każdym razie jestem prawie pewna, że to on. Stoi za daleko i nie widzę go wyraźnie – chodzi raczej o sposób, w jaki stoi, w jaki zawsze stał: masywne ciało oparte o balustradę, jedno ramię przekrzywione, jakby go bolało.

Przez dłuższą chwilę trwam bez ruchu. Potem ruszam biegiem w jego stronę, lawirując niebezpiecznie między drzewami, przeskakując przez smycze, w które mogłyby mi się zaplątać nogi. Schody zakręcają cztery razy, wspinając się zygzakiem na strome wzniesienie. Wbiegam po nich, czując ból rozsadzający mi nogi i płuca...

Na górze nikogo nie ma. Przystaję zdyszana i się rozglądam.

Może mi się przywidziało.

Przez całą drogę powrotną do apartamentu Patricka gwałtownie oglądam się przez ramię. Ale nikt nie przykłęka, żeby zawiązać sznurówkę, ani nie chowa się w bramie i nie robi żadnej z tych rzeczy, jakie widuje się w filmach.

Przed wejściem do domu udaje mi się przekonać samą siebie, że rzeczywiście mi się przywidziało. Bo niby dlaczego Frank miałby się mną teraz interesować? Przecież jest na zwolnieniu chorobowym, Kathryn zniknęła, a Patrick pozywa nowojorską policję...

Zatrzymuję się, porażona myślą, która właśnie wpadła z impetem do mojej głowy.

A jeśli to wszystko nieprawda?

Na to, że Patrick kogokolwiek pozywa, mam tylko jego słowo. Zwolnienie chorobowe Franka może być przykrywką mającą wytłumaczyć jego nieobecność. A Kathryn... Może i zniknęła, ale gdzieś tam przecież jest. Czuję to. Manipuluje mną. Gra w te swoje gierki.

Czując nagle mdłości, uświadamiam sobie, co tu naprawdę zaszło. Weszłam z powrotem w ich pułapkę, wysyłając do Patricka rozpaczliwego mejla z Greenridge. Wyobrażam sobie, jak Kathryn go czytała, z namysłem stukając długopisem w usta.

KATHRYN

Wygląda na to, że nasza operacja nadal trwa.

FRANK

Chyba nie sugerujesz, żebyśmy dalej wykorzystywali Foglera? Claire na pewno mu teraz nie zaufa.

KATHRYN

A niby dlaczego? Ten mejl wyraźnie świadczy o tym, że nadal ma obsesję na jego punkcie. A gdyby tak zjawił się w Greenridge jak rycerz w lśniącej zbroi?

FRANK

Na pewno się nie uda. Dziewczyna ma paranoję, nawet jeśli chwilami dochodzi do siebie.

KATHRYN

Więc potrzebujemy czegoś, co odwróci jej uwagę. Czegoś tak kuszącego, że aby to zdobyć, będzie gotowa podjąć każde ryzyko. Czego Claire Wright pragnie najbardziej na świecie?

FRANK

To ty jesteś psychologiem.

KATHRYN

Ona pragnie publiczności, Frank.

Sztuka.

Dlaczego Patrick nagle zapalał tak wielką chęcią napisania tej sztuki? Z miłości do mnie? A może był to po prostu największy, najwspanialszy wabik, jaki zdołała wymyślić Kathryn?

Fantastyczna, prowokująca rola napisana specjalnie dla mnie. A do tego rzadka, wręcz niebywała szansa: okazja zagrania na nowojorskiej scenie razem z profesjonalnymi aktorami.

Niewiarygodne... Ale ja, jak jakaś idiotka, pozwoliłam sobie w to uwierzyć.

Otwieram drzwi do apartamentu i wchodzę do środka.

– Patrick?

Nie odpowiada. Ale cisza wydaje się teraz jakaś inna. Może to tylko wytwór mojej wyobraźni, lecz mam wrażenie, że to miejsce mnie słucha.

Wchodzę do łazienki i przykucam obok umywalki, obmacując tylną część porcelany jak gliniarz nogi podejrzanego. Szukam przewodów.

Niczego tam nie ma.

Gorączkowo zaglądam do szafki na bieliznę. Wyjmuję wszystkie starannie złożone ręczniki i rzucam je na podłogę, ale w środku też niczego nie znajduję. Żadna puszka elektryczna nie czai się tam jak zły pająk połączony siecią z masą złych dzieci w całym apartamencie.

Uświadamiam sobie jednak, że przecież nie popełniliby błędu, umieszczając kable tam, gdzie już kiedyś szukałam.

Odkręcam po kolei wszystkie lampy. Nic. W kuchni też niczego nie udaje mi się znaleźć. Podobnie jak w sypialni. I w przedpokoju.

Spoglądam na swój telefon leżący na stoliku do kawy. Oczywiście! W dzisiejszych czasach mogą cię podsłuchiwać przez mikrofon w smartfonie. To proste jak ściągnięcie apki, i nie widać, kiedy to robią.

Przed powrotem Patricka zdążyłam posprzątać. Starannie złożone ręczniki i prześcieradła znowu leżą w szafce, lampy wróciły na swoje miejsce, a ja siedzę na kanapie i czytam swoje kwestie.

– Cześć – wita się, podchodząc, żeby mnie pocałować. – Jak się udała dzisiejsza próba?

– Całkiem dobrze – odpowiadam, jak gdyby nigdy nic. – Aidan mówił o ewentualnych inspiracjach. Oglądaliśmy stare nagrania ze *Święta wiosny* Strawińskiego.

– Z tej sztuki, która wywołała zamieszki?

Kiwam głową.

– Poza tym rozmawialiśmy o tym, czy sztuka ma obowiązek autocenzury. Na przykład, czy to w porządku pokazywać samobójstwo na scenie, skoro może to zachęcić kogoś z widzów do naśladownictwa.

W większości tych dyskusji Laurence i Nyasha opowiadali się po przeciwnych stronach: według niej wszyscy powinniśmy brać odpowiedzialność za swoje działania, a jego zdaniem nie można nas pociągać do odpowiedzialności za coś, co robią inni ludzie.

– Przypomina mi to jedno z moich seminariów dla studentów pierwszego roku – mówi z westchnieniem Patrick.

Patrzę, jak idzie do kuchni i zaczyna wyjmować składniki z szafki.

– Wielu reżyserów zaczyna w ten sposób. Potem przejdziemy do gier w zaufanie.

– Gier w zaufanie – powtarza, spoglądając na mnie z uśmiechem. – Z tego, co pamiętam, też w nie kiedyś graliśmy.

– To prawda. Domyślałam się, że wszystkie zaproponowała Kathryn.

Kiwa głową.

– Widziałam dziś Franka Durbana – dodaję jakby mimochodem.

– Franka? Gdzie? – Patrick wydaje się zaskoczony.

– W parku Morningside. Obserwował, jak biegam.

Patrick marszczy brwi.

– To chyba mało prawdopodobne.

– Ale jestem pewna, że to był on.

– Jak daleko stał?

– Wystarczająco blisko – odpowiadam, przyglądając mu się.

Jeśli o tym rozmawiali, Frank na pewno zbagatelizował sprawę.

FRANK

Była za daleko, żeby dobrze mi się przyjrzeć. Po prostu powiedz jej, że się pomyliła.

– Dziwne – mówi Patrick, odwracając się do lodówki. – Ta operacja pewnie nie daje mi spokoju. Zwłaszcza że złożyłem pozew i w ogóle. – Bierze trochę estragonu i zaczyna go siekać.

– A właśnie, jak ci idzie w sądzie? – odpowiadam równie zwyczajnym tonem co on.

– Tak jak wszystko, co ma związek z prawem: powoli. – Zastyga z nożem w dłoni. – A skoro o tym mowa: Claire, mój adwokat chce, żeby doktor Felix napisał raport o stanie twojego zdrowia psychicznego. Nie będziesz miała nic przeciwko temu?

– Jasne, że nie.

– To ważne, żeby podkreślić, ile cierpień przysporzyły ci działania nowojorskiej policji. Ale raczej nie powinniśmy wspominać o paranoi.

– Aha, bardzo mądrze – mówię.

- Co masz na myśli?
- Twojego adwokata – wyjaśniam. – Bardzo mądrze z jego strony, że o tym pomyślał.
- Za to mu płacę. – Patrick marszczy brwi. – Claire, wszystko w porządku?
- Wiem, że nadal pracujesz dla policji – oznajmiam śmiało.
- Co? – Wydaje się szczerze zaskoczony.
- Ta sztuka. Napisałeś ją, żeby mieć przynętę. Żeby mnie na nią złapać.
- Przez chwilę wydaje się nieufny.

– To był pomysł Kathryn, prawda? – Nie ustępuję. – Uznała, że dla takiej roli zrobię wszystko. I muszę przyznać, że miała rację. – Sięgam po telefon, przysuwam go do ust i mówię: – Słyszysz, Kathryn? Miałaś rację.

– Claire – mówi zaniepokojony Patrick, odkładając nóż i podchodząc do mnie. – Claire. Co się dzieje? Wspominałaś, że brakuje ci naszych gier. To o to ci chodzi? Wymyślasz coś, żeby dodać swojemu życiu trochę dramatyzmu? A może naprawdę wierzysz w te bzdury? Bo szczerze mówiąc, przerażasz mnie. – Bierze oddech. – Tak, napisałem tę sztukę, żeby mieć przynętę: w każdym razie w pewnym sensie. Napisałem ją, bo chciałem ciebie. Chciałem, żebyś tu była, razem ze mną. Nie udało mi się wymyślić niczego innego, co zrobiłoby na tobie wrażenie. To wszystko.

Och, Patricku, myślę. Nawet twoje piękne imię jest śliskie. Patrick. Pa-trik. Triczek Patriczek. A ja jestem Claire. Popsuty ster.

– Udowodnij, że dla nich nie pracujesz – mówię.

– Do diabła, Claire. Jak miałbym udowodnić coś, czego nie ma? – Twarz napięła mu się ze złości.

– Nie wiem – odpowiadam. – I właśnie na tym polega problem, prawda? Jak mamy znowu sobie zaufać, skoro obydwójce wiemy, jak świetnie potrafimy kłamać?

Na próbach przechodzimy do ćwiczeń integracyjnych. Gramy w mur: biegniemy z opaską na oczach w stronę ściany, licząc na to, że inni aktorzy nas złapią. W kontakt wzrokowy: łączymy się w pary i wpatrujemy się sobie w oczy, które wyrażają to przyjaźń, to pożądanie, to znów nienawiść.

Patrząc w oczy Laurence'a, myślę o tym, jakie to niewiarygodne, że facet nie ma pojęcia, co naprawdę teraz o nim myślę.

Gramy też w glinę: jeden z aktorów wciela się w rolę posągu, a drugi musi go rzeźbić – przesuwać jego kończyny, dostosowując wyraz twarzy – by wyrażał określoną emocję, o której wie tylko rzeźbiarz. Rzeźbiąc Nyashę, tak by odzwierciedlała słowo „ospałość”, zachwyca się równowagą jej ciała, którą mogę zmienić jednym ruchem, zwyczajnie popychając jej ramię. Nyasha przypomina starannie skonstruowaną maszynę, wszystko jest w niej doskonale zrównoważone.

Gdy mam ukształtować Laurence'a w „dumę”, potrafię jedynie przesunąć jego ramiona, żeby stał prościej, i unieść jego podbródek, by wydawał się bardziej władczy. Widzę, jak Nyasha uśmiecha się na widok jego absurdałnego wyglądu.

Laurence odpowiada jej szerokim uśmiechem i uświadamiam sobie, że uznał to za flirt. Czuję ukłucie złości. Jestem zazdrosna nie o niego, ale o nią.

Tylko tego mi teraz brakuje. Zadurzenia się w aktorce, która gra ze mną w sztuce. Jakby sytuacja była za mało skomplikowana.

Wreszcie przechodzimy do tekstu i zgłębiany swoje postacie. Jedną z cech, które zafascynowały mnie w roli Apollonie, jest jej tajemniczość – jej postać nigdy nie mówi tego, co naprawdę myśli. Tylko że na próbach to nie działa. Ja muszę wiedzieć, co ona myśli, w przeciwnym razie moja Apollonie nie będzie przekonująca.

Równie możliwe jest jednak to, że ta kobieta okłamuje samą siebie. Takie postacie zawsze są najbardziej interesujące. Wcześniej czy później oszustwo wychodzi na jaw.

– Wmawiam sobie, że chcę wierzyć w jego dobroć, ale tak naprawdę cały czas pociąga mnie jego mroczna strona – mówię Aidanowi. – Przypominam cię wabioną przez jego płomień, przekonującą samą siebie, że w nim nie spłonę, dlatego że alternatywny scenariusz: wycofanie się, byłby zbyt rozczarowujący.

Reżyser kiwa głową.

– Jak dla mnie, brzmi to przekonująco.

Gdy później opowiadam o tym Patrickowi, pyta:

– Nadal rozmawiamy o sztuce? A może o nas?

– Ta sztuka to my. Dlatego, żeby zagrać wiarygodnie, muszę odegrać prawdę o nas. I w gruncie rzeczy właśnie to jest najseksowniejsze, prawda? Znać prawdę o kimś. – Waham się. – Dlatego jeśli nadal pracujesz dla policji, musisz mi o tym powiedzieć.

– Claire – odpowiada ze znużeniem, biorąc mnie za rękę. – To moja wina. Za szybko pchnąłem cię z powrotem w aktorstwo. Ty nadal jesteś krucha. Możesz się jeszcze wycofać, nie jest za późno. Masz przecież dublerkę. Mogłabyś odsunąć się na bok i pozwolić jej zająć swoje miejsce.

– Nie jestem krucha – mówię. – Wręcz przeciwnie. I z całą pewnością się nie wycofam.

Doktor Felix nawiązuje do tej rozmowy podczas naszego cotygodniowego spotkania.

– Zadzwoił do mnie Patrick. Martwi się o ciebie.

Wzruszam ramionami.

– Wiem.

– Myśli, że twoja podejrzliwość może oznaczać nawrót choroby.

– To on tak twierdzi.

– A co ty o tym sądzisz, Claire?

– Mnie kojarzy się to z tym starym sloganem z koszulek: „To nie paranoja, jeśli naprawdę chcą cię dorwać”. Po prostu staram się ustalić, czy naprawdę chcą. To znaczy czy chcą mnie dorwać. Jeśli się okaże, że nie, wszystko będzie dobrze.

Prosi, żebym rozwinęła tę myśl. Milczę, więc próbuje innego podejścia.

– Z tego, co rozumiem, masz na horyzoncie ważne wyzwanie zawodowe.

– Chodzi ci o sztukę? Tak, to prawda.

– Po prostu możliwe, że zakończyłaś terapię farmakologiczną doktora Bannera trochę wcześniej, niż to było wskazane. Oczywiście nie miałem wtedy pojęcia, że zamierzasz się poddać tak wielkiej presji... Może powinniśmy się zastanowić nad przywróceniem części leków. Oczywiście mam na myśli znacznie mniejsze dawki.

W mojej głowie pojawia się nieproszona myśl: *Czy doktor Felix też w tym uczestniczy?*

Kręcę głową.

– Potrzebuję teraz wszystkich swoich zmysłów. I z całą pewnością nie mogę ryzykować, że dostanę pryszczki.

– Dobrze – mówi niezbyt zadowolony. – Może w takim razie przeanalizujemy twoje lęki i zobaczymy, czy uda nam się je złagodzić?

Wieczorem przeproszam Patricka.

– Po prostu kiedy pomyślałam, że możesz mnie okłamywać, trochę mnie poniosło. Ale po rozmowie z doktorem Felixem doszłam do wniosku, że przesadziłam.

– Więc wszystko między nami w porządku? Już mnie nie podejrzewasz?

– Nie.

– Dzięki Bogu, Claire. Przez chwilę naprawdę się o ciebie martwiłem.

Teraz, gdy oczyściłam atmosferę, Patrick jest wyraźnie bardziej odprężony. Wcześniej idziemy do łóżka i zaczynamy się kochać. W zasadzie nie mówię: „Zamierzam ci to wynagrodzić”, ale robię wszystko, co lubi. Wszystko, co lubi każdy mężczyzna – upodobania Patricka są ze wszech miar konwencjonalne. Całuję go całego, sprawiając mu przez jakiś czas przyjemność, a potem wspinam się na górę. Po chwili jednak zastygam.

– Patricku – mówię cicho – muszę ci o czymś powiedzieć.

– Słucham – odpowiada, uśmiechając się do mnie.

– Mam dość trzymania tego w tajemnicy. Zabiłam ją. To ja zabiłam Stellę.

Oślupiały wpatruje się we mnie przez bardzo długą chwilę.

– Co? – odzywa się w końcu głosem ochryłym pod wpływem szoku. – Co powiedziałaś, Claire?

– Potrzebowałam pieniędzy. Byłam splukana. Jess zamierzała wykopać mnie z mieszkania, a w dodatku musiałam zapłacić za lekcje gry aktorskiej... Pokłóciłam się ze Stellą, bo chciała cię szantażować. A potem, jeszcze tego samego wieczoru, doszłam do wniosku, że skoro ma taki zamiar, powinna mi zapłacić więcej niż czterysta dolarów.

HOTEL LEXINGTON, NA KORYTARZU, NOCĄ

W drzwiach staje Stella z kieliszkiem w dłoni, lekko się chwieje.

STELLA

A, to ty. Dziewczyna, której nie udało się poderwać mojego męża. Czego chcesz?

JA

Nie powinnyśmy rozmawiać o tym na korytarzu.

HOTEL LEXINGTON, APARTAMENT Z TARASEM, NOCĄ

JA

...wykorzystałaś mnie, żeby szantażować męża. Igdyby nie to, że okazał się taki szlachetny, na pewno by ci się udało. Tak czy inaczej, staję się przez to narzędziem przestępstwa. Chcę dostać jeszcze dwa tysiące dolarów.

STELLA

A jeśli nie?

JA

To mu powiem, co zrobiłaś.

STELLA

Nie masz pojęcia, w co się pakujesz, kretynko. Lepiej stąd wyjdź, zanim wezwę kierownika hotelu.

Podchodzi do telefonu obok łóżka.

JA

Nie podnoś słuchawki.

Stella się odwraca... i widzi, że mierzę do niej z pistoletu Jess.

STELLA

O co ci...?

JA

Odwróć się twarzą do ściany. Zaczekaj... Najpierw podaj mi tę torbę.

– Nie chciałam jej zabić – podsumowuję. – To był wypadek. Złapała za pistolet, kiedy brałam od niej torbę, i musiałam ją czymś uderzyć, żeby puściła. Ale kiedy już nie żyła, nie mogłam wyjść bez pieniędzy. – Patrzę na niego. – Przepraszam, Patricku. Przepraszam za wszystko. Ale nie jest mi przykro, że to się stało, dlatego że potem poznałam ciebie. Zdołasz mi wybaczyć?

Nadal przygląda mi się z niedowierzaniem. Żadne z nas się nie porusza, tworzymy zastygły obraz. Po chwili zerkam w stronę swojego telefonu, który leży na szafce obok łóżka.

W jego oczach widzę kielkującą świadomość.

– Jezu – mówi z niedowierzaniem. – Powiedziałaś to tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie kłamię, prawda? Żeby się przekonać, czy nie wpadną tu gliny. No cóż, Claire, nie wpadną. Tu nie

ma glin. Dlatego że nie mam już z nimi nic wspólnego.

– Nie kłamałabym w takiej sprawie...

– Przestań – mówi. – Natychmiast przestań. – Ma wściekłą minę. – Przeholowałaś.

– Musiałam mieć pewność – mówię cicho. – Musiałam. Proszę, Patricku, zrozum. Tylko w taki sposób mogłam raz na zawsze dowieść, że już dla nich nie pracujesz...

– O, ja też mogę tego dowieść. – Teraz jest już naprawdę wściekły, tak jak wtedy w teatrze. Wyciąga ręce i łapie mnie za gardło. – Gdyby słuchali, nie pozwoliliby mi cię udusić – cedzi przez zaciśnięte zęby. – Nie pozwoliliby mi zrobić tego.

Czuję, jak jego palce zatapiają się głębiej, zaciskają. Nie mogę oddychać. Wyciągam ręce i staram się wyswobodzić, ale on jest za silny, ściska jeszcze mocniej. Krew zaczyna dudnić mi w uszach. Drapię go po rękach. Przed moimi oczami eksplodują i migoczą sztuczne ognie. Czuję, jak robi mi się słabo, a potem spadam, spadam coraz głębiej w tunelu.

Odzyskuję przytomność w jego ramionach. Kołysze mnie lekko. Boli mnie gardło.

– Przepraszam – szepczę.

– Nie, to ja przepraszam – mówi cicho. Przytula mnie mocniej. Drży.

– Niepotrzebnie. Specjalnie cię sprowokowałam, kochanie. To była gra w zaufanie. I zadziałała.

Budzę się przed świtem. Patrick śpi obok mnie jak kot, oddycha tak cicho, że równie dobrze mógłby być martwy. Nawet we śnie jego ciało wydaje się napięte i czujne, wybuchowe skupisko mięśni i ścięgien.

Cicho, żeby go nie obudzić, wyslizguję się spod kołdry i idę do kuchni po sok. Gardło nadal mam obolałe, a jutro – dziś – zaczynają się próby z pamięci. Nie mogę ryzykować, że stracę głos.

Pijąc, spoglądam na miasto. Uwielbiam te wielkie okna, dzięki którym czuję się w apartamentach jak na planie filmowym. Jakbyśmy grali spektakl w domku dla lalek, do którego każdy może zajrzeć, mimo że tak naprawdę w nocy okolica jest spokojna, a ulica w dole prawie zupełnie wyludniona.

Myślę o Stelli.

Kiedyś na zajęciach Paul pokazał nam grę, w której każda z trzech osób dostaje czerwony albo czarny kapelusz. Żadna z nich nie widzi swojego kapelusza, tylko kapelusze pozostałych, a wygrywa pierwsza osoba, która zgadnie, jaki kapelusz ma na głowie. To ćwiczenie pozwalające spojrzeć na scenę cudzymi oczami.

Właśnie to próbuję teraz zrobić.

Po moim fałszywym przyznaniu się do winy Patrick wydawał się zaskoczony. A potem skonsternowany. I wreszcie zły. Ale ani przez chwilę nie wyglądał na przekonanego.

Dlatego że mnie kocha i mi ufa?

Dlatego że nie jestem tak dobrą aktorką, jak mi się wydaje?

A może wie, że nie mogłam zrobić tego, co powiedziałam... dlatego że sam był świadkiem śmierci Stelli?

Pustą ulicą przejeżdża rozpędzony radiowóz, błyskając kogutem. Syrenę zyczliwie wyłączono, żeby nie pobudzić mieszkańców. Być może jadą do kolejnego morderstwa. Do kolejnych oderwanych od siebie istnień.

Mimo woli słyszę głos doktora Banner.

DOKTOR BANNER

Nic dziwnego, że masz te melodramatyczne urojenia, Claire. To objaw twoich zaburzeń. Jutro będziesz przekonana, że jest dokładnie odwrotnie.

Muszę wiedzieć, myślę. Muszę wiedzieć, kto naprawdę ją zabił. Nie dlatego, że gdybym odkryła, że Patrick jest mordercą, przestałabym go kochać. Dlatego, że jeśli jest mordercą, nie chcę, żeby to przede mną ukrywał.

Oto mój mroczny sekret: moja miłość do niego jest po prostu tak wszechogarniająca, że nawet gdybym wiedziała, że zabił Stellę, moje uczucia do niego nie uległyby zmianie. Nie mogłabym jednak znieść, gdyby zrobił coś tak doniosłego i się tym ze mną nie podzielił.

Podobnie jak Apollonie, muszę zajrzeć w mrok. Ruszyć w jego stronę.

Oczywiście nie mogę zawiadomić policji. Ale mogłabym spróbować czegoś innego.

>>Victor?

>>Claire. Miałem nadzieję, że pewnego dnia wrócisz do Nekropolis.

>>Victorze, potrzebuję przysługi.

>>Co tylko zechcesz, Aniołku.

>>To Ci się nie spodoba.

>>Przekonajmy się. Jak na zbrojeńca mam zadziwiająco otwarty umysł.

>>Chcę się z Tobą spotkać. Na serio. W realu.

Zapada długie milczenie. Prawie słyszę brzęczenie kabli telefonicznych, szum zakłóceń, gwizdy i pstrykanie w odległych centralach, gdy nasza cisza przeskakuje po satelitach, mknie od komputera do komputera, pełźnie po niekończących się światłowodach...

>>To ma być randka, Claire?

Myślę o tym, ilu mężczyzn zwabiłam, przed iloma grałam, stawałam się złudzeniem, postacią z ich snów.

>>Nie. Przykro mi. Zostaniemy tylko przyjaciółmi. Ale wierz mi, to ważne. Chyba jedynie Tobie mogę zaufać.

>>Gdzie jesteś?

>>W Nowym Jorku. A Ty?

>>Niedaleko.

>>Gdzie by Ci pasowało?

>>W East Village przy St. Marks Place jest kafejka internetowa. Moglibyśmy się tam spotkać w południe.

>>Jak Cię poznam?

>>Zaloguj się na stronie. Wtedy Ci powiem.

>>Dzięki, Victorze. Nie prosiłabym, gdyby to nie było ważne.

Wchodzę do kafejki piętnaście minut przed czasem i wybieram komputer w kącie. Obok mnie japoński student prowadzi poważną cyberrozmowę ze swoją dziewczyną. Kawalek dalej przysadzista bizneswoman pisze jakiś raport, energicznie stukając w klawiaturę dwoma palcami. Nastolatek gra w grę. Rozchichotana włoska para przesyła komuś zdjęcia ze swojego miesiąca miodowego.

Jest też ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy facet w średnim wieku obracający w palcach pusty kubek ze Starbucksa.

Loguję się na stronie Nekropolis.

>>Jesteś tu, Victorze?

>>Jestem, Claire.

>>Na stronie? Czy w kafejce?

>>Tu i tu. Napisz mi, jak wyglądasz.

>>Mam dwadzieścia pięć lat. Ciemne włosy. Jestem ubrana w kaszmirowy bliźniak, który kiedyś należał do kogoś innego. Siedzę przy komputerze w kącie.

>>Nie wspomniałaś, że jesteś piękna.

Podnoszę głowę. Bizneswoman smutno się do mnie uśmiecha.

– Ale czy kiedykolwiek zrobiłabyś komuś krzywdę? To znaczy czy naprawdę mogłabyś kogoś skrzywdzić?

Victor, który w rzeczywistości ma na imię Corinne, kręci głową.

– W fantazjach marzę o seksualnej dominacji. Ale marzy mi się też pokój na świecie, związek z supermodelką i kariera zawodowego muzyka. Claire, uznaję swoje zobowiązania wobec społeczeństwa, a to oznacza, że podobnie jak inni ludzie muszę kontrolować swoje pragnienia. – Wzrusza ramionami. – Trudno znaleźć dobrego bottoma, zwłaszcza jeśli jest się starą grubą lesbą. Ale moi przyjaciele heterocy chyba też nie mają lekko.

– Okej. Rozumiem.

– Powiedz mi, o co chodzi – proponuje Corinne.

Mówię jej o pułapce policyjnej i o swojej teorii, że może to mieć jakiś związek z Nekropolis. Muszę się pilnować, żeby nie brzmieć jak wariatka.

– To policyjna psycholożka zasugerowała, że powinnam zajrzeć na waszą stronę – podsumowuję. – Gdyby nie ona, nigdy nie przysłoby mi do głowy, żeby pchnąć swoją postać w takim kierunku. Poza tym wtedy wydawało się oczywiste, że Patricka też kręcą te dziwne klimaty, mimo że tak naprawdę wcale go nie interesowały.

– Jako osoba, którą kręcą te dziwne klimaty, powiedziałabym, że to bardzo szlachetnie z jego strony.

– Przepraszam... nie chciałam, żeby...

Z uśmiechem zbywa moje przeprosiny machnięciem ręką.

– No więc zastanawiam się, dlaczego Nekropolis – mówię. – Dlaczego profilerkę tak bardzo interesowała zupełnie legalna strona BDSM?

Corinne się waha.

– Być może Nekropolis skrywa więcej, niż wydaje się na pierwszy rzut oka. W każdym razie tak twierdzą niektórzy użytkownicy. Mówi się, że część portalu funkcjonuje w szarym internecie. Członkowie mają do niej dostęp, tylko jeśli zostaną zaproszeni. Tam dzieją się grubsze sprawy.

– Jak to „grubsze”?

– Handel. Zdjęciami i filmami. Tak mi się wydaje.

– Nielegalnymi zdjęciami?

Corinne kiwa głową.

– Tak słyszałam. Nigdy nie pytałam o szczegóły. To nie moje klimaty.

Nie jestem zaskoczona odkryciem, że na stronie, na którą skierowała mnie Kathryn Latham, dzieje się coś nielegalnego. Ale jaki to ma związek z Patrickiem?

„Wielki grat z szufladami pełnymi rupieci / mniej ukrywa sekretów niż mój mózg zgnębiony”, powiedział do mnie z głębokim przekonaniem Patrick podczas naszego pierwszego spotkania. Czy to była wskazówka? Czy w ten zawołowany sposób nawiązywał do swojego sekretu, używając słów Baudelaire’a jak parawanu, żeby zasłonić ukrytą w nich głębszą prawdę?

Może kupował zdjęcia na Nekropolis i Stella się na nie natknęła? Mogłoby to wyjaśniać, dlaczego mówiła o odejściu od niego, a może nawet dlaczego tamtego wieczoru była taka zdenerwowana.

Uświadamiam sobie, że właśnie na tym polega różnica między nami. Że to, co ją przerażało, mnie intryguje. Gdyby Patrick rzeczywiście robił coś takiego, nie byłabym

zszokowana. Wręcz przeciwnie: z radością skorzystałabym z szansy, żeby mu pokazać, że potrafię zaakceptować tę część jego osoby. Żeby pogłębić łączącą nas intymność. Jak ćma wabiona przez płomień.

Gdy docieram do baru, w którym się umówiliśmy, Henry zamawia już drugie piwo. Mówi, że przyszedł wcześniej. Od śmierci Stelli kancelaria prawnicza ograniczyła angażowanie się w sprawy małżeńskie i przeniosła Henry'ego do ściągania długów.

– To głównie poszukiwania komputerowe. Nuda. Przypuszczam, że niedługo będą chcieli się mnie pozbyć. Moje umiejętności nie są już dla nich przydatne.

– A gdybym ja miała dla ciebie zlecenie?

Unosi brwi.

– Chcesz, żebym sprawdził twojego chłopaka?

Przez chwilę kusi mnie, żeby go o to poprosić, ale ostatecznie kręcę głową.

– Nie chodzi o osobę. Raczej o rzecz.

Wyjaśniam mu pokrótce, czego dowiedziałam się o Nekropolis.

– Chcę, żebyś się temu przyjrzał. Zobaczył, czy jakimś cudem udałooby ci się dotrzeć do tej ukrytej części.

– Wiesz – odpowiada z namysłem – w sprawie śmierci Stelli było kilka rzeczy, które od początku wydawały mi się dziwne. Pamiętasz, jaka była podenerwowana tamtego wieczoru?

Potakuję, przypominając sobie tamten dzień. Gdy weszłam, chodziła w tę i w tę wzdłuż okna.

STELLA

Będzie pani ostrożna, prawda? Niech mi pani obieca, że będzie pani ostrożna.

– Miała przy sobie pendrive'a, mały metalowy gadżet na breloczku – ciągnie Henry. – Nieustannie obracała go w dłoniach, pamiętasz?

Wracam myślami do tamtego spotkania. Widzę, jak nerwowo poruszała palcami. Ścisnęła w nich coś, co przez chwilę brałam za różaniec. Dopiero potem zauważyłam błysk breloczka. A przestrzegając mnie przed swoim mężem – „Jest inny niż wszyscy mężczyźni, jakich kiedykolwiek pani znała” – spojrzała w dół. Prawie jakby to był dowód potwierdzający jej słowa.

– Strzelam w ciemno, ale jeśli mówimy o nielegalnych zdjęciach, to może właśnie one były na tym pendrivie – dodaje Henry, sięgając po drinka.

– Wspomniałeś o tym policji?

– Jasne. Ale powiedzieli, że podczas przeszukania apartamentu niczego takiego nie znaleziono. Uznali, że albo się pomyliłem, albo morderca zabrał go ze sobą.

Rozpieram się na krześle i zaczynam się zastanawiać.

– Stella chciała podsunąć mnie Patrickowi, żeby zdobyć na niego haka. Może pendrive też był takim hakiem. Ale skoro zaginął, jak to możliwe, że Kathryn Latham wiedziała o Nekropolis?

– Może była z FBI.

Spoglądam na niego.

– Skąd taki pomysł?

– Po pierwsze, wyjaśniałoby to, dlaczego podała ci fałszywe nazwisko: to standardowa procedura agentów FBI działających w terenie. Po drugie, obserwowanie nielegalnych stron internetowych to zadanie FBI. Jeśli wiedzieli o tym całym Nekropolis, może nawet je monitorowali, to możliwe, że właśnie dlatego zaangażowała się w sprawę Stelli. Jest taki kwestionariusz elektroniczny, który muszą wypełniać gliniarze po morderstwie. Trafia to do Programu Ścigania Brutalnych Przestępców. Przeważnie to istny wrzód na dupie: trzydzieści

stron pytań, żeby sprawdzić, czy twoje morderstwo nie jest przypadkiem podobne do innego, które jeszcze nie zostało rozwikłane. Ale czasami wciskasz „Wyślij” i dostajesz automatyczną wiadomość z prośbą o zadzwonienie pod numer w Quantico. Jeśli komputer uznał, że jest jakiś związek między śmiercią Stelli a czymś, co znaleziono na tej stronie...

– Bo był – mówię, kiwając głową. – Baudelaire. To dlatego strona nazywa się Nekropolis. Ludzie odwiedzający ten portal fascynują się Baudelaire’em. I nie jest to niewinna fascynacja.

- Rozmawiałam dziś z Henrym – mówię.
- Z kim? – Patrick nie odrywa oczu od książki.
- Z byłym gliniarzem, z którym kiedyś pracowałam. Chciałam go spytać o dochodzenie policyjne.

Wtedy podnosi głowę.

- Myślałem, że uzgodniliśmy, że nie będziemy tego więcej roztrząsać.

– Nie. To ty tak uzgodniłaś. Ja nigdy niczego nie uzgadniałam. Chodzi o to, że Henry powiedział mi coś interesującego. Stella miała pendrive'a. Morderca go zabrał, ale możliwe, że były tam zdjęcia ze strony, która nazywa się Nekropolis. – Milknę na chwilę. – Muszę wiedzieć, czy ta nazwa coś ci mówi.

Patrick wpatruje się we mnie z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Tak – potwierdza w końcu. – Mówi.

Wypuszczam powietrze.

- Odwiedzasz tę stronę. Kupujesz te zdjęcia.

– Nie. – Kręci głową. – Pewnego dnia w mojej skrzynce pojawiły się jakieś miniatury.

Tak brzmiała nazwa domeny, z której je wysłano: Nekropolis.

- Ale dlaczego przesłano je akurat tobie?

– To były zdjęcia cyfrowe związane z *Kwiatami zła* – mówi cicho. – Chyba można by je nazwać odtworzeniami.

- Dlaczego? – Jestem skołowana.

– Dawniej niektóre kolekcjonerskie wydania poezji zawierały ilustracje do wierszy wykonane przez znanych artystów. Jeśli temat był erotyczny albo obsceniczny, wydawano je w małych nakładach dla prywatnych kolekcjonerów. – Wskazuje regały ciągnące się wzdłuż całej ściany apartamentu. – Sam mam rzadkie ilustrowane wydania *Kwiatów zła*.

– I właśnie tym były te zdjęcia? Ilustracjami do wierszy? Z tą różnicą, że zrobiono je aparatem, a nie narysowano?

Kiwa głową.

– Wydały mi się śmieszne, tak jawnie zmontowane, że przepadł cały czar poezji Baudelaire'a. Napisałem tak w odpowiedzi. Nekropolis nigdy więcej się do mnie nie odezwała.

- Nadal masz te zdjęcia?

– Nie. – Spogląda w stronę regału. – Chociaż...

- Patrick, proszę. To może być ważne.

Wzdycha.

- Jedno zachowałem. Tylko jedno. Z okładki. Najmniej nieprzyjemne.

Podchodzi do regałów. Wyjmuje spomiędzy dwóch książek pojedynczą kartkę i podaje mi ją. Wbrew swojej woli wydaję z siebie zduszony okrzyk.

Zdjęcie ukazuje płaski brzuch kobiety, kolor jej skóry to coś między brązem a czernią. Pępek otacza rozeta cieniuteńkich włosków, w których odbija się światło lampy błyskowej. Meszek wiedzie w dół, tworząc zgrabną linię. Uczesano go tak, że razem z pępkiem i włoskami przypomina kwiat. To delikatny, subtelny obraz – tylko że głęboko w skórze nad pępkiem wyryto słowa „Kwiaty zła”. Na moje oko nie wygląda to na fotomontaż.

- O Boże – szepczę.

Patrick kiwa głową.

- Właśnie. Reszta była w podobnym guście.
- Wszystkie były...? – Milknę, świadoma tego, jak nedorzecznie zabrzmiało to pytanie w odniesieniu do czegoś tak potwornego. – Wszystkie były takie piękne?
- W pewnym sensie chyba tak – odpowiada cicho.
- Wpatruję się w zdjęcie, nie będąc w stanie oderwać od niego oczu.
- Piękno ze zła.
- Piękno ze zła – potwierdza Patrick.
- Czy w tym mejlu było coś jeszcze?
- Tylko bardzo krótki list. Coś w stylu: „Kolejny kwiat z tego samego nasiona. Kolejna transfiguracja. Od wielbiciela”.
- Co to znaczy?
- To nawiązanie do czegoś, co zawarłem we wprowadzeniu. Napisałem, że zadanie tłumacza polega nie tylko na przepisaniu czegoś z jednego języka na drugi, ale też na transfiguracji: sprawieniu, aby wiersze ponownie ożyły w nowym stuleciu dzięki nowym środkom wyrazu.
- I ten ktoś właśnie tak zrobił. Tyle że podczas gdy ty użyłeś słów, on pstryknął zdjęcia. On robi to na poważnie.
- Patrick marszczy brwi.
- Może i tak.
- Powiedziałaś o tym policji?
- Tak, wspominałem, że dostawałem różne mejle. Nie wydawali się zbyt zainteresowani.
- Zwykli gliniarze by tego nie skojarzyli. Udało się to dopiero Kathryn Latham, znacznie później. – Moje spojrzenie raz po raz wraca do zdjęcia. – „Kolejny kwiat z tego samego nasiona”. Prawie jakby obrazy z *Kwiatów zła* kiełkowały i powieleły się. Jakby szerzyły zło. A osobą, która zainspirowała tego człowieka, jesteś ty. – Uświadamiam sobie coś jeszcze. – To samo kryje się w drugim akcie twojej sztuki, prawda? Kiedy prokurator pyta Baudelaire’a, jak by się czuł, gdyby ktoś zainspirowany którymś z jego wierszy zrobił coś złego. Sam jesteś w takiej sytuacji. Masz fanów. Nawet naśladowców. I kiedy nieprzychylnie odniosłeś się do jego dzieła, zabił Stellę.
- To tylko jedna z możliwości – mówi lekko podenerwowany Patrick. – Nie wyprzedzajmy faktów.
- Naprawdę nie rozumiesz, co to oznacza? Ta cała sztuka... Pędzimy prosto w najgłębiej skrywane fantazje jakiegoś świra. Czy będzie z tego zadowolony?
- Dlaczego w ogóle miałoby go to obchodzić?
- Ponownie patrzę na zdjęcie, które jest odpychające, a jednocześnie dziwnie mnie pociąga.
- Wątpię, żeby ten człowiek uważał się za stukniętego wielbiciela pornografii. Moim zdaniem uważa się za artystę. Jeśli sztuka mu się nie spodoba, nie ograniczy się do napisania niepocholebnej opinii w „Timesie”. Potraktuje to bardziej osobiście.
- Nie rozumiem, dlaczego miałoby tak być. Ale jeśli to cię martwi... Chcesz się wycofać?
- Przez chwilę prawie ulegam pokusie. Ale jak powiedział Patrick, to może być jedynie naciągana teoria. A ja nie zamierzam zaprzepaścić swojej wielkiej szansy z powodu czegoś, co się wydarzyło, zanim weszłam na scenę.
- Oczywiście, że nie – mówię. – Ale chyba powinniśmy zacząć na siebie uważać.

Dwa dni później, biegając w parku Morningside, zauważam coś na ławce. Ktoś zostawił tam książkę w miękkiej oprawie.

Podbiegając, widzę, że to egzemplarz *Kwiatów zła*.

Podnoszę go. Wtedy ze środka wypada zdjęcie. Moje zdjęcie. To, które Marcie chciała umieścić na swojej stronie internetowej, wydrukowane na tanim papierze.

Ktoś zaznaczył nim wiersz zatytułowany *Upiór*.

Jak aniołowie o oku płowym

Przychodzić będę do twej alkowy

I bez szelestu sunąć ku tobie,

Gdy będzie cicho, ciemno jak w grobie.

Czuję gwałtowny przyływ mdłości. Ale czytam dalej.

I będę dawać ci, [śniada ma i] drżąca,

Uściski zimne jak blask miesiąca,

Pieszczoty będę dawać widmowe

Węża, co czołga się ponad rowem.

[...]

Jak inni rządzą w świecie czułością,

Tak ja nad tobą, nad twą młodością

Będę panować strachem, przemocą.

– I nikogo nie widziałaś?

– Nie. To znaczy wokół oczywiście byli ludzie. Ale nie zauważyłam niczego niezwykłego. I znowu miałam to wrażenie: poczucie, że ktoś mnie obserwuje.

Patrick obraca tomik w rękach. To zwykle wydanie jego przekładów, niczym się nie wyróżnia.

– Zaledwie dwie przecznice dalej jest księgarnia uniwersytecka. To mógł być ktoś z moich studentów...

– I włożył do środka moje zdjęcie? – pytam, wchodząc mu w słowo. Słyszę napięcie w swoim głosie. – Po co?

– Grasz w sztuce o Baudelairze. Może wyszukali cię w internecie. Może to było tylko przypomnienie, żeby kupić bilet...

– Wątpię.

– Tak jak wątpiałaś, że nie współpracuję z policją – mówi łagodnym tonem. – Tak jak myślałaś, że widziałaś Franka Durbaną.

– Może wtedy zareagowałam przesadnie – przyznaję. – Ale teraz nie przesadzam. Ktoś zostawił ten tomik na ławce, żebym go znalazła. To jasne jak słońce. „Będę panować strachem, przemocą”. On chce, żebym się bała. – Wyjmuję książkę z rąk Patricka i rzucam ją ze złością. – To on. To na pewno on. Człowiek, który zrobił tamte zdjęcia. Śledzi mnie. Przesyła mi wiadomości.

– Chcesz to zgłosić na policję?

– Raczej nie potraktowaliby mnie poważnie. Jak powiedziałaś, to tylko tomik wierszy. Poza tym nie jesteś teraz ich największym przyjacielem.

– W takim razie co zamierzasz zrobić?

Zastanawiam się.

– Może poproszę Henry’ego, żeby został moim ochroniarzem? Mógłby mnie eskortować na próby i z powrotem.

Patrick kiwa głową.

– Dobry pomysł. Wszystko, bylebyś była bezpieczna, Claire.

Ale zauważam, że powstrzymuje się od przyznania mi racji.

Na kolejnej próbie Aidan ma nam coś do zakomunikowania.

– Być może zauważyliście, że wzmocniono ochronę i wszystkim wam rozdano przepustki. To dlatego, że Claire prawdopodobnie ma stalkera. Od tej pory będzie wychodziła z budynku w towarzystwie ochroniarza. Proszę, przestrzegajcie procedur. One naprawdę służą naszemu bezpieczeństwu.

Na drugim końcu sali widzę, jak Laurence marszczy brwi, bazgrząc w scenariuszu. Wyobrażam sobie, co o tym sądzi. „Znowu się zaczyna. Diwa na pokładzie”.

Wal się, odpowiadam mu w myślach.

Nawet Henry podchodzi do tego sceptycznie.

– Stalkerzy zwykle nie ograniczają się do zostawiania książek na ławkach – mówi. – Przeważnie zaczyna się od listów miłosnych. Potem się wkurzają, że nie odpisujesz, i obsesja zmienia się w złość.

– Nie wydaje mi się, żeby ten gość był zwykłym stalkerem – mówię. – Bardziej przypomina myśliwego, który tropi ofiarę.

– Jeśli tak, po co miałby ryzykować i cię ostrzegać?

– Nie wiem. Ale wydaje mi się, że to wszystko jest elementem jego planu. Mieszanie mi w głowie. Zabawa w te gierki.

– Jeśli poza tym nie robi nic złego, chyba nie powinniśmy się zbytnio przejmować.

– Nie widziałeś tych zdjęć. On już kiedyś zabił. Nie porzestanie na przesyłaniu wierszy. W końcu będzie chciał wcielić je w życie.

– Jeśli to ten sam facet. A skoro o tym mowa, wczoraj wieczorem pokręciłem się po Nekropolis. Wyraźnie dałem do zrozumienia, że szukam czegoś mocniejszego niż to, co znalazłem na stronie. Nikt nie połknął przynęty.

– Połknie – mówię. – Nekropolis to klucz do wszystkiego. Jestem tego pewna.

Wszystkie sceny erotyczne są drobiazgowo zaplanowane, jakby były scenami walki. Na początek gramy w ubraniach, najpierw w zwolnionym tempie, potem trochę szybciej, aż w końcu zaczynają przypominać ćwiczenia taneczne albo gimnastyczne. Więcej w tym precyzji niż namiętności.

– Jeśli w którymś momencie poczujecie się niekomfortowo, po prostu powiedzcie – mówi Aidan. – Szanujcie pozostałych aktorów i siebie samych. Nie ma nic złego w wytyczaniu granic.

Oczywiście nie zgłaszam żadnych zastrzeżeń. Trochę dlatego, że nie chcę być osobą, która swoimi ograniczeniami hamuje pracę nad przedstawieniem, a trochę dlatego, że nigdy nie miałam do czynienia z granicą, której nie chciałabym przekroczyć.

– To jedyne sceny, w których nigdy, przenigdy nie improwizujecie – podkreśla Aidan. – Żadnych niespodzianek. Grunt to zaufanie.

Gram w trzech takich scenach: w tej, w której przedstawiający moją postać posąg ożywa i zaczynam się kochać z Jeanne, w tej, w której spędzamy z Baudelaire’em jedyną wspólną noc, i w ostatniej, w nastrojowym nowym, napisanym na prośbę Aidana zakończeniu, w którym Nyasha, Laurence i ja tańczymy walca z trzema ludzkimi szkieletami, a nasz *danse macabre* powoli przemienia się w orgię. Szkieletami będą operowali lalkarze schowani wśród sznurków nad sceną. Gdy próbujemy to zagrać po raz pierwszy, beznadziejnie się w nie zaplątujemy, więc potem poświęcamy tej scenie najwięcej czasu. Dopiero kiedy ją opanowujemy, wracamy do pozostałych.

Scena z Nyashą jest stosunkowo łatwa: z początku mam być bierna – posąg leży na cokole – potem coraz bardziej się podniecam, aż wreszcie zastygam w tej samej ekstatycznej pozie, w której mnie rzeźbiono. Scena z Laurence’em stwarza więcej problemów. Nikt, nawet Aidan, nie jest do końca pewny, jak należy ją zagrać. Pod pewnymi względami to najważniejsza scena w całej sztuce, jej najgłębsza tajemnica, moment, który popycha Baudelaire’a od uwielbienia Apollonie do jej odrzucenia. Omawiamy wiele możliwości. Czy był impotentem? Był szczęśliwy? Prerażony? Wzruszony? Scenariusz Patricka tego nie precyzuje. Wszyscy uznają to za wykręt, ale nie możemy uzyskać jednomyślności co do tego, czym wypełnić pustkę.

Na prośbę Aidana Patrick przychodzi przedyskutować pewne pomysły. Próbujemy kilku rozwiązań, ale nadal czegoś brakuje.

– Mogę coś zaproponować? – odzywa się nieśmiało Patrick.

– Oczywiście – mówi Aidan.

– Ona mogłaby być na górze – podpowiada Patrick. – Potem wzięłaby go za rękę i przyłożyła jego dłonie do swojego gardła.

– W jakim celu?

– To dwuznaczny gest. Albo go zachęca, by udowodnił, że nie jest człowiekiem przedstawianym w wierszach... albo go zachęca, by udowodnił, że nim jest. Grunt, że on wpada w złość. Nie dowiadujemy się, czym jest spowodowana: tym, że ona nadal mu nie wierzy, czy tym, że chcąc nie chcąc, Baudelaire traci kontrolę.

– Dwuznaczności podobają się widzom. Ale Apollonie? Czego ona w tej chwili chce? – Aidan zwraca się do mnie: – Claire? To twoja rola.

– Moim zdaniem chce, żeby był wierny swojej poezji – mówię powoli. – W ostatecznym rozrachunku chce, żeby był autentyczny. Jednocześnie się boi, bo nie wie, dokąd ją to zaprowadzi, dokąd zaprowadzi to ich obydwoje. Wie, że to przełamanie tabu. Ale właśnie tego

naprawdę pragnie, w każdym razie w tej chwili: intymności towarzyszącej dostępowi do jego najgłębszych, najmroczniejszych sekretów. A on podejmuje grę. Właśnie dlatego ją odrzuca. To wszystko jest w liście, który napisał do niej następnego dnia: „Przeżywam męki namiętności, bo aż zbyt dobrze znam okropieństwa, do jakich może mnie to przywieść”. Baudelaire sam boi się tego, co ujawnia.

Spoglądam na Patricka. Wytrzymuje moje spojrzenie. Po chwili kiwa głową.

– Okej, ma to sens – orzeka Aidan. – Przećwiczmy to.

W końcu przechodzimy do rozbieranej próby – tak ją nazywamy. Po raz pierwszy mamy przećwiczyć sceny rozbierane bez ubrań. To próba zamknięta, są na niej obecni tylko Aidan i choreograf. Trudno wyczuć, jak do tego podejść – poważnie i z szacunkiem czy może z humorem i żarcikami? Obie możliwości schodzą jednak na drugi plan, gdy Nyasha się rozbiera. Nieważne, ile kilometrów bym przebiegła – nigdy nie byłabym w stanie konkurować z tym twardym jak rzemień ciałem, z jej idealnymi piersiami, z płaskim brzuchem naprężonym jak rakietę tenisową. W milczeniu zdejmuję ubranie.

Czuję się niezręcznie przez jakieś dwie minuty, potem zupełnie zapominam, że jestem naga.

Gdy kończymy i sala ponownie zostaje otwarta, podchodzi do mnie goniec.

– Claire, ktoś przysłał ci kwiaty. Położyłem je tam.

W umywalce tkwi olbrzymi bukiet czarnych lilii. Od Patricka, zgaduję natychmiast. Wie, jak bardzo denerwowałam się przed dzisiejszym dniem.

Na karteczce nie ma imienia, tylko kilka napisanych na komputerze linijek:

Kocham cię, kiedy nagła burza

Zmąci jasne twe spojrzenie,

Gdy serce twe się w grozie nurza.

Dzwonię do niego.

– Przysłałeś mi kwiaty?

– Nie – mówi. – Niech to szlag... powinienem był.

– Nie o to chodzi. Dostałam następną wiersz. – Czytam mu go. – To z *Kwiatów zła*, prawda?

– Tak, z wiersza *Smutny madrygal* – mówi powoli Patrick. – Adresowanego do Białej Wenus. Baudelaire mówi jej, że wielu mężczyzn wywoływało uśmiech na jej twarzy, ale on chce być jednym z nielicznych uprzywilejowanych, którzy skłonią ją do płaczu.

– „Gdy serce twe się w grozie nurza”... To znowu on. – Trzęsę się. – Ten od książki. Na pewno.

Patrick przez chwilę milczy.

– Claire, trudno uznać bukiet kwiatów za pogrózkę. Może ktoś chciał ci pogratulować, że wreszcie dostrzeżono twój talent.

– To kwiaty, Patricku. Czarne kwiaty. Kwiaty zła. On robi dokładnie to, co zapowiedział: próbuje mnie nastraszyć.

I udaje mu się.

Gdy dopowiadam w myślach te słowa, pewna częśćka mnie jest jednak niemal wdzięczna. *Wykorzystaj to*. Apollonie dostała ten sam wiersz, anonimowo. Otworzywszy odręcznie napisany list, który jak gdyby nigdy nic dostarczono jej pewnego dnia do domu – atrament ledwie zdążył wyschnąć – też nie wiedziała, kto go napisał ani dlaczego zwrócił uwagę akurat na nią. Nie

wiedziała, czy to wielbiciel, prześladowca czy – jak się okazało – ktoś, kto w zasadzie łączył w sobie cechy ich obu. Nigdy nie miałam wątpliwości, że się wtedy bała, ale teraz naprawdę to czuję.

– Nie wydaje ci się, że przypisujesz tym słowom znaczenie, którego tak naprawdę nie mają? – pyta cicho Patrick i już wiem, że on też interesował się objawami histrionicznego zaburzenia osobowości.

Gdy wychodzę, zatrzymuje mnie Laurence.

– To było niesamowite – mówi z chłopięcym uśmiechem. – Naprawdę poszłaś na całość.

– Dzięki – rzucam. Jestem rozkojarzona, wciąż myślę o kwiatkach. Mam ochotę wracać do domu.

Laurence konspiracyjnie ścisza głos.

– Wiesz, już zapomniałem, jak fantastyczna jesteś w łóżku.

– Uznam to za komplement. Słuchaj, muszę już iść...

– Zaczekaj... – Kładzie rękę na moim ramieniu. – Co u ciebie, Claire? – pyta cicho. –

Czuję się koszmarnie, próbując przed nimi udawać, że nic nigdy między nami nie zaszło. Ale nie myśl sobie, że skoro umiem udawać, to nic do ciebie nie czuję.

Wpatruję się w niego.

– Szczerze mówiąc, Laurence, tak właśnie myślałam.

Nie zwraca uwagi na mój sarkastyczny ton.

– Ech, aktorzy. Nigdy nie wiemy, co jest prawdziwe, a co nie. Słuchaj, miałabyś może ochotę wyskoczyć na drinka? Zatrzymałem się w Mandarin Oriental.

– Dobrze – mówię powoli. – Jasne. Będę o ósmej. Po prostu wypijemy drinka i porozmawiamy, okej? Wyjaśnimy sobie, jak to między nami jest.

– Oczywiście. Po prostu wypijemy drinka. Będzie wspaniale.

Patrzę na jego rozochoczoną piękną twarz i uświadamiam sobie, że to, co się między nami wydarzyło, jeszcze nie dobiegło końca.

Wieczorem w połowie drugiego martini Laurence wyznaje, jak się podniecił podczas próby naszej sceny erotycznej.

– Nie wiem, jak sobie poradzę, robiąc to z tobą co wieczór – dodaje z chłopcym uśmiechem. – I czy tylko mi się wydawało, czy ty też wczułaś się trochę bardziej, niż to było absolutnie konieczne?

– Może odrobinę – mówię, rumieniając się.

W połowie trzeciego martini, gdy już trochę poflirtowaliśmy, zaprasza mnie do swojego pokoju.

Flirtujemy dalej, a potem mówię: „Zgoda, chodźmy na górę”. Ma apartament na ostatnim piętrze, z widokiem na park. To musi kosztować Patricka fortunę.

Laurence otwiera butelkę szampana. Gdy nalewa pierwszy kieliszek, oznajmiam mu, że nie zamierzam się z nim przespać.

– Nie? – mówi lekkim tonem. Najwyraźniej mi nie wierzy.

Przypuszczam, że niewiele kobiet odmawia Laurence’owi.

– Nie – powtarzam.

Nadal się uśmiecha.

– W takim razie pozwól, że spytam: dlaczego zgodziłaś się przyjść do mojego pokoju?

– Po prostu chciałam zobaczyć widok z okna.

Wychodzę stamtąd i wracam do domu. Pokazuję Patrickowi nagranie wideo, które zrobiłam kamerą ukrytą w torebce. To, które zamierzam przesłać żonie Laurence’a, gdy tylko zakończymy produkcję.

– Jesteś szaloną, złą kobietą – mówi Patrick, wpatrując się we mnie.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo szaloną – zapewniam go. – Mało jeszcze widziałeś.

Następnego dnia rano jak zwykle przyjeżdża po mnie Henry i idziemy razem do studia. Nadal kipią we mnie emocje związane ze zwabieniem Laurence'a w pułapkę. Gdy wchodzę do sali prób, zauważam, że wszyscy wyglądają na wstrząśniętych. Moja dublerka Louise płacze. Na twarzy Laurence'a maluje się ta jego „poważna, lecz taktowna” mina. Unika mojego wzroku.

– Claire – mówi Aidan ponurym tonem. – Właśnie dostaliśmy okropną wiadomość. Chodzi o Nyashę. Niełatwo coś takiego powiedzieć... Ona nie żyje.

Przez chwilę nie potrafię znaleźć sensu w jego słowach.

– Co?

– Policja zawiadomiła nas o tym dwadzieścia minut temu. Nyasha mieszkała w wynajętym apartamencie przy Columbus. Gdy dziś rano nie zeszła do samochodu, portier poszedł sprawdzić, co się dzieje. – Rozgląda się, patrząc na nas. – Policja powiedziała niewiele, ale domyślam się, że doszło do przestępstwa. Prosimy, żebyśmy tu wszyscy zostali, chcę nam zadać kilka pytań.

Oszołomieni siedzimy w milczeniu. Nikt nie ma ochoty dociekać, co to oznacza dla naszej produkcji. Ktoś pyta o rodzinę Nyashy, ale niewiele o niej wiadomo. Uświadamiam sobie, że Nyasha bardzo dbała o swoją prywatność.

Zjawia się trzech detektywów, żeby spisać zeznania. Mną zajmuje się kobieta, która przedstawia się jako detektyw Ferelli.

Dochodzę do wniosku, że powinnam jej o wszystkim powiedzieć. Przez wzgląd na Nyashę. Mówię zatem o stalkerze, o kwiatach, o tym, jak zakładałam, że te wiadomości są adresowane do mnie.

– Za pierwszym razem zazaczył wiersz pod tytułem *Upiór*. Ten wiersz opowiada o napadnięciu na kobietę w jej sypialni. Myślałam, że jest skierowany do mnie, ale tak naprawdę ten człowiek robił to samo co Baudelaire. W przesłanym mi wierszu opisał coś, co przydarzyło się Czarnej Wenus.

Detektyw Ferelli mruga, nic z tego nie rozumiejąc. Zniecierpliwiona podchodzę do swojej torebki i wyjmuję z niej tomik.

– „Jak aniołowie o oku płowym przychodzić będę do twej alkowy” – czytam. – Inaczej mówiąc, do mieszkania Nyashy. – „I bez szelestu sunąć ku tobie, gdy będzie cicho, ciemno jak w grobie”. To jest dość oczywiste. „I będę dawać ci, [śniada ma i] drżąca, uściski zimne jak blask miesiąca”. Wtedy powinnam była się domyślić. „Śniada”. On miał na myśli Czarną Wenus. Jego celem była Nyasha. Nie ja.

– Chce pani powiedzieć, że okoliczności śmierci pani Neary mogą przypominać scenariusz zawarty w tym wierszu – mówi detektyw Ferelli.

– Właśnie to chcę powiedzieć. – Nie dodaję, że morderca prawdopodobnie zrobił zdjęcia, ponieważ oznaczałoby to konieczność opowiadania jej o Nekropolis, a gdybyśmy poszły tą drogą, zaczęłabym brzmieć jak kompletna wariatka.

Usta policjantki napinają się sceptycznie, ale zapisuje coś w notesie.

– Jak zginęła Nyasha? – drążę. – Tak jak w wierszu, prawda? We śnie? Użyto do tego noża albo odłamków szkła... Została okaleczona?

Detektyw Ferelli spogląda na mnie z niesmakiem.

– Pani Wright, na razie nie będziemy ujawniali żadnych szczegółów. Ze względów operacyjnych. – „Ze względów operacyjnych” brzmi w jej ustach jak: „nie takim psycholom jak ty”. – Czy mogłaby pani opisać, co pani robiła po wyjściu z tego budynku wczoraj wieczorem?

– Poszłam na drinka z Laurence’em Pisano. Spotkaliśmy się między ósmą a dziewiątą w jego hotelu, Mandarin Oriental.

Spogląda na mnie.

– W barze?

– Tak... a potem byliśmy w jego pokoju. Przez chwilę.

Zapisuje to bez komentarza.

– Nie spaliśmy ze sobą – dodaję z jakiegoś powodu.

– To już nie moja sprawa, proszę pani. Interesuje mnie tylko, o której to było godzinie. Co wydarzyło się potem?

– Poszłam do domu. Mieszkam z Patrickiem Foglerem, autorem sztuki, w budynku Enclave przy Sto Trzynastej.

– Okej. – Gwałtownie zamyka notes. – Na razie nie ma powodów przypuszczać, że

śmierć pani Neary ma jakikolwiek związek z jej życiem zawodowym. Dlatego proszę się nie niepokoić.

Dopiero po chwili pojmuję, co ma na myśli.

– Pani mi nie wierzy? Myśli pani, że stalking nie ma z tym nic wspólnego?

– Zachowujemy otwarte umysły – odpowiada neutralnie. – Ale to, że ktoś zostawił dla pani jakiś wiersz, a potem dostała pani kwiaty, nie jest zbieżne z żadną z naszych obecnych linii dochodzenia.

Aidan mówi, że możemy zostać, jak długo chcemy, a potem zrobić sobie dzień wolny. Moja dublerka Louise w końcu przestaje płakać. Wychodzi razem z Laurence'em, który obejmuje ją ramieniem. Reszta z nas rozchodzi się w milczeniu, pogrążona w myślach.

Dzwonię do Henry'ego, żeby odprowadził mnie z powrotem do apartamentu. Kiedy tam docieramy, Aidan jest już u Patricka i omawiają skutki tej tragedii dla produkcji. Najwyraźniej wiadomość rozchodzi się już w mediach społecznościowych. Idę do kuchni, ale chcąc nie chcąc, słyszę, co mówią.

– Rozmawiałem z Faith – mówi Aidan. Faith to dublerka Nyashy. – Jest gotowa grać. Będziemy tylko musieli wprowadzić drobne zmiany w tekście, żeby wykreślić jej obecną rolę.

– Czy opinia publiczna nie będzie oczekiwała, że zrezygnujemy? – pyta Patrick.

– Raczej nie. Śmierć aktora w czasie prób to rzadkość, ale i takie przypadki się zdarzają. Wszyscy wiedzą, że przedstawienie musi trwać.

A ty wiesz, że rozgłos zwiększy sprzedaż biletów, odpowiadam mu cynicznie w myślach.

– Wydamy oświadczenie – dodaje Aidan. – „Opłakujemy drogą przyjaciółkę i wielki talent. Nagła śmierć Nyashy to potworna tragedia. Będzie nam jej bardzo brakowało”. A jutro z samego rana znowu zbierzemy obsadę w sali prób. Faith będzie potrzebowała intensywnego przygotowania.

– Podchodzi do tego z niezwykłym spokojem – mówi Patrick po wyjściu Aidana.

– Na tym polega jego praca. Obsada oczekuje, że reżyser przejmie kontrolę nad sytuacją.

– A ty? Dobrze się czujesz?

Waham się.

– Mogę ci powiedzieć coś okropnego?

– Oczywiście.

– Kiedy usłyszałam... – mówię powoli. – Kiedy Aidan nam o tym powiedział... w pierwszej chwili przeżyłam szok. Byłam przerażona. I zrobiło mi się bardzo smutno z powodu biednej Nyashy. Ale potem poczułam...

– Mów dalej – zachęca mnie Patrick.

– Jakaś mała, maleńka cząstka mnie poczuła rozczarowanie. Dlatego że to ostateczny dowód, prawda? Dowód, że Kathryn od początku się myliła. Najprawdopodobniej Stella też padła ofiarą tego mordercy, tak jak wszystkie pozostałe dziewczyny. A w głębi duszy miałam nadzieję... – Milknę na chwilę. – Nadal miałam nadzieję, że to byłeś ty. Że to ty masz okropny, mroczny sekret, którym pewnego dnia się ze mną podzielisz.

Patrick wydaje się oszołomiony.

– Nie mówisz poważnie!

– Chciałeś poznać prawdziwą mnie. Jesteś w szoku?

– To nie jesteś prawdziwa ty, prawda? – mówi powoli. – To ona... Apollonie. Twoja postać. Znowu za głęboko weszłaś w rolę...

Kręcę głową.

– Buduję jej postać na sobie, przecież wiesz. Zawsze taka byłam, Patricku. Po prostu musiało upłynąć dużo czasu, zanim zaufałam ci wystarczająco mocno, żeby ci o tym powiedzieć. Może i żałuję, że nie ma we mnie więcej empatii, współczucia czy czego tam, ale prawda wygląda tak, że po prostu jestem inaczej skonstruowana. Możesz zrzucić winę na to, że byłam dzieckiem, którego nikt nie chciał, albo na to, że mam pewne cechy osobowości borderline czy

jak to się tam, cholera, nazywa, ale nie jestem taka jak inni ludzie. Po prostu nie jestem.

Następnego dnia wznawiamy próby. Faith jest profesjonalistką i nie zmienia roli stworzonej przez Nyashę: wszystko gra tak samo, robi pauzy w tych samych miejscach, wykonuje te same ruchy, dzięki czemu reszta z nas nie musi zaczynać od zera. Prawie jakby Nyasha znowu była wśród nas. Świadczy to chyba o talencie Faith. Jak to mówią, dzisiejsi dublerzy to jutrzejsze gwiazdy.

Kilka razy przyłapuję się nawet na tym, że przez pomyłkę mówię do niej „Nyasha”. Laurence ostentacyjnie mi to wytyka.

Z całej obsady jedynie Laurence udziela wywiadów mediom, opowiada dziennikarzom, jak bardzo podziwiał Nyashę. Zastanawiam się, czy nie dać znać jakiemuś blogerowi, że Nyasha uważała Laurence’a za bufona, ale ostatecznie tego nie robię. Mam za dużo na głowie, a w internecie już i tak krąży wystarczająco wiele teorii na temat jej śmierci.

Po dwóch dniach intensywnych prób, pięć dni przed premierą, cała produkcja przenosi się ze studia do teatru. Scenografia – do tej pory tylko kolorowe taśmy na podłodze w studiu – nagle staje się rzeczywistością. Oprócz prób poszczególnych scen mamy też przymiarki kostiumów, zbiórki techników, próbę dla oświetleniowców. Wszystko wskazuje na to, że bilety schodzą wyśmienicie – na dwa pierwsze tygodnie są wyprzedane. Kto byłby w stanie oprzeć się spektaklowi o Baudelaire, w którym już doszło do morderstwa?

Dostaję własną garderobę, ciasne, zakurzone pomieszczenie w labiryncie za kulisami, które przypadłoby Nyashy, gdyby wciąż żyła. Są w nim lustra, toaletka, umywalka, a nawet mała leżanka. Jestem zachwycona. Ilekroć wchodzę do środka, zatrzymuję się, żeby wciągnąć zapach. Farby z dekoracji, kurzu ze sceny i nadgryzionego przez mole aksamitu. Woń magicznego królestwa.

Wkrótce garderoba zaczyna się wypełniać kwiatami. Od Patricka, od Aidana, od Jess, od Marcie.

Zauważam, że nie ma kwiatów od Laurence’a.

A potem pojawia się bukiet, który natychmiast przyciąga mój wzrok. Długie czarne róże owinięte w papier z logo najdroższej kwiaciarni na Manhattanie. Gdy odwijam je z łomoczącym sercem, bukiet się rozpada. Kwiaty zostały okaleczone: odcięto je od łodyg, a te z kolei połamano na kawałki.

Ktoś dołączył napisany na komputerze liścik:

[...] na [kwiatkach] – za bezwstyd Natury –

Wściekle zemścić się byłem zmuszony.

Natychmiast rozpoznaję ten cytat. Pochodzi z *Do tej, co zbyt wesola*. To jeden z wierszy Baudelaire’a wysłanych do Apollonie Sabatier. Wiersz, którego później zakazano za obsceniczność – zawierał opis tego, jak pragnął ją zabić.

– Teraz nie możesz powiedzieć, że mam urojenia – mówię do Patricka. – On daje mi znać, że to jeszcze nie koniec. Że Nyasha nie była ostatnia.

Patrick marszczy brwi.

– Zadzwoń do tej kwiaciarni.

Po chwili się rozłącza, ma zmartwioną minę.

– Mówią, że kwiaty były w porządku, kiedy od nich wychodziły. Ale dostarczono je nie do teatru, tylko do paczkomatu. Ktokolwiek je połamał, musiał to zrobić, zanim do ciebie dotarły.

– Wiadomo, kto je kupił?

Patrick kręci głową.

– To był zakup przez internet. Nabywca zapłacił za pośrednictwem PayPal.

– Więc jednak nie miałam paranoi.

Patrick zaczyna otwierać butelkę czerwonego wina. Podając mi kieliszek, mówi ostrożnie:

– Paranoi nie. Ale oprócz stalkera są też inne możliwości, prawda?

– Na przykład jakie? – pytam speszona.

– Zwykły kawał.

– Co?! – zaczynam, ale on wchodzi mi w słowo.

– Na przykład Laurence. Na pewno widział, jak się wystraszyłaś, kiedy dostałaś pierwszy bukiet. Może to jego zemsta za ten numer, który mu niedawno wykreślałaś.

– Takie wyjaśnienie zupełnie pomija fakt, że pierwszy bukiet musiał wysłać ktoś inny. Poza tym Laurence nadal nie wie, że go nagrałam.

– W takim razie Aidan. Niektórzy reżyserzy słyną z tego, że celowo napędzają stracha aktorkom, prawda? Zwłaszcza aktorkom – dodaje po chwili wahania – które ich zdaniem nie nadają się do roli w ich filmie. Hitchcock robił tak Tippi Hedren...

– To nie Aidan. Patricku, to nie on! Nie chciał mnie obsadzić, ale odkąd się zgodził, cały czas zachowuje się profesjonalnie. – Odsuwam nietknięte wino.

– Claire... – zaczyna z wahaniem Patrick.

– Tak?

– Muszę cię o coś spytać – mówi cicho. – Sama wysłałaś do siebie te kwiaty?

– Żartujesz – odpowiadam z niedowierzaniem.

– Zrozumiałbym to. – Spogląda na kieliszek. – Jeśli miałyby ci to pomóc wejść w rolę. Jeśli dzięki temu poczułabyś to, co musiała czuć Apollonie, kiedy Baudelaire przysyłał jej wiersze. Ale musisz mi o tym powiedzieć.

– Chyba nie myślisz, że zrobiłabym coś takiego?

– Wiem, że jesteś zdolna do niezwykłych rzeczy. Wiem, jak zanurzasz się w postaciach, które grasz. To jedna z cech, które w tobie kocham. Po prostu nie wiem, jak daleko jesteś w stanie się posunąć.

– Patricku, to nie ja przysłałam te kwiaty. – Sięgam jednak po kieliszek i pociągam długi łyk. – To on. To jego sprawa.

Wieczorem dzwonię do Jess i proszę ją o przysługę.

– Wreszcie udało mi się wejść na tę stronę – mówi Henry nazajutrz rano, odprowadzając mnie na próbę. – Do ukrytej części Nekropolis.

– No i? Znalazłeś coś?

Na rogu Sto Szesnastej, w miejscu, gdzie przechodzi ona w College Walk, stoi kiosk. Zatrzymuję się, żeby kupić „Timesa” i sprawdzić, czy są jakieś wieści o Nyashy. Szybko przerzucam strony. Wygląda na to, że nic nie ma. Tylko kolejne spekulacje i kilka wzmianek na temat sztuki. „Pani Neary miała zagrać u boku Laurence’a Pisano i dobrze zapowiadającej się brytyjskiej aktorki Claire Wright”. Po raz pierwszy ktoś o mnie napisał, że „dobrze się zapowiadam”.

Henry kręci głową.

– Ten system opiera się na wymianie: dopóki czegoś nie prześlesz, nie zobaczysz, co można ściągnąć.

– Aha – mówię rozczarowana. Byłam pewna, że znajdziemy tam odpowiedź.

– Ale mogłem przeczytać tytuły dostępnych zdjęć.

Coś w jego głosie sprawia, że odwracam się i patrzę na niego.

– I to coś dało?

– Najnowsze zdjęcie nosi tytuł *Upiór*.

– To Nyasha – mówię od razu. – Na pewno. – Gdy uświadamiam sobie, że miałam rację, zaczyna mi się kręcić w głowie.

– To nie wszystko, Claire. – Waha się. – Było jeszcze jedno zdjęcie, a raczej jego zapowiedź. Zatytułowano je: „Już wkrótce: *Moje serce obnażone*”.

– To tytuł naszej sztuki.

Kiwa głową.

– Henry, musisz powiedzieć o tym policji.

– Teoretycznie tak. Ale realistycznie rzecz biorąc, co poradzi policja? Ludzie korzystają z takich stron wyłącznie anonimowo. Obydwoje wiemy, że może upłynąć wiele miesięcy, zanim gliniarze zidentyfikują użytkowników. – Wyciąga rękę i niezdarnie ściska moje ramię. – Słuchaj, Claire. Nie przejmuj się, dobra? Pilnuję cię. Przy mnie jesteś bezpieczna.

Wchodzę do garderoby i zamykam drzwi. Próba techniczna przebiegła dobrze. Teraz została jeszcze tylko wieczorna próba kostiumowa. Premiera jutro.

Znowu przyniesiono kwiaty. Teraz przychodzą codziennie, więc nie ma w tym nic niezwykłego. Mimo to łomocze mi serce, gdy czytam dołączony liścik.

„Moje serce obnażone”.

Nic więcej, żadnego podpisu. Ze strachem odwijam bukiet. Kwiaty są piękne i nietknięte. W żaden sposób ich nie uszkodzono.

Może przesłano je wszystkim aktorom i kwiaciarz po prostu wpisał tytuł sztuki zamiast imienia nadawcy?

By pobudzić pamięć zmysłową, kładę się na leżance i wykonuję kilka ćwiczeń. Próbuję naładować baterie przed próbą kostiumową. Trudno mi się jednak skoncentrować. Ciągłe pobrzmiwają mi w głowie słowa Henry’ego. „Przy mnie jesteś bezpieczna”.

Do tego dochodzi coś jeszcze. Jego dotyk. Sposób, w jaki ścisnął moje ramię. Może jestem przewrażliwiona na punkcie zainteresowania ze strony mężczyzn, ale było w tym coś dziwnego.

I nagle wszystko zmienia układ – jak scenografia przesuwaną się na żyłkach wokół mojej głowy.

Henry.

Pamiętam, jak podczas pierwszego przesłuchania przez policję spytałam, czy rozmawiali z Henrym. Frank powiedział, że tak. Ale jako były gliniarz Henry na pewno doskonale wiedział, jak się zachować w takiej sytuacji.

Jak odsunąć od siebie podejrzania i skierować je... na mnie.

Sam wspomniał, że prawdopodobnie wkrótce straci pracę. On też potrzebował pieniędzy Stelli. A jako ktoś, kto pracował pod przykrywką, na pewno miał konieczną przytomność umysłu, żeby tak ustawić miejsce zbrodni, by wyglądała na coś więcej niż zwykły rabunek.

Czy byłam tylko kozłem ofiarnym Henry’ego, który zamordował Stellę?

Bo przecież nadawałam się do tego idealnie. Kancelaria prawna zamierzała mnie wylać z powodu mojej rzekomej działalności przestępczej. Henry mógł wykorzystać zarzuty tego padalca Ricka i przedstawić mnie jako sprytną kłamczuchę, a do tego złodziejkę.

Skłonił mnie nawet do przyścia na spotkanie ze Stellą, żeby wyglądało to tak, jakbym miała czas na zaplanowanie zbrodni. Co powiedziała do niego Stella tamtego wieczoru? „Wiedziałam, że to błąd”. Jakby to on ją na to wszystko namówił.

„Szarość przejmuję władzę nad niektórymi ludźmi i nie potrafią się od niej uwolnić...”

Kręcę głową, wyzwalając się od tych myśli. Policjanci sprawdzili Henry’ego, tak jak powiedzieli. Ta niezdarna ręka ściskająca moje ramię była oznaką jego troski, niczym więcej.

I jeśli mam być szczerą, być może miała związek z tym, że od czasu mojej rozmowy kwalifikacyjnej, podczas której udawałam, że flirtuję z nim w barze, Henry ma do mnie pewną słabość.

Henry dba o moje bezpieczeństwo. Muszę skończyć z tą paranoją.

Rozlega się pukanie do drzwi.

– Kto tam? – wołam.

– Wizażysta.

Otwieram. Za drzwiami stoi jakiś młody mężczyzna ze starannie ostrzyżonymi krótkimi

włosami, z szerokim uśmiechem i dyskretnie umalowanymi oczami. Na jego ramieniu wisi jedna z wszechobecnych składanych walizek, w których spece od makijażu przechowują swoje przybory. Na szyi ma przepustkę, taką jak wszyscy pracownicy teatru.

– Cześć – wita się wesoło. – Mam na imię Glen. Jak leci?

– A... cześć. – Wiem, że Laurence i Nyasha nalegali na wpisanie wizażysty do kontraktów, ale ja zakładałam, że swoją fryzurą i makijażem zajmę się sama. – Wejdz. Jestem Claire.

– Miło mi cię poznać, Claire. – Zdejmuje walizkę z ramienia i otwiera ją: górna część jest wypełniona tackami, na których piętrzą się pędzle i kredki do makijażu. – Zacniemy od razu? Musisz włożyć szlafrok.

– Jasne.

Aidan chce, żeby w scenie z pomnikiem całe moje ciało było białe. Odwracam się tyłem do Glena, zdejmuję koszulkę i wkładam szlafrok. Robiąc to, spoglądam w lustro.

Glen mnie obserwuje.

Na pierwszy rzut oka jest to nieprofesjonalne. Ale być może po prostu patrzy na obiekt, z którym będzie za chwilę pracował. *Nie wolno mi popadać w paranoję.*

Siadam. Razem krytycznie przyglądamy się odbiciu mojej twarzy w lustrze.

– Jeśli dałbyś radę coś z tym zrobić... – mówię, wskazując pryszcz wysoko na czole.

Mimo że upłynęło dziesięć tygodni, odkąd przestałam brać leki przepisywane przez Bannera, nadal mam problemy z cerą.

– Nie ma sprawy – odpowiada Glen, biorąc moją głowę w dłoń i przechylając ją w tę i we w tę. Mimo że włożył cienkie białe gumowe rękawiczki, jego palce są zimne. – Kiedy z tobą skończę, będziesz najpiękniejszymi zwłokami, jakie ten teatr kiedykolwiek widział.

Wzdrygam się. Chcąc nie chcąc, myślę o Nyashy.

– Ściśle mówiąc, gram pomnik. I to tylko w jednej scenie.

Glen sięga do walizki, otwiera niższy poziom i wyjmuje z przegródek korektor.

– Tak na marginesie: przedstawienie jest świetne. Byłem na próbie technicznej. Wszyscy grali dobrze, ale ty byłaś doskonała.

– Dziękuję – mówię skromnie.

Z wprawą wciera korektor w moje czoło, zataczając małe kręgi w stronę przyszcza.

– Szczerze mówiąc, jestem zafascynowany Charles'em Baudelaire'em. – Wymawia to tak jak Patrick, z francuskim akcentem. „Szarlem Bod'lerem”.

Na chwilę przerywa pracę, spogląda na moje odbicie w lustrze i cytuje rozmarzonym głosem:

Zamilcz, Boleści moja, poskrom swoje żale,

Pożądałaś wieczora – oto na nas splywa.

Miasto już spowinęły gęste mroku fale,

Jedni w nim oddychają, innym trosk przybywa.

Spoglądam na swoje ręce. Mam gęsią skórkę.

– Bardzo dobrze recytujesz – mówię.
– Dziękuję... Wiesz, jak kończy się ten wiersz?
Kręcę głową.

– To Patrick jest ekspertem od Baudelaire’a, nie ja. Powinieneś porozmawiać z nim. – Ale przypuszczam, że nawet Patrick nie będzie zachwycony zainteresowaniem ze strony takiego fana.

– Och, Patrick. Tłumacz. – Glen macha korektorem w stronę mojego odbicia w lustrze, jakby groził mi palcem. – Prawdziwym miłośnikom niektóre z jego przekładów mogą się wydawać trochę zbyt swobodne. Ale akurat ten nie, przyznaję. Brzmi prawie jak kołysanka, prawda? Kołysanka śmierci.

Nie odrywając ode mnie wzroku, recytuje dalej:
Dogasające Słońce pod arkadą kona,

I niczym długi całun na Wschodzie rozpięty

Powoli ku nam zbliża się Noc upragniona.

Zawsze poznaję to po oczach.

Ten cień satysfakcji, z którym Glen wypowiada słowo „kona”. Dlaczego? Co go tak podnieca w konaniu?

Sięga do walizki, żeby odłożyć korektor. I wtedy zauważam, że niższe piętra są wypełnione stalowymi narzędziami: skalpelami, igłami i paskudnymi hakami, które wyglądają, jakby ich miejsce było raczej w gabinecie dentystycznym.

Nagle wszystko trafia na swoje miejsce.

Zdjęcia. Kwiaty. Wiersze.

Moje serce obnażone.

To nie Henry. Nie Patrick. Ostatecznie to nie jest nikt, kogo znam. To ten obcy mężczyzna o łagodnym wyglądzie, starannie ostrzyżony i promiennie uśmiechnięty.

– Mógłbyś mi podać scenariusz? – mówię. – Leży tam.

– Jasne. – Odwraca się, żeby po niego sięgnąć.

Od razu zrywam się na nogi, ale krzesło przewraca się na ziemię i Glen natychmiast spogląda w moją stronę. Chwyta coś z walizki i podchodzi do mnie ze skalpelem.

Odskakuję do tyłu, ale garderoba jest tak mała, że wpadam na leżankę. Za plecami czuję ścianę. Nie ma dokąd uciec.

Gdy Glen się zbliża, na jego twarzy maluje się niezmacona radość. Jak na twarzy dziecka podczas przejażdżki karuzelą.

Sięgam w dół i macam pod materacem leżanki w poszukiwaniu pistoletu Jess. Zakładam, że gdy Glen go zobaczy, natychmiast się uspokoi. Ale dzieje się inaczej. Zostaje mi tylko ułamek sekundy na podjęcie decyzji. Ułamek sekundy, który trwa całą wieczność.

Nie myśl. Działaj.

No więc działałam.

Teatr zamknięto.

W zasadzie nie było innego wyjścia. Nawet ci, którzy mówią, że przedstawienie musi trwać, nie mogą ignorować żądań ekipy specjalistów od medycyny sądowej wykonujących szczegółowe oględziny miejsca zbrodni. Poza tym policja musiała przeprowadzić przesłuchania.

Oczywiście złamałam prawo. Nawet w Stanach Zjednoczonych cudzoziemcom nie wolno nosić broni bez zezwolenia. Ale dzięki temu, że użyłam pistoletu w samoobronie, adwokat Patricka zyskał punkt zaczepienia.

Mój napastnik nazywał się Glen Furman. Policja szybko odkryła, że był stażystą w zakładzie pogrzebowym, dzięki czemu znał się na makijażu w wystarczającym stopniu, żeby móc się podawać za wizażystę. Poza tym miał obsesję na punkcie *Kwiatów zła*. W jego mieszkaniu znaleziono kilkanaście egzemplarzy z obszernymi notatkami.

W walizce z przyborami do makijażu była kamera cyfrowa nastawiona na bezpośrednie przesyłanie obrazu na stronę Nekropolis.

Policja dała mi spokój dopiero następnego dnia. Wyczerpana dołączyłam do reszty obsady w studiu, gdzie zastanawiano się, co dalej: przenieść produkcję w inne miejsce czy odwołać przedstawienia.

Laurence uważał, że powinniśmy je odwołać.

– Zastanówcie się nad najważniejszym pytaniem zawartym w tej sztuce – przekonywał – nad tym, które prokurator zadaje Baudelaire’owi w czasie procesu: „A jeśli te wiersze zainspirują choć jedną osobę do czynienia zła? Czy będzie pan poczuwał się do odpowiedzialności?”. – Spojrzał na resztę z nas. – A jeśli wystawiając tę sztukę, pomagamy stworzyć kolejnego psychola w rodzaju Furmana? Jak potem będziemy z tym żyli?

– Claire? – powiedział cicho Aidan, odwracając się do mnie. On też wyglądał na zmęczonego. – Co ty o tym sądzisz? Ciebie ta sprawa dotknęła w największym stopniu.

Przez chwilę milczałam. Z jakiegoś powodu nagle wyraźnie przypomniał mi się dzień, w którym zjawiłam się w domu Gary’ego i Julie. Wyrzucono mnie z poprzedniego domu zastępczego po zaledwie kilku tygodniach, a cały mój dobytek mieścił się w workach na śmieci, bo choć opieka społeczna zawsze miała pieniądze na taksówkę, która przewoziła mnie z jednego domu zastępczego do drugiego, nigdy nie kupowała walizek. Mimo że w dzieciństwie bardzo często podróżowałam – a raczej przenosiłam się z miejsca na miejsce.

Pamiętam, jak podniosłam jeden z worków i uświadomiłam sobie, że gdyby opieka społeczna mogła to zrobić, włożyłaby do niego także mnie, a potem wyrzuciła. Bo właśnie tym dla nich byłam. Śmieciem.

– Moim zdaniem powinniśmy grać – powiedziałam do Aidana. – Nigdy nie dostaniemy drugiej takiej szansy. W każdym razie ja jej nie dostanę.

Czułam, że wszyscy na mnie patrzą. Jak na jakiegoś potwora. Ale tak naprawdę to ja miałam rację. Laurence po prostu powtarzał frazesy, które prawdopodobnie przeczytał na Twitterze.

Aidan poddał to pod głosowanie. Tylko ja chciałam grać dalej.

Patrick zabrał mnie do domu. I tam się wreszcie załamalam, zaczęłam wymiotować i płakać, bez końca odtwarzałam w głowie strzelaninę. Bo jak się okazuje, jedyną rzeczą, której nigdy nie pokazują w filmach jak należy, jest śmierć. Ludzie nie chwytają się za serce i nie leżą bez ruchu, żeby wokół dalej mogła się toczyć akcja. Ciało nie chce umierać. Poddaje się dopiero

długo, długo po tej chwili, w której wiadomo, że będzie musiało się poddać. Ciało krwawi, drga i łapczywie chwyta powietrze. Ciało walczy jeszcze zacieklej niż ratownicy medyczni biegnący mu na pomoc. Ciało nie chce się pogodzić z tym, co nieuniknione.

„Kto by pomyślał, że stary ma w sobie tyle krwi?” Kiedyś, gdy miałam szesnaście lat, wypowiedziałam te słowa na scenie. Wtedy nie miałam pojęcia, co naprawdę znaczą, ale wszyscy mówili, że grałam doskonale.

Z masy obrazów kłębiących się w mojej głowie najbardziej uporczywa jest chwila, gdy strzeliłam do Glena Furmana po raz pierwszy, bo wcale go to nie powstrzymało. Dopiero kiedy pociągnęłam za spust drugi raz, osunął się przede mną na kolana. Poruszał ustami – próbował coś powiedzieć, ale kula przebiła płuco i zabrakło mu powietrza, by wydobyć z siebie słowa. To był tylko pusty syk, jakby z balonu uchodziło powietrze.

Właśnie tak się teraz czuję – pusta, wydrążona, jakby nic we mnie nie zostało.

– Wybierzemy się do Europy. Chciałbym pokazać ci Paryż.
Marzę tylko o spaniu, ale to niemożliwe.

– Zapominasz, że przyjechałam z Europy. Byłam w Paryżu na wycieczce szkolnej, kiedy miałam czternaście lat. Urwałyśmy się z koleżanką, żeby pooglądać transwestytów w Lasku Bulońskim.

– To będzie co innego. – Patrick czule głaszcze mnie po głowie. – Pokażę ci, gdzie się włóczyłem w czasach studenckich. Właśnie wtedy odkryłem Baudelaire’a. To będzie dobra odskocznia. Będziemy mogli porozmawiać. Chciałbym cię o coś spytać. Ale nie chcę robić tego tutaj.

Mówi to w taki sposób, że zaczynam podejrzewać, że ma na myśli coś więcej niż tylko zwykłą pogawędkę. Ale dobrze. Jedną z konsekwencji śmierci Glena Furmana jest to, że Patrick i ja wreszcie uwolniliśmy się od wzajemnych podejrzeń.

Poza tym chyba się domyślam, o co zamierza mnie spytać w Mieście Miłości.

– No... rzeczywiście brzmi to nieźle.

Jego dłoń nadal przesuwana się po moich włosach.

– Jakie to było uczucie, Claire?

Nie udaję, że nie wiem, o co pyta.

– Szczerze?

– Szczerze.

– Przede wszystkim byłam dumna... dumna, że tak szybko zareagowałam. To chyba dzięki grom improwizacyjnym Paula. Działanie na gorąco bez zatrzymywania się, żeby analizować sytuację. Pomyślałam... – Spoglądam na twarz Patricka i prawie się tego wstydzę, ale wiem, że on kocha mnie taką, jaka jestem, że mogę mu się zwierzyć z najgorszych myśli, jakie przychodzą mi do głowy. – Pociągnęłam za spust i pomyślałam: „Dobrze to zagrałam”.

– A potem?

– Potem byłam przerażona. Z powodu tego, co zrobiłam, i z powodu swojej reakcji. Ale nie trwało to długo. A później poczułam... – Znowu urywam, zastanawiając się, czy coś takiego można komukolwiek powiedzieć.

– Tak? – dopytuje delikatnie.

– Poczułam się prawdziwa – mówię. – Po zabiciu Glena Furmana poczułam się prawdziwsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Szczerść wobec kogoś, komu ufasz. Nic nie może się z nią równać.

Pięć dni później lecimy do Paryża.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – oznajmia Patrick, gdy jedziemy na lotnisko.

Jego spokój, spojrzenie utkwione w drodze uzmysławiają mi, że to coś ważnego.

– Tak? – mówię, gdy przez chwilę milczy.

– Dawno temu, będąc jeszcze na studiach, miałem dziewczynę. Była piękna, inteligentna, czciłem ziemię, po której stąpała. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Przerywa na moment, żeby zebrać myśli.

– Pewnego wieczoru zobaczyłem kobietę. Stała na skraju chodnika. prostytutka. Coś skłoniło mnie do tego, żeby ją zawołać... To było jak objawienie. Nagle mogłem zrobić wszystko, co tłoczyło się w mojej głowie. A ona dotrzymywała mi kroku. Bez względu na to, co wymyśliłem, popychała mnie dalej. Miałem obsesję na jej punkcie.

Przejeżdżamy przez tunel, na jego twarzy migocze światło lamp sodowych. Chyba go nie zauważa, jego spojrzenie skupia się na dalekiej przeszłości.

– I co się stało? – zachęcam go cicho.

– Pewnej nocy to zaszło za daleko. Zdarzył się wypadek. Ona wiedziała, jakie podejmujemy ryzyko. Po prostu... miała pecha.

Jego dłonie pewnie zaciskają się na kierownicy, cały czas jedziemy z równą prędkością. Widzę jednak napięcie, pod którego wpływem twardnieją mu ramiona.

– Umarła – mówi w końcu.

Nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu. „Nawiążcie kontakt ze swoimi uczuciami”, powtarzał nam Paul. A co, jeśli nie wiesz, co czujesz? Jeśli to wszystko cię przerasta?

– Mówię ci o tym teraz – dodaje Patrick – bo nie chcę, żeby były między nami tajemnice. I dlatego, że masz wybór. W mojej torbie oprócz dwóch biletów do Paryża jest też bilet w jedną stronę do Londynu. Jeśli chcesz, możesz od razu wrócić do swojego dawnego życia. Albo zostać ze mną. To zależy od ciebie, Claire. Ale zanim podejmiesz decyzję, wiedz, że cię kocham.

Wyjeżdżamy z tunelu. Przez dłuższą chwilę patrzę przez szybę na niekończącą się miejską zabudowę, która przemyka obok nas.

JA

Chcę z tobą zostać.

Uśmiecham się do niego szczęśliwa. Bo okazuje się, że jedyną rzeczą lepszą od dzielenia się swoimi najgorszymi sekretami jest to, że ukochana osoba dzieli się z tobą własnymi.

Patrick zarezerwował pokój w hoteliku niedaleko Łuku Triumfalnego, w spokojnej przystani osiemnastowiecznej elegancji. Rozpakowuję się, a potem zażywam relaksu w olbrzymiej białej wannie, podczas gdy on gdzieś wychodzi.

Po powrocie nie chce powiedzieć, gdzie był.

– Zajmowałem się przygotowaniami – mówi tajemniczo, kiedy zacznę naciskać.

Wydaje mi się, że w jego kieszeni widzę zarys kwadratowego pudełka z pierścieniem, i przestaję zadawać pytania.

Następnego dnia zabiera mnie na zwiedzanie według swojego osobistego przewodnika po życiu Baudelaire'a. Hôtel de Lauzun, w którym poeta mieszkał z Jeanne. Pomnik nagiej Apollonie autorstwa Clésingera w Muzeum Orsay. Les Deux Magots, słynny bar, w którym Baudelaire i inni przedstawiciele bohemy zbierali się, żeby pić i dyskutować.

Po południu odwiedzamy ulubione miejsca Patricka z jego czasów studenckich: Lewy Brzeg, Café de Flore i najlepsze ze wszystkiego wąskie brukowane uliczki Małej Afryki, gdzie jemy kuskus i pijemy cierpkie czerwone wino z karafek. W oknach kawiarni stoją fajki wodne z ustnikami owiniętymi folią aluminiową i na jednej z nich Patrick pokazuje mi, jak przeciągnąć gorący tytoń przez bulgoczącą kąpiel arakową. Potem kręci mi się w głowie.

– Zaczekaj tu – poleca mi i znika na zapleczu.

Gdy wraca, trzyma butelkę bez etykiety.

– To absynt – wyjaśnia, nalewając do kieliszków dwie porcje jaskrawozielonego płynu. – Dla dopełnienia doświadczenia. Zawiera łagodny halucynogen. – Nabiera z miseczki łyżkę cukru, zanurza go w płynie, a potem przytrzymuje nad świeczką. Gdy płyn zaczyna bulgotać, wlewa go z powrotem do absyntu i miesza.

– Będziemy mieli kaca?

– Oczywiście. Ale w przeciwieństwie do Baudelaire'a mamy dostęp do ibuprofenu. *Salut!*

– *Salut* – powtarzam jak echo.

Reszta popołudnia zmienia się w bezkształtną plamę. Pamiętam jak przez mgłę pulsujące kolory, zawroty głowy godne rollercoastera, Patricka recytującego swoją ukochaną poezję i moje serce rosnące bez końca, jakby wypełniało się helem.

Wieczorem Patrick mówi, żebym ciepło się ubrała.

– Dlaczego?

Wieczór jest słoneczny, o wiele cieplejszy niż chłodna jesień, którą zostawiliśmy w Stanach.

– Wybieramy się w zimne miejsce. – Sięga po plecak.

Mówi taksówkarzowi, żeby zawiózł nas na cmentarz na Montparnassie. Potem wchodzimy przez masywną kamienną bramę do parku ze starannie rozmieszczonymi drózkami i alejami wśród drzew. Groby między tymi alejami – Patrick mówi, że jest ich ponad trzydzieści pięć tysięcy – to bogactwo różnych stylów, od gotyku po art nouveau.

Prowadzi mnie w zaciszne miejsce na środku cmentarza.

– Baudelaire ma tu grób i cenotaf, czyli pomnik cmentarny – wyjaśnia. – To właśnie ten pomnik.

Rzeźba z białego marmuru ma dwa i pół metra wysokości. Dwuznaczna postać, pół anioł, pół diabeł, wpatruje się w podobiznę poety na łożu śmierci. Na płycie leżą dziesiątki rozrzuconych biletów na metro, każdy z nich przygnieciono kamykiem.

– Tak się tu wyraża szacunek. Pokazując, że przyjechało się tu specjalnie w tym celu. – Patrick wyciąga z kieszeni nasze karty pokładowe, pochyla się i dorzuca je do sterty.

Idziemy na zwyczajny grób, gdzie szczątki poety spoczywają obok szczątków jego matki, a potem wychodzimy z cmentarza, ruszamy wzdłuż Rue Froidevaux i przystajemy obok umieszczonej w murze małej bramy z zardzewiałego żelaza. Za kratą widać schody, które wyglądają, jakby prowadziły do piwnicy.

Patrick wyjmuje klucz i ją otwiera.

– Mamy szczęście. Martwiłem się, że zmienili zamek.

Wyjmuje z plecaka dwie latarki.

– Dokąd idziemy? – pytam, gdy wchodzimy do środka.

– Do katakumb. – Ostrożnie zamyka za nami bramę, a potem włącza latarkę i pokazuje mi gestem, żebym szła przodem. – Są dziesiątki takich wejść. Wstawiono do nich zamki, ale klucze są dostępne na czarnym rynku. Czasami studenci urządzają tu imprezy.

Schodzę po schodach. Z ciemności wydobywa się chłodny wietrzyk, przynosząc zapach suchego, stęchłego rozkładu. I absolutną, szepczącą ciszę.

– Nie słyszę żadnych imprez.

– I raczej nie usłyszysz. Te tunele ciągną się przez ponad dwieście kilometrów.

W świetle latarki widzę skalny sufit. Pod stopami mamy coś w rodzaju szarego kredowego żwiru. Gdy idziemy, słychać jedynie jego chrzęst i kapanie wody.

– Dawniej była tu kopalnia, część powstała jeszcze za czasów rzymskich – ciągnie idący za mną Patrick.

Nie ma echa, dźwięki w jakiś sposób wnikają w otoczenie.

– Dopiero w osiemnastym wieku ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby przenieść tu cmentarze.

Oświetla latarką miejsce, przez które właśnie przechodzimy. Początkowo wydaje się dość wąskie. Po chwili gwałtownie się wzdrygam. To, co wzięłam za ściany, to tak naprawdę sterty ludzkich czaszek poczerńiałych ze starości.

– W tej części tunelów spoczywają kości sześciu milionów paryżan – dodaje Patrick. – To jedno z ulubionych miejsc Baudelaire’a.

Przechodzimy przez olbrzymie kamienne komnaty, wysokie i szerokie jak kościoły. Powoli opuszczamy cmentarzysko. W końcu Patrick się zatrzymuje.

– Tędy – mówi, zachęcając mnie gestem.

Jesteśmy niedaleko kolejnych schodów wyrzeźbionych w skale. Poniżej widać sadzawkę wypełnioną krystalicznie czystą wodą, zupełnie nieruchomą. Patrick prowadzi na dół, a potem nabiera wody w dłoń i pozwala, żeby przeciekła mu między palcami.

– Kiedy górnicy chcieli się umyć, po prostu dokopywali się do wód gruntowych. Są czystsze niż evian. I dwukrotnie starsze. – Wyjmuje z plecaka mały srebrny kandelabr, ręcznik i butelkę szampana.

– Będziemy się kąpać? – pytam, gdy zapala świeczki.

– Tak. Ale jeszcze nie teraz. Najpierw chcę ci coś pokazać.

Wyczuwam napięcie w jego głosie. Uświadamiam sobie, że to coś więcej niż zwiedzanie. To rodzaj spektaklu, a ja jestem publicznością. Podejmuję grę, oczyszczając umysł i skupiając się na przebiegu tego rytuału.

Zostawiamy swoje rzeczy i idziemy coraz węższymi przejściami, aż w końcu docieramy do kolejnych schodów. Znowu idziemy w dół. Jesteśmy teraz w czymś w rodzaju ślepego zaułku, w wyciosanej w skale jaskini wielkości kaplicy, połączonej z kilkoma mniejszymi komnatami. Jest zupełnie cicho. W świetle latarki zauważam dwa plecaki oparte o ścianę.

– Są dla nas? – pytam.

Patrick kiwa głową.

– Zaopatrzenie.

– Tym się zajmowałeś wczoraj wieczorem?

– Można tak powiedzieć. – Oświetla latarką sklepiony sufit. – Jesteśmy teraz bezpośrednio pod jego grobem. Cieszę się, że tu ze mną przyszedłeś, Claire. To dla mnie bardzo szczególne miejsce.

Wchodzi do bocznej komnaty. Gdy zapala lampę gazową, przestrzeń wypełnia się ciepłym żółtym światłem.

– Wspaniale – mówię, patrząc na gołe ściany. – Bardzo *hygge*.

Nie odpowiada. Po chwili słyszę jakiś dźwięk. Dziwnie podobny do płaczu.

– Patrick?

Nadal milczy. Przechodzę do najdalej położonej komnaty.

– Halo? – mówię ostrożnie. – Halo?

Nagle w stronę moich stóp wyłaniają się z ciemności dwie ręce. Odskakuję, wydając z siebie zduszony okrzyk. Ręce z powrotem znikają w mroku. Zdążyłam jednak zauważyć, że były związane kawałkiem materiału.

Patrick bezszelestnie staje za moimi plecami, trzymając lampę gazową.

– Patricku, co tu się dzieje?

Podnosi lampę. Światło pada na kobietę, młodą i ciemnoskórą, przycupniętą na ziemi. Ma skrępowane nogi, koniec sznura przywiązano do wspornika w ścianie. Drugi kawałek materiału knebluje jej usta.

– O Boże – szepczę. Robi mi się słabo. Jest tylko jedno możliwe wyjaśnienie tego, co tu się dzieje, ale mój umysł nie chce go do siebie dopuścić, nie chce przyjąć, że choć myślałam, że wiem wszystko, byłam w błędzie.

– Nie tylko Glen Furman spotykał podobnych do siebie ludzi na Nekropolis – mówi spokojnie Patrick. – To zaskakująco prężna społeczność. Może i mamy niszowe zainteresowania, ale dzięki internetowi mogliśmy się odnaleźć. Czasem pomagamy sobie nawzajem. Mam w Paryżu przyjaciół, którzy z wielką radością poczynili dla mnie te przygotowania.

– Kim ona jest? – pytam przerażona.

Patrick nawet nie patrzy na trzęsącą się dziewczynę.

– Ma na imię Rose, a przynajmniej tak mi się wydaje. Nie jest nikim ważnym. Jest ważna tylko dla ciebie.

– Co masz na myśli?

– Będzie twoją pierwszą – odpowiada zwyczajnie. – Tak jak ta dziewczyna z ulicy była moją.

– O nie – mówię przerażona. – Chyba nie myślisz, że...

– Stella oblała podobny sprawdzian. Widzisz, bardzo ją kochałem. Ale kiedy odkryła prawdę, nie potrafiła mnie zaakceptować. Nie była tak silna jak ty.

– To ty ją zabiłeś – szepczę. – Zabiłeś ją z powodu tego, co wiedziała.

– Tak, zabiłem ją. Ale z innego powodu. Wiedziałem, że za bardzo się boi, żeby pójść na policję. Zabiłem ją dlatego, że tamtego wieczoru kogoś poznałem. Dziewczynę w barze. Przeczytała ze mną jeden z wierszy. A jej głos... To była idealna chwila, tak pełna obietnic i możliwości. Od razu wiedziałem, że Stella musi umrzeć. – Robi krok w moją stronę, nie odrywając ode mnie jasnych oczu. – Claire, gdy tylko się poznaliśmy, wiedziałem, że jesteś wyjątkowa. Że mógłbym ci się zwierzyć ze wszystkiego. Ale teraz musisz to udowodnić. Pokazać mi, że dasz radę to zrobić.

– Nie mogę, Patricku, nie mogę...

– Przecież już raz to zrobiłaś – przekonuje rzeczowo. – Zabiłaś tego biednego, pomyłonego chłopaka. Sama powiedziałaś, że poczułaś się po tym prawdziwie. Oferuję ci powtórkę tego doznania. Nie wyobrażasz sobie, jak intensywne będzie tym razem.

– Patricku, proszę...

– No więc za chwilę zagramy w najważniejszą grę w zaufanie – ciągnie, jakby mnie nie słyszał. – Musisz ją zabić. A jeśli tego nie zrobisz... Domyślasz się, o jakim ryzyku mówię, Claire? Być może będę musiał cię stracić. Tak jak musiałem stracić Stellę.

Niedobrze mi. Byłam taka głupia. Myślałam, że Patrick przyprowadził mnie tu po to, żeby się oświadczyć. A on chce mnie zabić.

– Patricku, nie mogę – powtarzam.

Jednak jakaś mała, okropna cząstka mnie zadaje sobie pytanie: *A może mogę?*

– Możesz, kochanie. Możesz. Wiem, że jesteś do tego zdolna – mówi cichym, spokojnym, hipnotyzującym głosem. – Obserwowałem cię. Poddawałem cię próbom.

– Patricku... Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć. Proszę.

Zastanawia się przez chwilę. Potem odwraca się do dziewczyny i mówi do niej po francusku. Jej przerażone oczy otwierają się jeszcze szerzej. Rozpaczliwie kiwa głową.

– Dobrze. – Wyjmuje nóż i przecina sznur, którym Rose jest przywiązana do ściany, ale jej ręce pozostawia skrępowane. Potem kładzie nóż kilka kroków przed nią. – Właśnie jej powiedziałem, że wyjdzie stąd żywa, tylko jeśli cię zabije – oznajmia rzeczowo. – Dlatego teraz naprawdę musisz podjąć decyzję, Claire.

Rose przesuwa się w stronę noża.

– Wiesz, Baudelaire napisał wiersz o takiej sytuacji. – Patrick wyjmuje pistolet z jednego z plecaków i wyciąga go w moją stronę. – Opisał w nim zoo wypełnione najróżniejszym występkiem. I zadał pytanie: kto jest jeszcze gorszym potworem? Odpowiedź brzmi: ty, czytelniku, ty, który delektujesz się okropieństwami w jego wierszach, nie musząc plamić krwią własnych rąk.

– Nie bierz tego noża, Rose – mówię zrozpaczona.

Chyba to do niej nie dociera. Nawet nie wiem, czy zna angielski.

– No cóż, teraz musisz splamić swoje ręce krwią – mówi do mnie Patrick.

Rose się waha, a po chwili rzuca się w stronę noża, usiłując go podnieść skrępowanymi rękami.

Z ociąganiem biorę pistolet.

– Dobrze – szepcze Patrick. – Teraz, kochanie. Zrób to.

Zabić albo dać się zabić. To wszystko ma nierzeczywistą wyrazistość snu. Nie potrafię nawet zacząć analizować emocji – odrazy, przerażenia, niedowierzania – które się przeze mnie przelewają.

Do tego dochodzi coś jeszcze: potworna świadomość, że od początku wszystko prowadziło do tej chwili. Że w pewnym sensie zawsze o tym wiedziałam.

Chciałam tego.

Każde dziecko w systemie opieki społecznej trafia do niego z jakiegoś powodu. Niektóre mają rodziców uzależnionych od alkoholu albo narkotyków. Inne są sierotami. Jeszcze inne były zaniedbywane albo wykorzystywane.

Kiedyś mówiłam ludziom, że jestem sierotą. Ale to nie była prawda. Moi rodzice przechodzili coś, co inni nazywają złym okresem. Awantury ciągnęły się całymi nocami. Pewnego razu ojciec wpadł do mojego pokoju i obudził mnie, wykrzykując coś o mamie – chciał, żebym wiedziała, jaka z niej kurwa, chciał, żebym poznała „prawdę o tym tak zwanym aniele, któremu się wydaje, że jest lepszy od niego”. Pamiętam, jak stała za nim i próbowała go ode mnie odciągnąć. Pamiętam, że gwałtownie się odwrócił i machnął ręką, jakby rozsiewał nasiona. Pamiętam, jak jego dłoń trafiła w jej twarz i jak mama runęła na podłogę. Z perspektywy dziecka ten ruch wydawał się płynny jak taniec.

Pewnego razu połamał wszystkie meble w salonie i użył nogi od stołu, żeby zbić ją do nieprzytomności. Wiele razy wyrzucała go z domu, ale ciągle wracał, zawsze z tą samą mantrą: „To mój dom, moja córka, nie odbierzesz mi ich”.

Gdy się kłócili, chowałam się pod łóżkiem.

Właśnie tam mnie znalazł pewnej nocy.

– Wyjdź stamtąd, Claire – powiedział. – Mamusia zrobiła sobie krzywdę.

– Muszę teraz wyjść – oznajmił, kiedy siedziałam na łóżku. – Niech mamusia odpocznie, dobrze? Mamusia musi się wyspać, wtedy poczuje się lepiej. A rano ubierz się i pójdz do szkoły, dobrze? Jeśli ktoś będzie pytał, nie mów, że mamusia leży w łóżku. Powiedz po prostu, że wszystko u niej w porządku. Dasz radę to zrobić? Dasz radę udawać? Dla mnie?

Kiwnęłam głową.

– Tak, tatusiu.

– Dobra dziewczynka. Kocham cię. A ty mnie kochasz?

– Bardzo – powiedziałam.

Na jego procesie proponowali, żebym nagrała zeznanie albo zeznawała za parawanem, ale odmówiłam. Chciałam, żeby widział, jak opowiadam wszystkim na głos o tym, co wcześniej musiałam utrzymywać w tajemnicy.

Sędzia powiedział, że byłam jednym z najodważniejszych świadków, jakich kiedykolwiek widział na sali sądowej.

Potem skazał mojego tatę na dożywocie za morderstwo. Nigdy nie odwiedziłam go w więzieniu, ani razu.

KATAKUMBY, PARYŻ, NOCĄ

Patrick mówi do mnie spokojnym, kojącym głosem.

PATRICK

Już to przerabiałaś, Claire. Wtedy pociągnęłaś za spust. Pamiętasz, jakie to było łatwe? Zaufaj mi. Tym razem też będzie łatwo.

Odwracam się, jakby to była zwyczajna próba. Mierzę z pistoletu. Strzelam. Strzelam do Patricka. Do potwora, którego kocham.

Pociągam za spust. Rozlega się pstryknięcie. Patrick wzdycha.

– Mówiąc, że ufam ci w sprawie pistoletu... użyłem przerośni. Nie był naładowany.

Wyjmuje broń z mojej ręki i wkłada do niej naboje. Potem mierzy do Rose i odbiera jej nóż. Dziewczyna rozpaczliwie szlocha przez knebel, gdy Patrick z powrotem przywiązuje sznur do obręczy w ścianie.

– Chodź – mówi do mnie, nie zwracając na nią uwagi.

– Dokąd?

– Nie wiem. Donikąd. Wszędzie. Claire, nie chciałem, żeby do tego doszło. Chciałem, żebyś to zrobiła. Żebyś mnie rozumiała. Chciałem dzielić z tobą swój świat.

Wracamy tą samą drogą do jaskini z sadzawką. Świece, które wcześniej zapalił, już prawie dogasają, światło migocze i drga pod wpływem stęchłego wietrzyku, płomienie żłobią cienie w skale.

Patrick wyjmuje butelkę z plecaka.

– Wypij to. Złagodzi ból.

Pociągam solidny łyk. To absynt.

– I poczytaj mi – mówi miękko. – Poczytaj mi na głos. Jak za pierwszym razem.

Biorę książkę, którą mi podaje, i bezbarwnym głosem zaczynam czytać.

Więcej mam wspomnień, niż gdybym żył od stuleci...

Po twarzy Patricka płyną łzy. Upuszczam tomik na ziemię i resztę recytuję z pamięci.

Wielki grat z szufladami pełnymi rupieci,

[...] Mniej ukrywa sekretów niż mój mózg zgnębiony.

Patrick obejmuje dłońmi moją szyję.

– Konstantynopol – mówię.

– Co? – Patrick marszczy brwi.

– Moje hasło bezpieczeństwa. Wcześniej mówiłam, że je zapomniałam. Znaczący tyle co „przybywajcie na ratunek”. Teraz. Konstantynopol.

– Claire? – mówi z niedowierzaniem.

Coś z hukiem wtacza się do jaskini. Okrągły metaliczny przedmiot. Kątem oka patrzę, jak turla się po ziemi. Uderza w ścianę i się zatrzymuje.

Przez ułamek sekundy nic się nie dzieje. Potem następuje eksplozja białego światła. Chwilę później rozlega się hałas, perkusyjna kanonada tak głośna, że zwala nas oboje z nóg. Przenikliwe dzwonięcie wypełnia mi uszy. Światło latarek przecina nasączoną dymem ciemność i do jaskini ze wszystkich stron wpadają mroczne postacie w czerni.

Jedna z nich przykłęka obok mnie i unosi szybką hełmu.

DOWÓDCA BRYGADY ANTYTERRORYSTYCZNEJ

Claire! Claire... Nic ci nie jest?

Czuję, jak jego dłonie delikatnie wsuwają się pod moje ramiona, gdy bierze mnie na ręce.

– Frank – mówię. – Zjawileś się.

La Martine, tuż obok Lyonu, ma długą i burzliwą historię. Początkowo był tu zakład dla obłąkanych, później gestapo prowadziło tu przesłuchania. Teraz w La Martine siedzą najpilniej strzeżeni więźniowie w Europie. Ze względu na bliskość głównej siedziby Interpolu przypomina to więzienie całego świata.

Kathryn Latham przyjeżdża tu pewnego mroźnego grudniowego poranka, jak wiele osób przed nią, by przeprowadzić przesłuchanie. Kierują ją do małego, pomalowanego na pastelowy kolor pomieszczenia, gdzie dawniej śledczy używali gumowych węży, wanien wypełnionych gównem, pałek i narzędzi do miażdżenia kciuków.

Wzięła ze sobą kartkę i długopis, mały dyktafon i paczkę francuskich papierosów.

Wprowadzają Patricka Foglera. Ma na sobie zwykły więzienny strój: dzinsy o luźnym kroju i denimową koszulę. Skuto go kajdankami.

– Przyniosłam ci papierosy – mówi Kathryn Latham, gdy Patrick siada. – Słyszałam, że zacząłeś palić.

– Tu wszyscy palą. Nie tak jak w Ameryce.

– Dobrze cię traktują?

Wzrusza ramionami.

– A co cię to obchodzi? Da się wytrzymać.

Kathryn Latham przesuwając papierosy po stole.

– Patricku, mam dla ciebie propozycję.

– A, tak – prychna. – Nieustraszona pani naukowiec w poszukiwaniu prawdy. Że nie wspomnę o awansie zawodowym. W dzisiejszych czasach panuje wielka presja na publikowanie, prawda? Bez wątplenia masz nadzieję, że napiszesz o mnie piękną, grubą monografię.

– Twoje relacje z innymi użytkownikami Nekropolis – mówi spokojnie Kathryn. – Chcę się dowiedzieć, jak dokładnie to działało. Kto kogo naśladował? Czy ty i Furman uważaliście siebie nawzajem za konkurencję, czy za kolegów artystów współpracujących za pośrednictwem różnych mediów? Czy gdyby nie stworzone przez niego obrazy, niektóre z twoich pragnień nie mogłyby się spełnić? A może zawsze miałeś nadzieję, że przekłady znajdą takich naśladowców jak on? Tu jest mnóstwo materiału, Patricku, a dla nas to zupełnie nowy teren. Jeśli będziesz współpracował, być może uda mi się coś dla ciebie zrobić.

– Jakoś mi się nie wydaje, żeby sąd poszedł w mojej sprawie na ugodę, pani doktor.

– Nie proponuję ugody. Raczej wymianę handlową. Ty odpowiesz na moje pytania... a ja odpowiem na twoje.

– Skąd pomysł, że mam do ciebie jakieś pytania? – pyta z miażdżącą pogardą.

– Och, myślę, że masz. Jedno na pewno.

Przejrzała go, a on przyznaje to markotnym kiwnięciem głowy.

– Chcesz wiedzieć, ile z tego wszystkiego było prawdą – dodaje Kathryn Latham. – Czy Claire wierzyła choć w jedno słowo, które do ciebie kierowała, czy może po prostu cały czas wykonywała nasze polecenia.

Patrick rozpiera się na krześle.

– No więc mi powiedz.

– Claire to niezwykła osoba. I niezwykła aktorka. Kiedy ją znaleźliśmy, uczyła się aktorstwa polegającego na zanurzeniu się w roli z absolutnym zaangażowaniem. Sama zaproponowała, że zastosuje tę metodę, grając rolę, którą chcieliśmy, żeby zagrała.

GABINET KATHRYN LATHAM, NOCĄ

Kathryn wtajemnicza mnie w sprawę.

KATHRYN

Musisz stać się bardziej ekstremalną wersją siebie. I żyć jako ta postać dwadzieścia cztery godziny na dobę, dzień w dzień – nawet gdy będzie ci się wydawało, że ludzie, którym najbardziej ufasz, najbardziej cię zdradzili.

JA

Poradzę sobie.

KATHRYN

To nie wszystko... Jeśli to ma być wiarygodne, będziesz musiała zrobić coś jeszcze.

JA

Wiem.

– Kazałam jej się w tobie zakochać – mówi Kathryn zwyczajnym tonem. – I powiedziałam, że ma podążać za logiką tych emocji bez względu na to, dokąd ją to zaprowadzi. Bez względu na to, jak nielojalne, szalone albo niebezpieczne będzie się to wydawało.

Patrick na chwilę zamyka oczy.

– Więc to było kłamstwo. To wszystko było kłamstwem.

– Umyka ci najważniejsze. Dla niej to bez różnicy. Kochała cię. Zmusiła się, żeby cię pokochać. Właśnie tego od niej oczekiwaliśmy.

– „Lecz nie! To tylko maska, sztuki podstęp nowy – cytuje cicho Patrick. – Ta twarz, co wyszukany uśmiechem porywa”. – Rzuca Kathryn ostre spojrzenie. – A Nekropolis?

– Co z Nekropolis?

– Też je jakoś infiltrowaliście, prawda? Wy, czyli FBI. Ale zamiast je zamknąć, tylko siedzieliście i nas obserwowaliście. Badaliście nas. Jakbyśmy chodzili w jakimś mrowisku za szkłem w laboratorium. Założę się nawet, że to ty przesłałaś mi zdjęcia Furmana. – Pochyla się. – Zdajesz sobie sprawę, że jesteś współwinna każdemu morderstwu, do którego potem doszło? Morderstwu Stelli też. Biedna Stella. Może i ja ją zabiłem, ale to ty wprowadziłaś te wydarzenia w ruch.

Kathryn wciska przycisk w dyktafonie.

– Wywiad z Patrickiem Foglerem – mówi. – Kasetą pierwszą.

BAR W HOTELU DELTON PRZY CZTERDZIESTEJ CZWARTEJ ZACHODNIEJ,
NOWY JORK, WCZESNYM WIECZOREM

Siedzę w zacisznym kącie baru, trzymając drinka i starając się, żeby starczył na długo. Pewnie pomyślelibyście, że czekam na chłopaka.

Wtedy jednak zauważylibyście krzepkiego mężczyznę w średnim wieku, który opada na krzesło obok mnie, i zmienilibyście zdanie.

Uśmiecham się do niego.

– Co cię zatrzymało, Frank?

– Robota papierkowa. W dzisiejszych czasach, żeby być detektywem, trzeba napieprzać w klawiaturę jak zawodowa maszynistka. – Przywołuje kelnerkę i zamawia piwo, a potem spogląda na mnie. – Niczego ci nie trzeba?

– Nie... niczego – mówię. – Dzięki, że pytasz.

– Miałem na myśli coś do picia – odpowiada szorstko.

– Wiem. I powtarzam, że wszystko gra.

Frank kiwa głową. Sięga do marynarki, wyjmując kopertę i przesuwa ją po stole.

– Masz. Musisz tylko podpisać i wysłać. Powinnaś dostać zieloną kartę w ciągu tygodnia.

Patrzę na kopertę. Ale po nią nie sięgam.

– Frank, być może wrócę do Anglii.

Unosi brwi.

– Tak?

– Moja matka zastępcza niedługo obchodzi urodziny. Powinnam być na imprezie. A zresztą te wszystkie sprawy, od których uciekałam... już nie wydają mi się takie straszne. W każdym razie w porównaniu z... – Nie kończę zdania.

– Pewnie nie – mówi cicho. – Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebowała...

Uśmiecham się.

– Wystarczy, że powiem „Konstantynopol”?

On też się uśmiecha.

– Tak. I od razu przybiegnę. Z brygadą antyterrorystyczną i paroma granatami ogłuszającymi.

Patrzę na niego z czułością. Na mężczyznę, z którym tak wiele mnie łączyło. Na swojego anioła stróża. Przycupniętego przy monitorach ze słuchawkami na uszach, nasłuchującego wśród zakłóceń magicznego słowa, po którym cała iluzja runie nam na głowę.

Nawet gdy tygodnie przeszły w miesiące, ani razu nie wątpiłam, że jeśli będę go potrzebowała, to się zjawi.

Od samego początku wiedziałam, że planują jakiś zaskakujący zwrot akcji, że zamierzają zrobić coś, co pomogłoby mi przeniknąć przez skrytość i paranoję Patricka, wzbudzić jego zaufanie. Proponowali, że wtajemniczą mnie w szczegóły, ale nie chciałam. Oznajmiłam im, że będę działała spontanicznie. Zależnie od okoliczności. Że dzięki temu wypadnę autentyczniej.

Nawet ja nigdy nie wiedziałam, jak daleko się posunę. Czerpałam z pamięci afektywnej, ze wspomnienia jedynej miłości, jaką dotąd przeżyłam, i instynkt wskazał mi tylko jedną drogę. „Trzy stosunkowo płytkie nacięcia boczne w lewym dole łokciowym. Zanim byś się wykrwawiła, musiałyby upłynąć całe godziny”.

Tak samo było tego dnia, gdy zauważyłam Franka w parku. Nie zareagowałam jak ja, uśmiechem albo machnięciem ręki, lecz zadałam sobie pytanie: *Co pomyślałaby o tym moja postać?* Wykorzystałam to, żeby Patrick uwierzył, że nadal go podejrzewam. I że w związku z tym on nie ma powodu podejrzewać mnie.

Pozwoliłam mu zaglądać do umysłu prawie tak pokręconego i psychopatycznego jak jego własny. Ale zawsze, zawsze działałam w zgodzie z celem nadrzędnym, z jedną górującą nad wszystkim prawdą, która wpychała moją postać coraz głębiej w jego ramiona.

– Nadal go Kocham – mówię cicho.

– Kogo? – Frank marszczy brwi, nie rozumiejąc. – Tego świra? Dlaczego?

– Okazuje się, że Kathryn miała rację: tego nie da się zmyć razem z makijażem. Zmusiłam się, żeby wniknąć w jego głowę. I jakiejś częście mnie trudno się stamtąd wydostać.

Przygląda mi się przez chwilę.

– Claire, powiedz mi coś. Jak daleko byś się posunęła? To znaczy gdyby nas tam nie było? Strzeliłabyś do tej dziewczyny?

– Dobre pytanie, prawda? Gdzie kończy się gra? – Kręcę głową. – Nie. Nie, oczywiście, że nie mogłabym tego zrobić.

Mówię to tak gładko, że sama byłabym zaskoczona, gdybym odkryła, że to kłamstwo.

Dlatego że pytanie zostało źle sformułowane. Bardzo źle sformułowane.

Frank powinien był spytać, co bym zrobiła, gdyby zabił ją Patrick. Czy wyszłabym z roli i w rezultacie zginęłabym z jego rąk, czy może kochalibyśmy się obok jej stygnących zwłok.

Frank jest sentymentalny, jak wszyscy Amerykanie. Będzie zadowolony z hollywoodzkiego zakończenia, które mu podałam, tak jak byłby zadowolony z porcji popcornu z masłem.

Kim jest prawdziwa Claire Wright? To ta, która tu teraz siedzi, mając przed sobą drogocenną zieloną kartę, i wymienia uprzejmości z człowiekiem, od którego ją dostała? A może ta zauroczona mrokiem dostrzeżonym głęboko w jedynym mężczyźnie, którego nie udało jej się uwieść?

Co jest grą aktorską? Kim wtedy byłam? Kim jestem teraz?

„Szarość przejmuje władzę nad niektórymi ludźmi i nie potrafią się od niej uwolnić...”

Frank dziwnie mi się przygląda.

– Claire, chyba powinnaś pamiętać, co się mówi na planie filmowym.

– Tak? Czyli co?

– Na Planie Się Nie Liczy.

– Racja – mówię z uśmiechem. – Na Planie Się Nie Liczy.

Unoszę kieliszek i stukam nim kufel Franka, wznosząc toast. Dziwne spojrzenie, którym mnie przed chwilą obrzucił – zatroskanie połączone ze strachem – zostaje skatalogowane głęboko w moim archiwum.

Kiedyś to wykorzystam.

Niewidzialna kamera w mojej głowie powoli wznosi się i oddala, pozostawiając nas i nasze głosy cichnące pośród wieczornego gwaru w nowojorskim barze, a słowo „KONIEC” blaknie i zaczynają płynąć napisy.

Podziękowania

Siedemnaście lat temu, pod innym tytułem i innym nazwiskiem, napisałem powieść o aktorce, która dostaje rolę w tajnej operacji policyjnej. Książka otrzymała kilka pochlebnych recenzji, wydano ją w kilku krajach, a potem – jak bardzo wiele książek – nie chciała się sprzedawać. Gnębiło mnie poczucie frustracji – związane nie z wydawcami, którzy zrobili, co w ich mocy, ale ze sobą samym. Czulem, że zmarnowałem ciekawy pomysł, dlatego że nie napisałem tej książki wystarczająco dobrze.

Prawie dwadzieścia lat później sukces mojej powieści *Lokatorka* umożliwił ponowne wydanie tej książki. Nie chciałem jednak oferować Czytelnikom tej samej prozy pełnej wad. Chciałem zacząć od nowa, napisać to od zera.

Tak też zrobiłem. Ta książka, choć zbudowana na tym samym pomysle co poprzednia i zawierająca część tamtych scen, ma zupełnie inną fabułę, konstrukcję postaci i strukturę.

Wiersze Baudelaire'a przełożyłem sam. W wielu miejscach pozwoliłem sobie pominąć albo skondensować wersy, żeby spełniały wymogi thrillera. Ani razu jednak nie zmieniłem znacząco ich wymowy.

Przed laty wymieniłem w podziękowaniach profesora Chao Tzee Chenga, Michaela Warda, Clarka Morgana, Antheę Willey, Mandy Wheeler, Iana Wyliego, Sian Griffiths, Briana Innesa, Sama Northa i swojego agenta Caradoca Kinga.

Do tych nazwisk chciałbym dodać: Kate Miciak, Denise Cronin, Karę Welsh i cały zespół z Penguin Random House oraz Millie Hoskins i Kat Aitkin z United Agents. Dziękuję też Caradocowi Kingowi – po raz drugi.

Jestem wdzięczny także Tinie Sederholm i doktor Emmie Fergusson za nieocenione rady dotyczące roboczej wersji tekstu.

Za pierwszym razem nadałem nazwisko „Durban” najbardziej porządnemu, lojalnemu i niezawodnemu mężczyźnie, jakiego spotyka Claire, i zdedykowałem książkę swojemu przyjacielowi Michaelowi Durbanowi. Siedemnaście lat później z tych samych powodów dedykuję mu ją ponownie.

Spis treści:

Okładka Karta tytułowa Prolog Część I Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5
Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13
Rozdział 14 Rozdział 15 Część II Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20
Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział
28 Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35
Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział 40 Rozdział 41 Rozdział 42 Rozdział
43 Rozdział 44 Rozdział 45 Rozdział 46 Rozdział 47 Rozdział 48 Rozdział 49 Rozdział 50
Rozdział 51 Część III Rozdział 52 Rozdział 53 Rozdział 54 Rozdział 55 Rozdział 56 Rozdział 57
Rozdział 58 Rozdział 59 Rozdział 60 Rozdział 61 Rozdział 62 Rozdział 63 Rozdział 64 Rozdział
65 Rozdział 66 Rozdział 67 Rozdział 68 Rozdział 69 Rozdział 70 Rozdział 71 Rozdział 72
Rozdział 73 Rozdział 74 Rozdział 75 Rozdział 76 Rozdział 77 Rozdział 78 Rozdział 79 Rozdział
80 Rozdział 81 Rozdział 82 Rozdział 83 Rozdział 84 Rozdział 85 Rozdział 86 Rozdział 87
Rozdział 88 Rozdział 89 Rozdział 90 Rozdział 91 Rozdział 92 Rozdział 93 Rozdział 94 Rozdział
95 Rozdział 96 Rozdział 97 Rozdział 98 Rozdział 99 Rozdział 100 Rozdział 101 Rozdział 102
Rozdział 103 Rozdział 104 Rozdział 105 Rozdział 106 Podziękowania Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Believe Me*

Copyright © 2018 Shippen Productions. All rights reserved.

This translation published by arrangement with Ballantine Books,
an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Adiustacja i korek: d2d.pl

Projekt okładki: Andrew Smith

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Antoha713 / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-533-4



www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

JP DELANEY

AUTOR BESTSELLEROWEJ LOKATORKI

W
ŻYWE
OCZY



